

WIZJA PRZYSZŁOŚCI

To wojna, która buduje Ukrainę
- uważa pisarz fantasy Jacek Piekara



Nie chcę niemieckiego
superpaństwa - Zbigniew Ziobro
w rozmowie z „Do Rzeczy”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 12/468 21-27 MARCA 2022

PIOTR GOCIEK O NAJLEPSZYCH
WSPÓŁCZESNYCH PISARZACH
UKRAIŃSKICH



Sposób na ochronienie
oszczędności w czasach wysokiej
inflacji i wojny za miedzą



ŁUKASZ WARZECHA: Jak zostałem „pachołkiem Putina”



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



NARODOWY
BANK POLSKI

WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI

SERIA WYJĄTKOWYCH SREBRNYCH
MONET KOLEKCJONERSKICH



NOWE MONETY



DOROBK
TYCH WIELKICH
POLAKÓW
TWORZY HISTORIĘ
RODZIMEJ EKONOMII



21 kwietnia 2022 r. Narodowy Bank Polski wprowadzi do obiegu kolejną monetę z serii WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI – Władysław Grabski, natomiast 5 maja 2022 r. ukążą się dwie kolejne monety z serii WIELCY POLSCY EKONOMIŚCI – Leon Biegeleisen oraz Jan Stanisław Lewiński.

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Monety kolekcjonerskie NBP są dostępne w Oddziałach Okręgowych NBP oraz na stronie: [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie dwa bratanki

W tym samym czasie, kiedy do Kijowa mknął pociąg z premierem Mateuszem

Morawieckim i wicepremierem Jarosławem Kaczyńskim, w Budapeszcie odbywał się zorganizowany przez premiera Viktora Orbána marsz pokoju. Nic nie pokazuje lepiej i bardziej dobitnie skrajnie różnych stanowisk, jakie wobec wojny na Ukrainie zajęły Polska i Węgry.

W Kijowie premier Morawiecki mówił: „Nigdy nie zostawimy Was samych, bo wiemy, że Wy walczyście nie tylko o własną wolność i bezpieczeństwo, ale także za nas”. Może jeszcze bardziej stanowczo wypowiedział się prezes PiS: „Sądzę, że potrzebna jest misja pokojowa NATO lub szerszego układu międzynarodowego, ale taka misja, która będzie działała na terenie Ukrainy i która będzie w stanie się obronić”.

Wniosek jest jednoznaczny i w pełni pokrywa się z innymi polskimi działaniami od początku rosyjskiej agresji. Polska jest całkowicie i bezwarunkowo po stronie Kijowa. Można odnieść wrażenie – takie są retoryczna waga słów i ton deklaracji – że Polska najchętniej sama by się bezpośrednio w konflikt po stronie Ukrainy zaangażowała. Polski rząd nie pozostawia wątpliwości, że w zmaganiach Ukraińców z Rosjanami widzi wojnę w obronie całej Europy, także Polski. Podobnie jak robi wszystko, co możliwe, by zaprezentować się jako główne państwo jednoznacznie potępiające Rosję w każdy możliwy sposób.

Tymczasem w Budapeszcie atmosfera była całkiem inna. Na wielkiej manifestacji, wśród morza węgierskich flag, Orbán

mówił, że Europa Środkowa stała się polem walki wielkich mocarstw. „Rosja patrzy na rosyjskie interesy, podczas gdy Ukraina patrzy na ukraińskie interesy. Ani Stany Zjednoczone, ani Bruksela nie będą myśleć jak Węgrzy, nie będą czuć tego, co czują serca Węgrów. Musimy bronić naszych własnych interesów” – mówił Orbán. Podkreślił, że Węgry muszą zachować neutralność wobec konfliktu rosyjsko-ukraińskiego. – Musimy trzymać się z dala od tej wojny... Dlatego nie wysłamy żadnych żołnierzy ani broni na pola bitew.

Która z tych postaw jest bardziej rozsądna? W Polsce takie pytanie w ogóle nie pada. Media lewicowo-liberalne po prostu uznały, że Orbán jest zdrajcą, putinistą i sługusem Moskwy. Robią to z tym większą rozkoszą, że w ten sposób mogą atakować PiS za dotychczasową przyjaźń z premierem Węgier. Politycy i publicyści prawicowi albo sprawę starają się pominąć milczeniem, albo dołączają do chóru potępień Orbána, który „się pogubił” lub „niczego nie zrozumiał”. Kto zatem ma rację?

Odpowiedź nie jest prosta. Zależy od dwóch czynników. Po pierwsze od tego, czy obecna wojna może być końcem rosyjskiej potęgi i całkowicie nowym otwarciem geopolitycznym w Europie Środkowo-Wschodniej. Po drugie od tego, jak każde z państw – Polska i Węgry – ocenia swoje siły i zasoby. Jeśli wojna zakończy się upokorzeniem i klęską Moskwy, a także w ogóle jej wyrzuceniem daleko na stronę Azji, to prowadząc taką politykę jak do tej pory, Warszawa może na tym zyskać. Zdobędzie wdzięczność Kijowa, stanie się ważnym, może najważniejszym podmiotem w tej

części Europy. Wyrwie się raz na zawsze z przeklętych kleszczy państwa między Niemcami a Rosją.

Problem polega na tym, że wizja ta przypomina bardziej mrzonkę niż chłodną analizę. Tylko raz w ostatnich wiekach, w okresie po upadku caratu i klęsce Niemiec w pierwszej wojnie światowej, pojawiła się na chwilę szansa zmiany sił geopolitycznych. Niemcy były rozbite po klęsce wojennej i targane protestami rewolucyjnymi, w Rosji szalała wojna domowa. Nawet wtedy jednak nie udało się Piłsudskiemu zrealizować planów odbudowy dawnej Rzeczypospolitej. Powód jest prosty: jeśli o sile państwa decydują dwa czynniki – liczebna wielkość narodu i armia – to tak długo, jak Rosja nie zniknie w cudowny sposób z powierzchni ziemi, tak długo układ geopolityczny się nie zmieni. Wniosek: jeśli Moskwa nie zniknie, to pozytywne strony polskiej polityki szybko będą się mogły stać obciążeniem.

Drugi czynnik to zasoby, realna potęga. Im silniejsze państwo, na tym więcej może sobie pozwolić. To żelazne prawo historii i nie przykryją go żadne retoryczne popisy. Viktor Orbán uznał, że Węgry nie mają ani wystarczającej armii, ani zasobów gospodarczych, żeby w wojnie odgrywać rolę podmiotu. Zdefiniował interes swojego państwa w prosty sposób: będzie robił wszystko, by życie Węgrów się nie pogorszyło. Polscy politycy, odwrotnie, grają o wyższą stawkę. Mniej troszczą się o przyziemne interesy Polaków, bardziej o wielką przyszłość. Może im się uda. Gdyby tak się stało, byłby to całkowity historyczny ewenement. ©©



TEMAT TYGODNIA

18 ŁUKASZ WARZECHA
**JAK ZOSTAŁEM
„PACHOŁKIEM PUTINA”**
Cenzura zamiast debaty

22 TOMASZ ROWIŃSKI
**PRAWICA W NOWYCH
KLESZCZACH HISTORII**

KRAJ

24 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ
TO UE ZBUDOWAŁA POTĘGĘ PUTINA
Nie chcę niemieckiego superpaństwa

28 PIOTR SEMKA
**JAK WOJNA PRZEORAŁA
KRAJOWĄ POLITYKĘ**

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
REORIENTACJA NA WSCHÓD

34 KAMILA BARANOWSKA
WOJNA, ALE Z PIS

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
WRZUCENI DO SZKÓŁ

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
HEŁM OD RĘKI KUPIĘ

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
**UKRAINA
W SIĘDMIU SŁOWACH**
Sława, historia, kobieta, klasyka, tożsamość,
wojna, nadzieja

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 JACEK PIEKARA
SZANSA DLA UKRAINY
Zbliżenie Kijowa i Warszawy?

52 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK
NIEBEZPIECZNA GRA

54 ROZMOWA Z MEC. JERZYM KWAŚNIEWSKIM
W STRONĘ GLOBALNEJ TYRANII

HISTORIA

56 SEBASTIAN LIGARSKI
SOWIECI DO DOMU!
Antysowieckie protesty w latach 1945–1989

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŁUKASZENKA BOI SIĘ WOJNY
Dwuznaczne stanowisko ostatniego
dyktatora Europy

66 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PAPABILE Z LUKSEMBURGA

68 MAŁGORZATA WOŁCZYK
WIĘZIENIE ZA MODLITWĘ

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
**W POSZUKIWANIU
BEZPIECZNEJ PRZYSTANI**
Sposób na ochronienie oszczędności
w czasach wysokiej inflacji i wojny za miedzą



DODATEK SPECJALNY

WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI
POLSKI PODBÓJ KOSMOSU

NOWE KOSZULKI RED IS BAD™



KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

 W PEŁNI POLSKA
PRODUKCJA

SKLEP STACJONARNY
Warszawa,
ul. Jagiellońska 88

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

RED IS BAD™

eprasa.pl a0556657ee

TYGODNIK LISIEGO
DO
RZECZY
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

 Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

 Kolegium komentatorów:
 Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

 Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
 Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
 Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
 Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
 Artur Szeremeta, Błażej Torzański, Szezech Weiss, Piotr Włoczyk,
 Marcin Wołski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
 Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL: redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
 także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid**
Sienkowski, **Maciej Strug**, **Paweł Zdziarski**, **Łukasz Żygadło**

 Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (kierownik),
Jakub Tański, **Jacek Nadratowski**, **Włodzimierz Zakrzewski**

 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Trzask**

 Korekta: **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agata Błaszczak-Stefaniak**

 Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystopa**

 Okładka: **Sergei Savostyanov/AFPP/East News**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiusztacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 13 prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Nieważna uwaga historyczna

Od lat jako wyraz determinacji ludności cywilnej w walce z najróżniejszymi najeźdźcami używa się terminu „koktajl Mołotowa”. W polskiej publicystyce jest to termin dominujący, który całkowicie wyparł znacznie bardziej swojskie, związane głównie z powstaniem warszawskim butelki z benzyną. [...]

Wikipedia pod hasłem „butelka zapalająca” podaje: „Nazwa »koktajl Mołotowa« została wymyślona przez żołnierzy fińskich, którzy używali tej broni przeciw wojskom sowieckim w czasie wojny zimowej (1939–1940). Uważa się, że nazwa była humorystyczną odpowiedzią na zapewnienia Mołotowa, że w dniu urodzin Stalina (18 grudnia 1939 r.) wypije na jego cześć koktajl w zdobytych przez Armię Czerwoną Helsinkach...”

Mołotow, jako zastępca przewodniczącego Państwowego Komitetu Obrony (ZSRS), podpisał 7 lipca 1941 r. uchwałę, która zatwierdzała masową produkcję tej broni.”

Śmiem twierdzić, że fińskiej anegdoty nikt z szerokiej publiczności nie pamięta, a utrwalanie nazwiska Mołotowa jako

„twórcy” broni obronnej ZSRS, szczególnie w polskiej pamięci, zasadne nie jest.

Co prawda, wymienianie w każdym pacierzu imienia Poncjusza Piłata nie czyni z niego świętego, a wyłącznie uwiarygodnia historyczność wydarzeń, ale w naszym historycznie niedouczonym i niewrażliwym społeczeństwie może mieć, i zapewne ma, oddziaływanie dezinformujące. Był bowiem taki Mołotow (chyba Rosjanin), który wymyślił tak wspaniałą broń walki o wolność. Bo jakby nie wymyślił, to jego nazwisko nie byłoby używane powszechnie w jej nazwie.

Z poważaniem
Wojciech Michalski, Łódź

Wyjaśnienie

Po ukazaniu się tekstu „Chłopak o płomiennym spojrzeniu” („Do Rzeczy” 6/2022) o Przemysławie Górnym, zmarłym niedawno działaczu opozycji o profilu narodowym, do naszej redakcji zadzwonił Pan Marian Barański, uczestnik opozycyjnej Ligi Narodowo-Demokratycznej. Poprosił o małe sprostowanie. Pan Marian Barański nigdy nie był na Rusinowej Polanie i nie uczestniczył w górskich spotkaniach narodowców w 1957 r.

Za podanie mylnej informacji uzyskałem od jednego z historyków przeproszę. Możliwości jej sprawdzenia nie było, gdyż w czasie publikacji tekstu Pan Marian przebywał w szpitalu.

Z poważaniem
Piotr Semka





Szturmowy Viper zostanie polskim Krukiem?

FOT. BELL/PAW. BRECZKO

Napaść Rosji na Ukrainę jasno pokazała, jak wielką rolę na polu walki, a zwłaszcza w bitwie o kontrolę nieba odgrywa nowoczesne uzbrojenie

Rosyjska agresja na Ukrainę przyspieszyła plany modernizacji wielu europejskich armii, w tym polskiej. Jednym z pilnych zadań stojących przed polską armią jest wymiana posowieckich śmigłowców bojowych Mi-24 zwanych „latającymi czołgami”.

W ramach programu modernizacji technicznej „Kruk” Mi-24 mają zostać zastąpione przez 32 nowoczesne, w pełni interoperacyjne śmigłowce bojowe. Które? MON jeszcze nie wybrało producenta.

NASTĘPCA SŁYNNIEJ COBRA

W trybie FMS możliwy jest zakup amerykańskich śmigłowców AH-1Z Viper, które od lat z powodzeniem wykorzystywane są przez korpus piechoty morskiej USA. Produkowana przez koncern Bell Textron nowoczesna maszyna jest następ-

cą legendarnego śmigłowca AH-1 Cobra, który wspomagał marines jeszcze podczas wojny w Wietnamie. AH-1Z służył również w Iraku oraz w Afganistanie, gdzie musiał radzić sobie z piekielnie trudnymi warunkami atmosferycznymi, a także z piachem, pyłem czy błotem, skutecznie wykonując zadania zarówno w wysokich, jak i niskich temperaturach. Konstrukcja tych śmigłowców cechuje się także odpornością na korozję wywołaną słoną wodą, dzięki czemu mogą służyć np. w operacjach ochrony polskiego wybrzeża.

– AH-1Z Viper jest także dostosowany do pełnienia misji w miejscach oddalonych od baz, często bez zaplecza technicznego i rozbudowanej infrastruktury – wyjaśnia w wywiadzie major T.R. Dudro z USMC. To szczególnie istotne, bo – jak pokazuje przykład Ukrainy – bazy lotnicze są jednym z pierwszych celów ataku agresora.

Viper jest wyjątkowo skuteczny w walce powietrznej, ale też z celami na ziemi. Do niszczenia wrogich obiektów w powietrzu służą m.in. rakiety AIM-9 Sidewinder, które pozwalają na dominację w powietrzu, i których nie przenoszą inne, konkurencyjne śmigłowce.

Cele na ziemi w pył obracają zaś przeciwpancerne pociski kierowane AMG-114 o zasięgu 8 tys. m, które nie bez powodu noszą nazwę Hellfire. AH-1Z Viper jest również pierwszym typem śmigłowca, który został zintegrowany z najnowocześniejszymi przeciwpancernymi pociskami kierowanymi AGM-179 JAGM. AH-1Z Viper jest również wyposażony w działko 20 mm.

Śmigłowiec bojowy jest też naszpikowany nowoczesnymi sensorami, które ułatwiają pilotom precyzyjne śledzenie i namierzanie celu, a także identyfikację wróg-przyjaciół.

INTEROPERACYJNOŚĆ, KOSZTY UŻYTKOWNIA, WSPÓŁPRACA PRZEMYSŁOWA

Przedstawiciele Bella zwracają również uwagę na to, że śmigłowce AH-1Z Viper będą doskonale współpracować (dzięki systemowi wymiany informacji Link16) z myśliwcami F-35, systemami obrony przeciwlotniczej czy czołgami Abrams wchodzącymi na wyposażenie polskiej armii.

Jednocześnie mają stosunkowo niewielkie wymagania obsługowe (m.in. mniej personelu naziemnego, niższy ślad logistyczny), co przekłada się na istotnie niższe koszty utrzymania. Według szacunków Bella śmigłowiec AH-1Z Viper jest nawet o jedną piątą tańszy przy zakupie niż bezpośrednia konkurencja, a godzina jego lotu jest nawet o 40 proc. mniej kosztowna niż w przypadku konkurencyjnych maszyn (np. śmigłowca Apache).

Kierownictwo Bella w rozmowach z dziennikarzami podczas specjalnego wyjazdu prasowego nie ukrywało, że ewentualny kontrakt na zakup śmigłowców bojowych byłby tylko początkiem długiej współpracy z polską armią i z polskim przemysłem zbrojeniowym. Wiceprezes Michael Deslatte potwierdza gotowość Bella do zrealizowania każdego zamówienia określonego przez stronę polską. Bell jest w stanie dostosować swoje maszyny do dowolnego uzbrojenia, systemu łączności, a także zaangażować polski przemysł w proces ich budowy, jeśli taka będzie wola zamawiającego.

Przedstawiciele Bella chcą również otworzyć przed Polską możliwość udziału w programie „Future Vertical Lift”, a więc współpracy przy tworzeniu superszybkiego zmiennowirnikowca V280 Valor z możliwością pionowego startu i lądowania.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Utopia w Watykanie

Pisanie tego felietonu odkładałem już parokrotnie. Wciąż miałem nadzieję, że stanowisko papieża Franciszka w sprawie agresji Rosji przeciw Ukrainie w końcu się wyklaruje. Trudno jednak nadal milczeć. Mamy do czynienia z poważnym problemem. Ojciec Święty nie jest jak dotąd w stanie stwierdzić oczywistej rzeczy – to Rosja zaatakowała Ukrainę i ta ma prawo się bronić.

Już pierwsza reakcja Jego Świątobliwości na atak rosyjski – zupełnie nieprzystająca do protokołu dyplomatycznego wizyta w przedstawicielstwie Rosji przy Stolicy Apostolskiej – musiała budzić zdziwienie. Potem duże zdziwienie wzbudzić musiało uporczywe unikanie wyrazu „Rosja” w papieskich wypowiedziach wzywających do pokoju. I wtedy pojawiła się już najbardziej bulwersująca informacja: videokonferencja papieża z patriarchą Moskwy.

W trakcie tej rozmowy Cyryl zaprezentował się jako przeciwnik wojny bez wyszczególniania, kto jest agresorem, a kto się broni. Cały komunikat z tego dialogu

sprawił wrażenie, jakby dwaj duchowni w równym stopniu oburzeni wojną wymieniali się opiniami. Tymczasem wypowiedzi Cyryla na użytek rosyjskiej opinii publicznej były bardzo wyraźnym wsparciem agresji Putina.

W trakcie wideorozmowy z Cyrylem papież przedstawił teorię, wedle której odwieczna doktryna Kościoła miałaby się zmienić i nie uznaje już pojęcia wojny sprawiedliwej. Jak to ujęto: „ze względu na zmieniającą się świadomość człowieka”. Zajrzałem do Katechizmu Kościoła Katolickiego. Sprawdziłem, że art. 2308 i 2309 KKK nadal obowiązują. Wyraźnie mówią one, że Kościół dopuszcza istnienie wojny sprawiedliwej. Jak czytamy w KKK – tak długo, jak „będzie występować niebezpieczeństwo wojny i będzie brakowało kompetentnej oraz wyposażonej w odpowiednie możliwości władzy międzynarodowej, tak długo nie można odmówić rządowi prawa do słusznej obrony po wyczerpaniu wszystkich środków pokojowych rokowań”. Katechizm podaje warunki zaistnienia takiej „słusznej” obrony i niewątpliwie sytuacja na Ukrainie je spełnia.

Znowu mamy więc sytuację, w której papież Franciszek w swoich wypowiedziach kwestionuje zasady Kościoła zawarte w Katechizmie. Polskich wiernych najbardziej szokuje w tych wypowiedziach dystans wobec rozpaczliwej walki narodu ukraińskiego o swoją podmiotowość. Podchodzenie do konfliktu jako wojny, która wymaga potępienia obu stron, faktycznie uprzywilejowuje agresora. Trudno nie ulec wrażeniu, że papież Franciszek zachowuje się wobec Rosji z jakąś wyjątkową ostrożnością i respektem. Owszem, w Stolicy Apostolskiej zdarzali się sekretarze stanu, w których wypowiedziach dyplomatyczna przezorność przeważała nad gotowością do nazwania zła złem, a agresji agresją. Jednak papież ma wyjątkowe obowiązki ojca wspólnoty. Obowiązki kogoś, kto musi potrafić ukazać moralną istotę konfliktu. Inaczej cały autorytet Watykanu błędnie.

To dobrze, że papież podchwycił ideę poświęcenia sercu Maryi Ukrainy i Rosji. Żle, że nie zaznacza, kto jest napastnikiem, a kto napadniętym. ©

MISS WORLD 2021: POLKA NAJPIĘKNIEJSZA

23-letnia Karolina Bielawska z Łodzi została wybrana Miss World 2021. Koronę oraz tytuł Najpiękniejszej Kobiety na Świecie zdobyła jako pierwsza Polka od czasów zwycięstwa Anety Kreglickiej w 1989 r. Podczas finału w Portoryko studentka Politechniki Łódzkiej oraz Miss Polonia z 2019 r. pokonała m.in. Shree Saini z USA (I wicemiss) oraz Olivię Yace z Wybrzeża Kości Słoniowej (II wicemiss). (jap) ©



FOT. RICARDO ARJUNDO/ARTFAST NEWS

Gospodarczy Czempioni Polski

Najprężniejsze, najstawniejsze,
najbardziej stabilne polskie firmy



SPECJALNY DODATEK TEMATYCZNY W NASTĘPNYM NUMERZE „DO RZECZY”

PARTNER GŁÓWNY DODATKU:



PARTNERZY DODATKU:





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Każdy widzi

Sören Bartol, polityk niemieckiej SPD i – cokolwiek właściwie się pod tym tytułem kryje – jej parlamentarny sekretarz stanu, poskarżył się w mediach społecznościowych na ambasadora Ukrainy, Andrija Melnyka, że „jest nie do zniesienia”. Trudno się dziwić irytacji Niemca: ten Ukraińiec ciągle czegoś chce i zamiast być wdzięcznym za obietnicę pięciu tysięcy hełmów oraz spleśniałe poenerdowskie rakietki Striela, ciągle ma jakieś pretensje, rozgadując światu, że na przykład wszyscy niemieccy politycy mówili mu w dniu rosyjskiej napaści, iż Ukrainie nie ma co pomagać, bo za kilka godzin już jej nie będzie.

Po fali krytycznych komentarzy Bartol swój post skasował, ale można sobie wyobrazić, co on i jego

koledzy czuli następnego dnia, kiedy to już nie Melnyk, ale sam jego pryncypał, prezydent Zełenski, przemówił za pomocą zdalnego połączenia do posłów Bundestagu. Co tu owijać w bawełnę, Zełenski Niemców, jak to mawiała moja babcia, opieprzył jak św. Michał diabła, acz w parlamentarnych słowach, wytykając im wszystkie małości, idiotyczną proputinowską politykę, która doprowadziła do wojny, sprzedawanie Rosji wbrew embargu wojskowej techniki oraz obecne dwuznaczne postępowanie. Dla Niemców, przywykłych do występów polskojęzycznych lizusów w stylu: „Bardziej się boję niemieckiej bezczynności niż działania”, musiało to być przykre. Szczególnie dlatego, że wszystkie gorzkie słowa prezydenta Ukrainy były prawdziwe i zasłużone.

Dodatkowy zgrzyt spowodowali posłowie opozycyjnej CDU/CSU, którzy, choć w kwestii putinolubstwa ich partia ma nie mniej od rządzącej SPD za uszami, zaproponowali, by odbyć na temat Ukrainy debatę. Tym zakusom rządząca koalicja SPD, FDP i Zielonych dała zgodny odpór i po przemówieniu prezydenta kraju miażdżonego dziś za niemieckie pieniądze niemiecki parlament przeszedł gładko, zgodnie z porządkiem dziennym, do debaty nad znacznie ważniejszą od zbrodni wojennych na Ukrainie kwestią obowiązkowości szczepień.

Wsumie zresztą – o czym by Niemcy mieli debatować? Jak to pisał nieoceniony ks. Chmielowski, „koń, jaki jest...”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Rocznica w cieniu wojny

Bez większego echa minęła w ubiegłym tygodniu 85. rocznica ogłoszenia przez Piusa XI antykomunistycznej encykliki „Divini Redemptoris”. Szkoda, bo rocznicy tej powinny towarzyszyć sesje naukowe, listy pasterskie, a nawet encyklika. Szczególnie teraz, gdy Putin w imię dziedzictwa ZSRS wydał wojnę Ukrainie.

„Divini Redemptoris” szczęścia jednak w ogóle nie miała. Zawsze trzymam przy biurku jej skromny egzemplarz, wydany w podziemiu przez Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze na pakowym papierze, bez obciętych brzegów. W PRL drukować jej nie było wolno, ale i w opozycji większego zainteresowania nie budziła, choć

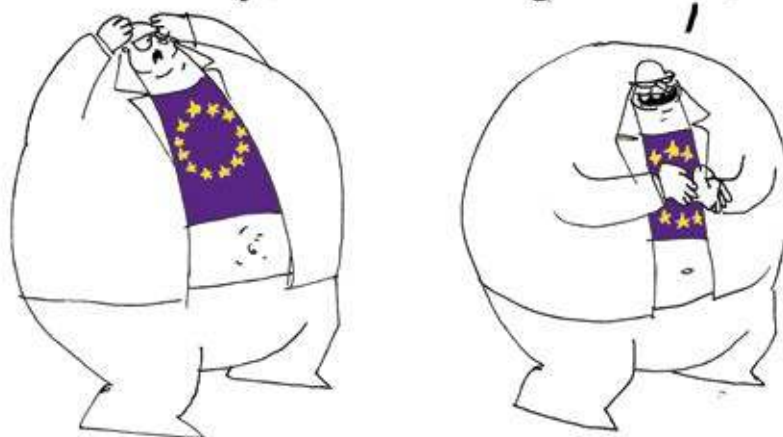
bardziej niż jakakolwiek inna analiza dotyczyła samej istoty potępianej ideologii. Chociaż Pius XI swą encyklikę ogłaszał w momencie największych paroksyzmów stalinowskich zbrodni, to w istocie zapowiadała ewolucję komunizmu, jego możliwe „transformacje”, również w polityce religijnej. „Divini Redemptoris” opisywała więc komunizm jako totalną negację porządku naturalnego i zbudowanej na nim cywilizacji. Na przykład narody w tej wizji to sztuczne twory „klasowe”, od których należy ludzi „wyzwolić”. Uniwersalizm nie polega na sumie ich kultur, ale na ich uniwersalnej negacji. Proletariat bowiem – jak pisał Marks – nie ma ojczyzny.

Trzydzieści lat temu opinia zachodnia chętnie podjęła porzucenie hasła Sowietów i uznała, że komunizm się skończył. Tak definitywnie, że nie trzeba było nawet wołać: „Nigdy więcej!”. Tak jak zapomnieli, że prawie pół wieku wcześniej sowieccy komuniści wykreślili bolszewizm z nazwy swojej partii, tak i potem nie chcieli widzieć wszystkich oznak jego ciągłości. Gdyby czytali „Divini Redemptoris”, wiedzieliby, że kolejne „transformacje” to tylko forma dialektyki, strukturalnego kłamstwa. Dlatego Pius XI zaklinał biskupów, by nie dawali komunistom wiary, nawet gdyby incydentalnie głosili rzeczy słuszne, bo „komunizm jest zły z samej swej istoty”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Polska przysięga
z mln uchodźców!!!

Noo... teraz to ich
wszystkich dopiero
zagłodzimy ...



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Włoskie zaciętrzewienie

Piszę te słowa dzień po wizycie premierów Polski, Czech i Słowenii w Kijowie. W drugim dzienniku Italii – „La Repubblica”, biblii postępowych Włochów i zapleczu intelektualnym włoskiej lewicy – czytam ze zdumieniem, że te odwiedziny były niczym innym jak prowokacją i próbą podziału Unii. Autor, nomen omen Claudio Tito, informuje, że w zgodnej opinii Brukseli, gdzie jest korespondentem, była to akcja pod publiczność, która miała „przykryć” to, że Polska, Czechy i Słowenia nie chcą przyjmować migrantów z Afryki i Azji. Z tekstu witiol leje się litrami: populiści, suwerenniści, wrogowie europeizmu nie mieli placetu Unii.

Naturalnie nie chodzi o ostrą krytykę, bo jest ona świętym

prawem każdego dziennikarza, ale o to, że wyjechanie z nią w tak szczególnym kontekście jest po prostu haniebne. Demokratyczny pan Tito chyba nie zdaje sobie też sprawy, że jest zwykłym, pospolitym zamordystą. Sugeruje ni mniej, ni więcej, że aby solidaryzować się z Ukrainą, trzeba posiadać odpowiednie, jedynie słuszne poglądy – takie, jakie wyznają oni i „La Repubblica”.

W telewizji wygadany pacyfista perorował, że nie wolno dostarczać Ukraińcom broni, bo zwiększy to liczbę ofiar. Przekonywał, że nie tędy droga, bo trzeba bić się o pokój, demonstrować, wiecować, naciskać, pisać petycje etc. Jeden z komentatorów się wściekł: „Wy walczyćcie o pokój we Włoszech, gdzie na

szczęście mamy pokój. A może pojechalibyście do Kijowa i tam stanęli murem w obronie pokoju, co? Boicie się? To się zamknijcie”. Pacyfista coś zabulgotał i zaległa cisza.

Jeśli zaś chodzi o durniów we włoskim parlamencie, to Pan Bóg najszczodrzej obdarował nimi ekologiczno-pacyfistyczny Ruch 5 Gwiazd (mają 30 proc. miejsc). Do Izby Deputowanych podczas posiedzenia poświęconego wojnie na Ukrainie miał przemówić przez Internet prezydent Zełenski z bombardowanego Kijowa. Kilkunastu deputowanych Ruchu złożyło gwałtowny protest: „Nie zgadzamy się. Jesteśmy pacyfistami, a Zełenski prowadzi wojnę”. ☺☺

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

REFLEKTOR NA GĘBIE

Zapomniany już nieco Jarosław Kuźniar poczuł potrzebę przypomnienia o sobie i udzielił wywiadu popularnemu wśród celebrytów autorowi podcastów, który kryje się pod nickiem Żurna-lista. Kuźniar powspominał swoją pracę w TVN i ponarzekał, jak wielkim nieszczęściem było dla niego przeniesienie się ze stacji informacyjnej do śniadaniówki. – Takie duety, gdzie w „Dzień dobry TVN” musiałem być z kimś, to jest zły czas. Chyba nic nie było tak na siłę jak tam. Przez chwilę to było ciekawe doświadczenie, bo możesz zobaczyć, czy wytrzymasz. Poza tym ja nawet nie miałem wielkiego wyboru. Jak myśmy się z moim szefem pożegnali, to było w ciągu jednej nocy, z „Wstajesz i wiesz” lądujesz w „Dzień dobry TVN”. Do widzenia – opowiadał. Później przeszedł do tego, że nie za bardzo przejmował się krytycznymi opiniami innych na swój temat. – Gdy się starzejesz, przestajesz się przejmować ludźmi. Wieszanie się na opinii ludzi jest bardzo ryzykowne. Jak rozmawiasz z „top pracownikami”, to największym problemem, który doprowadził ich do depresji, jest ten, że [...] wszystko, co czuli o sobie dobrego, wynikało z tego, jakimi są dobrymi pracownikami, a nie jakimi ludźmi. Jeżeli czuję i wiem, że to, co robię, jest dobre, to to, że ktoś powie, że to było chu.owe, to mnie gó.no obchodzi – stwierdził. Dodał też, że jest trochę samotny i że każda osoba publiczna się tak czuje. – Wszystkim wydaje się, że jeśli ludzie cię rozpoznają, to masz zaję.iste życie, a nie da się normalnie żyć, mając reflektor na gębie – przekonuje. Od paru ładnych lat jednak Kuźniarem pies z kulawą nogą się nie interesuje. Więc z tym reflektorem na gębie to chyba żart. Albo marzenie.

SIOSTRA SIOSTRZE

Młodsza siostra młodej celebrytki Julii Wieniawy stwierdziła, że to dobry moment, by udzielić wywiadu, w którym oznajmia, że nie będzie się dzielić z nikim swoim życiem. – Nie mam takiej potrzeby, żeby dzielić się każdym aspektem mojego życia. [...] Nie mam jeszcze takiego skilla jak moja siostra. Ona czuje się w tym jak ryba w wodzie. Za mało robię, żeby móc krzyczeć o sobie. Chcę zapracować na swoje imię i wtedy chwalić się fajną robotą – stwierdziła Alicja Wieniawa w rozmowie z „Dzień dobry TVN”. Alicja, która jest początkującą aktorką, została też zapytana, jak się czuje, gdy jest porównywana do popularnej siostry. – Nie ucieknę przed tym. Jesteśmy siostrami. Jestem Wieniawa. To wpisane w geny, ale jesteśmy jednak innymi ludźmi. Każda z nas idzie swoją drogą, kreuje siebie. Toteż chcę pokazać, że nie jestem tylko siostrą Julki i że robię swoje rzeczy i po swojemu. Na pewno nie chcę z nią rywalizować na tym polu. To, że działamy w podobnych sferach, jest kwestią przypadku. To nie tak, że chciałam być jak ona. Mam inny pomysł

na to – stwierdziła Alicja. Nie wiemy, co lepsze. To, że Alicja tak bardzo nie chce być jak siostra, że przez pół wywiadu o niej opowiada? Czy to, że tak bardzo nie chce się dzielić swoim życiem, że aż ogłasza to w TVN?

WEŹCIE MNIE!

Małgorzata Rozenek wymyśliła sobie, że byłaby świetną prowadzącą „Dzień dobry TVN”. A skoro już wymyśliła, to swój śmiały pomysł próbowała ponoć wprowadzać w życie, o czym opowiedziała w jednym z ostatnich wywiadów. – Bardzo chciałabym poprowadzić „Dzień dobry TVN”. Długo chodzę koło Edwarda z tym tematem. Zupełnie poważnie, mam programy, które marzyłoby mi się zrealizować – tłumaczy celebrytka. Niestety, na realizację akurat tego marzenia przyjdzie jej chyba jeszcze poczekać. Edward Miszczak, dyrektor programowy TVN, zapytany przez Pudelka, czy rozważa wymianę którejs prowadzącej program śniadaniowy na Małgorzatę, wyraźnie zaprzeczył. – Nie słyszałem o tym pomysle, no ale każdy ma jakieś wizje siebie – skwitował. Nie brzmi to dobrze dla Małgorzaty. Za to jak dobrze dla całej reszty ludzkości!

DRAMAT ZA DRAMATEM

Biedna Blanka Lipińska, celebrytka i autorka thrillera erotycznego wzorowanego na „50 twarzach Greya”, narzeka na to, jak męczą ją wakacje. Blanka wyjechała do Tajlandii i okazuje się, że ta podróż nie do końca spełnia jej oczekiwania. Powód? Jest za gorąco. – Macie wrażenie, że oddychacie zupą. To jest męczące – wyznała na Instagramie. Jakby tego było mało, Blanka przez ten upał nie może chodzić w ulubionych obcisłych ubraniach! – Tu się nie da chodzić w wąskich rzeczach. Jeśli coś was opina, to znaczy, że będzie wam jeszcze bardziej gorąco, niż jest, a tu nigdy nie jest mniej gorąco. To nie jest w ogóle klimat dla Europejczyka. Jeżeli ktoś tu wytrzymuje... Jak? Tu naprawdę idzie umrzeć od tego gorąca – skarżyła się. Na koniec dramat ostateczny, czyli w tym upale celebrytka nie może się nawet spokojnie

poopalać, bo nie jest w stanie wytrzymać zbyt długo na słońcu. Wyobrażacie to sobie?! Pojechać na urlop i nie przywieźć nawet opalenizny! Tyle dramatów podczas jednych wakacji to za wiele jak na jedną Blanę. ☹️



FOT. PRAWEL WODZINSKI/EAST NEWS

FOT. PRAWEL WODZINSKI



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niesamowita sprawa – jak informuje kancelaria premiera, „rząd przyjął projekt ustawy, który przewiduje 250 zł dofinansowania do zakupu telewizora oraz 100 zł do zakupu dekodera w związku ze zmianą standardu nadawania naziemnej telewizji cyfrowej”.

Jak zatem widzicie, mamy tu do czynienia z kolejnym działaniem, które ma na celu podstępne sączenie propagandy TVP w uszy przeciętnego, nieświadomego bycia manipulowanym Janusza z Sanoka. Co więcej, jest to także zamach na naszą wolność słowa, iż chcąc skorzystać z takiego dofinansowania, nie każda młoda i wykształcona osoba z ośrodka miejskiego musi być świadoma niebezpieczeństw, jakie na nią czekają w odbiorniku.

Ktoś sobie może przecieszyć pomyśleć: No jak dają, to wezmę, nie? Żeby było jasne: of kors nie wyklucza to beki z innych, zwłaszcza starszych z mniejszych ośrodków, którzy z takiego dofinansowania skorzystają.

No ale wracając do osób młodych i niewinnych. Ktoś może sobie pomyśleć, iż skorzysta z dofinansowania, kupi sobie telewizor i włączy Netflixa i już. Nawet nie wyobraża sobie, że może być wręcz przeciwnie: telewizor kupi, włączy, a tam zamiast Netflixa Cholecka robi wywiad z Błaszczakiem.

Dlatego, kochani, uważajcie. Na te dekodery też. Kto wie, co w nich może

siedzieć, jak to działa, jakie przekazy podprogowe może sączyć, kiedy śpicie. Bądźcie ostrożni.

Być może, kochani, o tym zapomnieliście, bo i czasy takie, ale dzisiaj właśnie przyszedł do nas Wiosen. Nie wiemy jak Wy, ale my się stęskniliśmy. Dobrze, że już jest, można



założyć lepszy szalik, przesiąść się z transportu miejskiego na rower i łapać na twarz słońce, które mimo wszystko ciągle bywa nad tym krajem.

Co nam się jeszcze szczególnie podoba w Wiosenie to fakt, iż niedługo po jego przyjeździe możemy przestawić zegarki o godzinę do przodu, a więc nasza dobra trwa o godzinę krócej, zatem mamy zamiar skrócić ją o godzinę normalnie poświęconą na pracę w korpo.

Jest to również godzina zaoszczędzona na życiu w kraju rządzonego przez pis i Kościół, tak więc naprawdę spoko interes na tym przesuwaniu zegarka da się zrobić. Możemy się więc cieszyć dopóty, dopóki nie przyjdzie Jesień i trzeba będzie tę godzinę oddać.

Od jakiegoś czasu w Internecie trwa dyskusja na temat obsady serialu na podstawie „Władcy Pierścieni”, który realizuje jedna z wielkich globalnych korporacji. Oczywiście co się mogło nie spodobać Polakom?

No zgadza się, otóż wąsatym januszom nie spodobało się, iż postacie z książki będącej w istocie bajką są np. pigmentalnie uposażone. Mówimy tu np. o osobokransoludach żyjących głównie pod ziemią.

Jak dla nas to serio żaden problem, a wręcz za mało. Otóż czekamy na taką ekranizację „Władcy Pierścieni”, w której elf będzie wyglądał jak pigmentalnie uposażony krasnolud, a krasnolud jak pigmentalnie uposażony elf. To będzie dopiero różnorodność.

Na razie jednak musi nam wystarczyć świat, w którym pigmentalnie uposażona jest np. osobosyrenka Ariel. Jakby tak się zastanowić, to i tak wcale nie jest mało xDa ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:

FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Jeszcze z pół roku

Radek, ty w końcu jedziesz do tego Kijowa?

Nie wiem, Borys. Na razie czekam.

Ciągle na tę zgodę z parlamentu?

Nie, tam to już dostałem. Już mam też zgodę z NATO, od ONZ, z WHO, Rady Europy i OBWE.

No to na co?

Teraz czekam na zgodę z sanepidu.

Z sanepidu?

Po co ci sanepid?

Nigdy nie wiadomo, jakie tam panują warunki. Potem wrócę, wsadzą mnie na jakąś kwarantannę czy coś...

A jak już dostaniesz?

No to potem z górki: zaświadczenie z nadzoru budowlanego, z wydziału komunikacji, od lekarza rodzinnego, z wydziału

ksiąg wieczystych i zaświadczenie o niekaralności. I już, będę mógł jechać.

Ale to pewnie jeszcze z pół roku?

No, minimum.

Ty, ale już grudzień mamy.

Wojna się kilka miesięcy temu skończyła.

No co ja ci poradzę?

W PiS-owskim państwie tak to długo trwa. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wyjazd do Kijowa był ciągnięty przez lokomotywę wyborczą”.

LESZEK MILLER, były premier, w „Gazecie Wyborczej” o wizycie polityków z Polski, Czech i ze Słowenii w obleganym przez Rosjan Kijowie

Kaczyński przeżywa drugą młodość – to opinia, którą usłyszeliśmy ostatnio z kilku ust. „Wiosna, a może miłość?” – dopytywaliśmy niecierpliwie. Nic z tych rzeczy. Otóż szeregowy wicepremier, określany ostatnio nawet w swojej partii mianem starca, odmłodził z chwilą wybuchu wojny na Ukrainie. – Pracuje na pełnych obrotach, i to takich, że młodszy padają na twarz – mówią nasze wiewiórki.

Aktywność szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego przypomniała nam słynny cytat z Gałczyńskiego: „Gdy wieje wiatr historii / Ludziom jak pięknym ptakom / Rosną skrzydła, natomiast / Trzęsą się portki pętkom”. Cytat ów sprawił, że natychmiast pomyśleliśmy o Żym Donaldzie z Sopotu. W czasie, kiedy Fantastic Four jechała do Kijowa, Donald bohatersko przybił piątkę z szefem Jobbiku na Węgrzech. Nie wiemy, co się aktualnie trzęsie Donaldowi, ale coś powinno.

Apropos Jobbiku – to już nie prawicowi ekstremiści i nacjonalistyczne ksenofoby, ale cywilizowana centroprawica na kształt Romana Giertycha. Tak przynajmniej utrzymuje „GazWyb” od czasu, kiedy się Tusk z Jobbikiem zaprzyjaźnił. Czyżby czas, by Roman założył nowe konserwatywne skrzydło PeŁo? Nazwijmy je Rommik. Choć gdy spojrzymy na teorię i praktykę Jobbiku, to jednak w Polsce Donald powinien ścisnąć się nie z Rommikiem, tylko z Braunnikiem.

W polityce międzynarodowej dzieją się jednak także sprawy poważne. Na przykład stał się cud. Joe Biden odzyskał wzrok. Jeszcze niedawno bardzo niedomagał w tym zakresie, gdyż istnienia prezydenta Andrzeja Sebastiana nie zauważał, a wiewiórki z dyplomacji mówiły nam, że jeśli chodzi o relacje z USA po Trumpie, to jesteśmy w czarnej d.... Cud jednak nastąpił i teraz nasz Andy jest wielkim friendem wujka Joe. Rosja jednak zbliża ludzi i narody.

Przyjaźnie bywają też szorstkie. ZiZou Ziobro dość ostentacyjnie bojkotuje premiera Mateusza. Ale jego absencje na posiedzeniach rządu nie są tak szeroko komentowane jak nieobecność w innym gronie. Chodzi o operatywki, które odbywają się w tzw. bunkrze, czyli

zabezpieczonej przed podsłuchami specjalnej sali w siedzibie BBN. Biorą w nich udział wszyscy ministrowie, którzy mają cokolwiek wspólnego z kwestiami bezpieczeństwa, oraz szefowie służb specjalnych. Ale nie Ziobro, który jest z urzędu członkiem komitetu bezpieczeństwa.

Jeszcze o szorstkich przyjaźniach. Mija właśnie kolejny miesiąc bezkrólewia przy ul. Postępu. Wprawdzie podobno SWP Kaczyński zaakceptował kandydaturę Dariusza Barskiego na prokuratora krajowego, ale premier Mateusz ociąga się z tzw. kontrasygnatą. Cóż. Może gdyby ZiZou jednak przyszedł do tego bunkra na jakąś operatywkę, to dałby radę podsunąć ten kwit do podpisu?

Wracamy do wyprawy Fantastic Four do Kijowa. Były w niej i chwile zabawne. Na przykład młode gwiazdy PiS – Michał Moskał i Piotr Müller – skwapliwie zakrywały twarze, ukrywając się przed fotografami, naciągając maski covidowe na czoło i tak dalej. Wszystko po to, by udawać, że ich tam nie było. Niestety, cały wysiłek na nic, wszyscy widzieli, że byli. To się nazywa być postaciami charakterystycznymi.

Bardzo zainteresowała nas wypowiedź Radka Sknerusa Sikorskiego, który w odpowiedzi

na wyprawę Fantastic Four, znaczy Morawieckiego, Kaczyńskiego, Fiali i Janša do Kijowa, odparł z dumą: „Ja do Kijowa woziłem ministrów spraw zagranicznych Francji i Niemiec”. Wszystko jasne. Minister z Francji ważniejszy jest niż jakiś tam premier Czech, a minister z Niemiec – niż premier jakiegś tam Słowenii. Dla naszych europejskich kolonizatorów takie rzeczy to oczywista oczywistość.

Z powyższego wywodu Radka wynika jeszcze jedno – zwróćcie uwagę na zwrot „ja woziłem”. Radek jako minister Tuska z definicji jest ważniejszy od premiera ze Zjednoczonej Prawicy. Bo Czecha i Słowenka do Kijowa wiozł jedynie jakiś tam Morawiecki.

Wracamy na kierunek niemiecki. Jest nowy kandydat na ambasadora w Berlinie. To Dariusz Pawłowski, były szef Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie, do niedawna rzecznik prasowy ambasady. Sympatyczny, ale czy dostanie robotę, to kwestia otwarta. Kandydatura nie budzi entuzjazmu w Pałacu Prezydenckim. Przeważa tam opinia, że skoro Niemcy przysyłali do Warszawy byłego wiceszefa wywiadu, to powinniśmy odpowiedzieć kimś o większym wpływowym historyków panuje opinia, że Pawłowski jako spec od pojednania nie zawsze wykazywał się należytą asertywnością wobec Niemców.

Ze sportu. Jak wiecie niesie, Rosja chce zrezygnować z członkostwa w UEFA i przenieść się do azjatyckiej federacji piłkarskiej w nadziei, że tam ktoś będzie chciał z nią rozgrywać mecze. Popieramy. Znow wszystko będzie tak, jak być powinno, zgodnie z historią: Ruś Kijowska – Europa, Moscovia – Azja. To w sumie żadna wielka zmiana, to uznanie stanu faktycznego.

Nawet w czasach wojny potrzebne są elementy humorystyczne. Tym razem zwracamy uwagę na pomysł Ryśka Petru, by kandydować na prezydenta Wrocławia. Ponieważ Wrocław to nasze miasto rodzinne, chcemy zaprotestować. Jedynym miastem na świecie, któremu życzymy prezydentury Ryśka, jest ewentualnie Moskwa. Dwa miesiące z Ryśkiem i żadne sankcje nie byłyby już potrzebne. ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



PARTNER
STRATEGICZNY



EU ETS wciąż winduje ceny, wzrost dotyczy wszystkich

Wzrost cen energii dotyka mieszkańców całej Europy. Na podwyżki wpływ mają zarówno czynniki ekonomiczne, jak i polityczne. Jeszcze miesiąc temu mogliśmy wskazywać, że jego główną przyczyną są spekulacje windujące ceny uprawnień do emisji CO₂ (EU ETS), a także wysokie ceny surowców energetycznych, w tym węgla i gazu. Teraz doszły do tego czynniki czysto polityczne, związane z wojną, którą Rosja rozpętała na Ukrainie

24 lutego Rosja w sposób bezprecedensowy, łamiąc wszelkie międzynarodowe zasady, wkroczyła na Ukrainę i od tego czasu systematycznie niszczy kraj naszych sąsiadów. Początkowo atakowane były obiekty strategiczne, ale szybko okazało się, że na cel brane są również szpitale czy szkoły. Rosja wyrwała do góry nogami życie milionów ludzi, a Europa znów staje

w obliczu konfliktu, którego nie widziano na Starym Kontynencie od zakończenia drugiej wojny światowej.

POLSKI RZĄD OSTRZEGAŁ

Pośrednio skutki wojny odczuwa każdy z nas. To oczywiście przede wszystkim dramat Ukraińców, którzy albo giną w obronie swojego kraju, albo uciekają przed bombami. Głównie do Polski. Największy exodus ludności od lat

wpłynie też na naszą gospodarkę, a surowe sankcje nakładane słusznie na Rosję uderzą oczywiście w putinowski reżim, ale rykoszetem trafiają w każdy europejski kraj. Współczesny świat to przecież naczynia połączone, a Rosja dla wielu jest głównym dostawcą surowców.

Teraz Unia Europejska przekonuje się do tego, o czym polski rząd mówił od lat. Bezpieczeństwo energetyczne krajów członkowskich i niezależność energetyczna od Rosji są co najmniej równie ważne, jak powstrzymanie zmian klimatycznych.

Ceny energii jeszcze przed wojną zdążyły się dać we znaki zarówno przedsiębiorcom, jak i gospodarstwom domowym. Świat nie zdążył otrząsnąć się jeszcze z zawirowań spowodowanych pandemią. Wzrost cen paliw nakręcił spiralę podwyżek. Nie ominęły one również cen energii.



zmniejszania emisji gazów cieplarnianych i pierwszy na świecie rynek uprawnień do emisji dwutlenku węgla.

Rozwijająca się dynamicznie polska gospodarka potrzebowała i wciąż potrzebuje coraz więcej uprawnień. Więcej niż te, którymi dysponujemy. Borykamy się z deficytem o szacowanej wartości kilkuset mld zł. Jak wskazują eksperci Polskiego Komitetu Energii Elektrycznej (PKEE), to właśnie w ostatnich latach deficyt uprawnień na naszym rynku jest największy.

Problem ten dotyka szczególnie gospodarek tych państw, które ponoszą najwyższe koszty transformacji energetycznej. Jednocześnie system jest tak skonstruowany, że to właśnie one pośrednio mogą finansować tę transformację w państwach, które już mają duży udział OZE.

Problem potęgował lawinowy wzrost ceny uprawnień. Każda zmiana w tym zakresie to podwyższenie uśrednionych stawek energii elektrycznej, a przecież w ubiegłym roku mieliśmy do czynienia z trzykrotnym wzrostem kosztów emisji CO₂, który sięgnął poziomu 90 euro za tonę. W 2014 r. było to 6 euro... W rezultacie doprowadziło to do sytuacji, że ok. 60 proc. kosztu produkcji energii elektrycznej w Polsce stanowiły te związane z zakupem uprawnień do emisji.

Co prawda ceny uprawnień spadły po agresji Rosji na Ukrainę, jednak są one wciąż o wiele wyższe, niż wynikało z założeń twórców systemu. EU ETS wciąż jest więc ważnym czynnikiem cenotwórczym. Wahania na tym rynku wyraźnie pokazały, jak wielki jest udział spekulacji w kształtowaniu cen energii. I niestety, niezależnie od rozwoju sytuacji geopolitycznej, będą one wciąż rosły.

Rząd polski wielokrotnie próbował zwrócić uwagę na konieczność reformy systemu. „Obecna koncepcja unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS) jest błędna. Zamiast służyć zrównoważonej i sprawiedliwej polityce klimatycznej, handel emisjami CO₂ stał się narzędziem spekulacji” – pisał premier Mateusz Morawiecki w tekście opublikowanym w styczniu na portalu euractiv.com.

Misja dyplomatyczna, prowadzona na wielu poziomach, nie spotkała się z pozytywnym odzewem ze strony Komisji Europejskiej. Dalsze wysiłki przerwały jednak wydarzenia zapoczątkowane 24 lutego.

NABE DLA OZE

Nowa wojenna rzeczywistość uświadomiła europejskim przywódcom

pewne błędy w założeniach. Węgiel wciąż okazuje się potrzebny, a transformacja energetyczna nie może oznaczać całkowitego przejścia na OZE. System ma szansę być stabilizowany dopiero przez energetykę jądrową, ale do czasu uruchomienia elektrowni atomowych, które zaspokoją potrzeby energetyczne wszystkich krajów członkowskich jeszcze długa droga. Do tego czasu stabilizację mogą zapewniać jedynie elektrownie gazowe i węglowe.

Jest oczywiście zgoda w polskim obozie rządzącym, że dalszy rozwój OZE jest konieczny. Dlatego też Rada Ministrów przyjęła na początku marca zapowiadany jeszcze przed wojną projekt utworzenia Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego (NABE), który wiąże się z wydzieleniem wytwórczych aktywów węglowych ze spółek z udziałem Skarbu Państwa. W swoim założeniu NABE ma poprawić bezpieczeństwo energetyczne kraju. Z jednej strony zapewni bowiem stabilne źródła energii, a z drugiej spółki pozyskają środki na rozwijanie swoich inwestycji w OZE.

OSZCZĘDZAJ I ZYSKUJ

W obecnym czasie ograniczanie zużycia energii zyskało wymiar zarówno finansowy, jak i etyczny. I to nie tylko ze względu na dążenie do powstrzymania zmian klimatu, lecz także ze względu na powstrzymanie ekspansywnej polityki Rosji.

Powinniśmy, a nawet musimy nauczyć się efektywnie oszczędzać. Chodzi m.in. o proste nawyki, takie jak wyłączanie i odłączanie z prądu nieużywanych urządzeń i gaszenie niepotrzebnego światła. Pomóc może również bardziej ekonomiczne korzystanie z urządzeń AGD: włączanie dopiero zapelnianej pralki i zmywarki, gotowanie niezbędnej ilości jedzenia, a przede wszystkim wody, stosowanie pokrywek, niewietrzenie lodówki czy – w przypadku zakupu nowego sprzętu – zwracanie szczególnej uwagi na jego klasę energetyczną.

Polski Komitet Energii Elektrycznej uruchomił stronę internetową liczysieenergia.pl. Możemy zapoznać się na niej z informacjami o rynku energii i zrozumieć mechanizmy, które nim rządzą. Sporo miejsca poświęcono również właśnie oszczędzaniu energii. Dzięki praktycznym poradom, jak zmniejszyć zużycie prądu w domu, możemy realnie wpłynąć na wysokość rachunku.

W grudniu 2021 r. prezes Urzędu Regulacji Energetyki zatwierdził nowe taryfy dla gospodarstw domowych, zarówno dla sprzedaży energii, jak i dystrybucji. Efektem były podwyżki, które zaczęły obowiązywać od 1 stycznia. Rząd zareagował szybko, wdrażając rozwiązania tarczy antyinflacyjnej. Efektem było czasowe obniżenie stawki VAT i likwidacja akcyzy. W czasie szalejącej inflacji dla polskich rodzin liczyła się każda ulga dla portfela.

SYSTEM DO ZMIANY

Do wzrostu cen energii przyczyniła się nie tylko ogólna sytuacja gospodarcza, na którą ogromny wpływ miała pandemia, lecz także wypaczenie unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS). Przypomnijmy – to kluczowy element polityki UE na rzecz poprawy klimatu oraz podstawowe narzędzie do



Łukasz Warzecha

Jak nie zostać „ruską onucą”?
Czy wystarczy milczeć o ewentualnych
problemach związanych z pobytam
uchodźców w Polsce?

Jak zostałem „pachołkiem

To kremlowska propaganda, „putinowska narracja”, „jedź do Moskwy”, „jesteś pożytecznym idiotą”, „jaki jest kurs rubla?” – oto najczęściej pojawiające się komentarze do każdej opinii kwestionującej

najbardziej radykalną linię w sprawie wojny Rosji z Ukrainą. Nie trzeba usprawiedliwiać działań Putina. Nie trzeba nawet przypominać dzielących Polaków i Ukraińców spraw historycznych. Wystarczy zgodzić się ze

stanowiskiem, że NATO do wojny wejść nie może, przypominać, że interesy Polski i Ukrainy nie są w stu procentach identyczne, albo przewidywać, że Polakom trudno będzie znieść ekonomiczne ciężary sytuacji.



Putina”

Łatwość, z jaką dzisiaj można zostać „Putinowskim pachołkiem” i „agentem kacapów” opłacanym rublami, robi się niepokojąca, bo w gruncie rzeczy chodzi przecież o zdradę własnego kraju, ale też nie ma w niej nic specjalnie nowego.

Przypomina wiele sytuacji z przeszłości. Powiedzmy o dwóch: jednej dość odległej, drugiej – całkiem niedawnej.

Przed wybuchem drugiej wojny światowej sanacyjne władze rozkręciły propagandę sukcesu na niewidzianą

skalę. Polska pełna była plakatów o tym, jak to jesteśmy „silni, zwarci, gotowi”. Śpiewano piosenkę o marszałku Śmigłym-Rydz autorstwa legionisty Adama Kowalskiego:

**Marszałek Śmigły-Rydz,
Nasz drogi, dzielny wódz,
Gdy każe, pójdziem z nim
Najeźdźców tłuc
Nikt nam nie ruszy nic,
Nikt nam nie zrobi nic,
Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz.**

W tej atmosferze sceptyczni malkontenci byli uznawani za groźnych defetystów i w najlepszym wypadku cenzurowani, a w gorszym – umieszczani w Berezie. Taki los spotkał Stanisława Cata-Mackiewicza, który w liście do redakcji londyńskich „Wiadomości” w 1951 r. tak wspominał przyczynę swego kilkunastodniowego uwięzienia (od 24 marca do 8 kwietnia 1939 r.): „Muszę na to odpowiedzieć, iż powodem osadzenia mnie w Berezie było nie wychwalanie ustroju hitlerowskiego (którego nigdy w żadnym artykule nie chwaliłem, będąc zasadniczym przeciwnikiem wszelkiej monopartii), ale moje artykuły o konieczności trzech dywizji motorowych, które wtedy ogłaszałem, zaopatrując je ilustracją przedstawiającą ogromny czołg sowiecki, ogromny samolot niemiecki, a pośrodku małego ułana polskiego”.

Cat-Mackiewicz ośmielił się uderzyć w hurrapatriotyczną narrację, mówiącą o znakomitym przygotowaniu polskiej armii na odparcie ciosów, więc przez kilkanaście dni zmuszony był czyścić szczoteczką do zębów kible w Berezie. Mniej dotkliwe konsekwencje spotkały latem 1939 r. znawcę Niemiec i germanofila Władysława Studnickiego, który własnym sumptem wydał książkę „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej”, gdzie przewidywał, że Polska zostanie na placu boju sama i nie uratuje swojej niepodległości. Cały nakład został jednak skonfiskowany, zanim trafił do księgarń. Wkrótce okazało się, że niestety Studnicki miał rację. Polska walczyła w osamotnieniu i przegrała nie tylko w 1939 r., lecz także na kolejne 50 lat.

Analogia bliższa naszym czasom to epidemia COVID. O tym, jak próbowano zamykać usta ludziom, którzy nie zgadzali się z oficjalną narracją dotyczącą lockdownów, szczepień czy organizacji służby zdrowia, pisaliśmy w „Do Rzeczy” wiele razy. Przypomnę tylko,

FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

■ że lekarze tacy jak Paweł Basiukiewicz byli wzywani na przesłuchania przez okręgowe izby lekarskie w związku ze swoimi wypowiedziami – nawet jeśli jedynie przywoływali badania czy raporty.

Forsowano narrację, zgodnie z którą antyszczepionkowcem zostawał każdy, kto choćby na milimetr wychylił się poza obowiązującą linię, nawet jeżeli sam był zaszczepiony. To nienowoty zabieg, umożliwiający zamknięcie dyskusji poprzez wyrzucenie na out każdego z odmiennym zdaniem.

TO JEST AMOK

Jednak w przypadku wojny na Ukrainie mamy do czynienia z czymś poważniejszym, mówimy bowiem o sytuacji dotyczącej bezpieczeństwa polskiego państwa. Tymczasem można odnieść wrażenie, że znaczna część osób publicznych – komentatorów, analityków, polityków – wpadła w amok, straciła zdolność do racjonalnego oceniania sytuacji i zajęła się na wypródkę tropieniem ruskich onuc.

Co ciekawe, nastąpiło tu przeniesienie gotowego schematu z czasu wzmoczenia epidemicznego. Bardzo często te same osoby, które wówczas szermowały określeniem „antyszczepcy”, nierzadko łącząc sceptyczne stanowisko z „ruską agenturą”, teraz są pierwsze, gdy idzie o demaskowanie rzekomych agentów Kremla. Na obecną sytuację przeniósł się również polityczny schemat covidowy. Tak jak w sprawie epidemii i wprowadzania sanitarystycznych rozwiązań najgorliwsi byli wyborcy Lewicy i Koalicji Obywatelskiej, aczkolwiek w wielu przypadkach mówili jednym głosem z sympatykami PiS, tak jest i teraz. Najzaciętszymi tropicielami „ruskiej agentury” zostali sympatycy partii Donalda Tuska, ale dzielnie podążają za nimi fani ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego. Zabawny paradoks polega na tym, że dziś do uderzenia na Rosję nawołują często te same osoby, które jeszcze rok temu ostrzegały przed strasznymi skutkami wirusa i apelowały o szczerzenie się trzecią czy czwartą dawką. Wirus był straszny, a Rosja wyposażona w 4,5 tys. sprawnych głowic jądrowych strasza nie jest.

Nie ma wątpliwości, że w Internecie działają trolle – choć trudno jednoznacznie stwierdzić, przez kogo animowane i na czyją rzecz działające. Przeglądając podejrzane konta na Twit-

terze, stwierdziłem, że dziś jest równie dużo tych, które kolportują przekaz antyukraiński, co tych, które zagrzewają do bezmyślnego wejścia do wojny.

Problem w tym, że powstają już samowolne ośrodki cenzury, które oficjalnie chcą zapobiegać „dezinformacji”, a w istocie chcą po prostu wykluczenia nieprawomyślnych z dyskusji. To zresztą ponownie powtórzenie schematu z czasów epidemii.

Po stronie rządu taką rolę odgrywa sekretarz stanu w kancelarii premiera Janusz Cieszyński, były wiceminister zdrowia, obecnie odpowiadający za cyfryzację. Cieszyński w dniu wybuchu wojny napisał na Twitterze, zwracając się bezpośrednio do samego serwisu: „Hej @Twitter, chyba już czas pożegnać @MarcinRola89 i resztę V kolumny”. Pretekstem były antyukraińskie poglądy

Pomijając bełkotliwy styl wywodu, instytut stara się tym komunikatem zdyskredytować zawczasu tematy, które będą się w przestrzeni publicznej pojawiać, ale nie dlatego, że „zaimplementuje” je Kreml, tylko dlatego, że w naturalny sposób wynikają z rozwoju wypadków. To dotyczy i napięć pomiędzy uchodźcami a Polakami, i sytuacji gospodarczej. Jednak gdy zaczniemy o tym dyskutować, przeciwnicy takiej debaty wyciągną odpowiedni komunikat i zakrzykną, że oto realizowany jest zapowiadany przecież scenariusz rosyjskiej dezinformacji.

Cóż to jednak w ogóle jest ów instytut? Nazwa bowiem brzmi bardzo poważnie. Otóż jest to instytucja założona wiosną 2020 r. z kapitałem zakładowym 5 tys. zł. „Kadra instytutu”, jak możemy przeczytać na jego stronie internetowej,

Można odnieść wrażenie, że znaczna część osób publicznych straciła zdolność do racjonalnego oceniania sytuacji

Marcina Roli, kontrowersyjnego publicysty i właściciela internetowej telewizji wRealu24. Nigdy ich nie podzielałem, ale kuriozalna jest jednak sytuacja, w której minister w KPRM zwraca się do serwisu społecznościowego z apelem o skasowanie konta osoby, która nie popełniła żadnego przestępstwa i głosi poglądy w ramach przysługującej jej wolności słowa. Obecnie minister Cieszyński zajęty jest zapewnieniem obsługi informatycznej w związku z wpływem uchodźców, więc jego cenzorska aktywność spadła.

Jeszcze ciekawszy jest przypadek Instytutu Badań Internetu i Mediów Społecznościowych. Ta tajemnicza instytucja zaczęła publikować komunikaty, w których sygnalizowała, jakiego typu „dezinformacja” pojawia się w mediach społecznościowych lub pojawi się wkrótce. Niedawno IBiMS przestrzegał, że obniża się liczba postów prorosyjskich, ale „celem kolejnego etapu wrogich działań w polskich social media [tak w oryginalnie] będą próby implementacji emocji i przekazów dot. podziałów społecznych opartych na percepcji związanych z problemami gospodarczymi oraz tematyką uchodźczą”.

to czterech panów zawodowo zajmujących się budowaniem wizerunku w sieci, a „instytut” (bo nie da się tego już pisać bez cudzysłowu) to zwykła prywatna firma, świadcząca usługi PR-owskie w Internecie. W ofercie są m.in. pozyskiwanie danych sieciowych, bieżąca analiza treści i informacji, badanie sentymentu emocji czy ochrona wizerunku w sieci. Firma jednego z członków „kadry” instytutu, Michała Fedorowicza, Apostołowie Opinii, pracowała w 2016 r. dla rządu Beaty Szydło, sprawdzając „wpływ zagranicznych kont” (tak sformułowano to w umowie) na debatę o sądach w Polsce. Dziś „instytut” chce występować jako swoisty cenzor dyskusji o tym, jak Polska powinna się zachować wobec wojny na Ukrainie i związanych z nią wypadków.

EGZOTYCZNE SOJUSZE

W piętnowaniu niesłusznych głosów zawiązują się egzotyczne pozornie sojusze. Oto bowiem jednym głosem zaczynają mówić... „Krytyka Polityczna” i „Gazeta Polska”.

Na portalu tej pierwszej Przemysław Witkowski, „historyk idei, badacz ekstremizmów politycznych”, publikuje

tekst „Od koronapierdolca do porzucanych pachółków Kremla. Co słysząc w polskiej »partii rosyjskiej«”.

Witkowski zaczyna od dość jednoznacznego oznaczenia wroga:

„Federacja Rosyjska to rozsądne państwo terrorystyczne. Nie lokuje swojej agentury wpływu w jednej politycznej formacji. Gdyby tak było, jedna akcja ABW, i musiałaby zaczynać pracę nad budową siatki od zera.

Kluczowa jest tu dywersyfikacja portfela i raczej wzmocnienie prorosyjskich polityków w różnych ugrupowaniach, reprezentujących różne ideologie, niż próby koncentrowania ich w jednym miejscu. Tym bardziej w Polsce, kraju, w którym prorosyjskość to z racji trudnej historii bardzo ciężki kawałek chleba.

Dlatego głosy Kremla słysząc a to ze skrajnej prawicy, a to ze skrajnej lewicy, a to od konserwatystów, a to od liberałów i ogólnie pojętego centrum. Najbardziej zawsze widać tych ambitnych, narcystycznych, z parciem na szkło i niewyparzoną językiem”.

Można z tego wywnioskować, że wszystkie opisane następnie opinie i wszystkie umieszczone w tekście osoby to po prostu kremlowscy agenci. Witkowski piętnuje Grzegorza Brauna i Janusza Korwin-Mikkego, ale przyznajmy, że są oni łatwym i oczywistym celem w tym kontekście. Przygląda się prorosyjskiej partii Zmiana, ale znajduje w tym zbiorze również miejsce dla mnie, niestety bardzo pobieżnie: „Łukasz »Uberkierowca« Warzecha, ubolewający nad cenami benzyny sięgającymi 10 złotych za litr”.

W ten sposób publikowane przeze mnie ostrzeżenia dotyczące sytuacji gospodarczej, związanej m.in. z wysokimi cenami benzyny, stają się powodem, aby postawić mnie w jednym szeregu z osobami wprost oskarżanymi o pracę dla obcych państw, takimi jak wymieniony również w tekście Mateusz Piskorski, bohater niedawnego skandalu. Witkowski – jestem więcej niż pewien – nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, że opisując trudności gospodarcze, które nas czekają, łączę nieodmiennie z brakiem zdolności do budowy silnej armii, żeby odstraszyć w przyszłości rosyjskiego niedźwiedzia.

Spójrzmy teraz do „Gazety Polskiej”. Tam Dawid Wildstein opublikował tekst zatytułowany dość pokrętnie: „Między

proniemieckimi pseudoliberalami a prorosyjskimi pseudoprawicowcami”. Wildstein opisuje w nim najpierw całkiem sensownie to, co nas może wkrótce czekać w związku z napływem uchodźców. Ba, idzie nawet dalej, niż kiedykolwiek zdarzyło się mnie, bo wspomina o umieszczeniu wśród przybywających do Polski moskiewskich prowokatorów. Píše o możliwych napięciach, gdy skończy się ludzki zapał, a także o tym, że w masie ludzi będą się zdarzać różne osoby. Wszystko to racja. Ale już nie wtedy, gdy wspominają o tym „realiści”.

Co ci źli ludzie będą robić, Wildstein dokładnie opisuje: „Będą rozpowszechniać kłamstwo o tym, że rząd jakoby zaraz poprowadzi nas do wojny, a Putin, jeśli tylko nie będziemy go »drażnić«, nie zainteresuje się nami (najbardziej absurdalna z możliwych tez)”.

O mnie samym Wildstein pisze, że od początku konfliktu prezentuję „de facto prorosyjską narrację, usiłując zniechęcić Polaków do zaangażowania, powielając rozmaite fake newsy i ekonomiczne brednie pod płaszczykiem »realizmu«”. Strojąc się w szatki mędrca i jedyne go proroka, wciąż opowiada o polskim rządzie, chcącym wojny z Rosją, sprzeciwia się próbie silniejszych sankcji wobec Putina, bo zdenerwuje to Rosję, a przy okazji uderzy w ekonomię Unii. [...] Opowiada o konieczności uspokojenia emocji, którymi oczywiście kieruje się PiS, wsłuchania się zaś w głos sensownych elit (czyli jego). [...] Warzecha jest tutaj idealnym przykładem splecenia interesów dwóch sił politycznych: proniemieckich pseudoliberalów i prorosyjskich pseudoprawicowców”.

Wildstein przeinacza i sprowadza do absurdu kwestie, które są uprawnioną podstawą do dyskusji, tym samym zamykając jakąkolwiek debatę. Tymczasem faktem jest, że w polskiej elicie politycznej ścierają się postawy bardziej wstrzemięźliwe z bardziej ofensywnymi, niebezpiecznie balansującymi na granicy wciągnięcia Polski do wojny. Wystarczy wspomnieć sprawę przekazania Ukrainie polskich myśliwców MiG-29 czy nieco mgliście wyrażoną przez Jarosława Kaczyńskiego propozycję wprowadzenia na Ukrainę „misji pokojowej NATO”. Problemem jest również kwestia sankcji, które uderzając w Rosję, zarazem jednak uderzają też rykoszetem w UE, a także tym samym w Polskę – choć nigdy argumentem

przeciwko nim nie było dla mnie „denerwowanie Rosji”.

Najbardziej spektakularną i zarazem kuriozalną ofiarą rozkręconej do amoku nowej politycznej poprawności padł inny autor „Do Rzeczy”, Wojciech Cejrowski. W związku z jego analizą przyczyn wybuchu wojny wypowiedziano mu wynajętą już na spotkanie salę w Teatrze im. Jaracza w Łodzi, odwołano także jego spotkania w Poznaniu i we Wrocławiu.

Cóż straszego Cejrowski powiedział? Stwierdził mianowicie, że „Putin się denerwował, że broń atomowa wkrótce na Ukrainie się pojawi, była sowiecka, teraz będzie amerykańska”, a także, że „wcielenie Ukrainy do Unii Europejskiej to też jest zagrożenie [dla Rosji], od kiedy Unia Europejska zaczęła mówić o własnych siłach zbrojnych, które też przecież będą nuklearne”. Konkłudował, że „nic dziwnego, że Putin wjechał, żeby zabezpieczyć swoje przody i tyły”.

Uznanie, że te wywody to usprawiedliwianie lub nawet sympatyzowanie z rosyjską agresją, jest podwójnie absurdalne. Po pierwsze dlatego, że Cejrowski znany jest ze swojej szczerej niechęci do Rosji i Rosjan. Podczas targów książki w 2011 r. mówił na przykład w wywiadzie: „Nie lubię Ruskich z oczywistych powodów. Ruscy nie lubią nas, my ich nie lubimy, to są mordercy naszych dziadów, ojców, wujów, którzy nie chcą uznać swoich zbrodni. To są grabieżcy naszych dzieł kultury. [...] Mamy na pieńku z Ruskimi i dopóki nie zostaną rozwiązane tamte sprawy, to trudno mi ich lubić”. Takie stanowisko podróżnik prezentuje konsekwentnie od lat.

Po drugie – ponieważ gdyby przyjąć taki punkt widzenia, jaki przyjęli cenzorzy Cejrowskiego, trzeba by uznać, że każda analiza pokazująca sytuację na świecie z punktu widzenia Adolfa Hitlera, Józefa Stalina czy Pol Pota jest usprawiedliwianiem ich zbrodni.

Jak zatem nie zostać „ruską onucą”? Czy wystarczy milczeć o ewentualnych problemach związanych z pobylem w Polsce uchodźców czy może trzeba jednak opowiedzieć się za wejściem NATO do wojny? A może i to nie wystarczy i należy żądać natychmiastowego zajęcia przez Polskę obwodu kalininogradzkiego oraz benzyny po 30 zł za litr? Nie wiem, ale licytacja trwa.

Prawica w nowych kleszczach historii



Tomasz Rowiński

Sankcje na Polskę przegłosowane w UE nawet w czasie wojny mogą być oznaką kroku naprzód w kierunku niemieckiej idei federalnego europejskiego państwa. Konserwatywne wartości to teraz „putinizm”

Historia mówi nam, że wojny zostawiają zwykle znacznie głębszy społeczny ślad, niż może się to wydawać bezpośrednim obserwatorom lub osobom biorącym w nich udział. Wojny mogą rozgraniczać epoki do tego stopnia, że ludzie w nie wchodzący wydają się z perspektywy czasu zupełnie różni od tych, którzy z nich wychodzą. Doświadczenie dwóch wojen światowych w Europie całkowicie zmieniło nasz kontynent. Zadziały one jak dziejowa maszyna do mięsa, przetrącając nie tylko indywidualne losy, lecz także całe społeczne oraz polityczne struktury.

Wojna na Ukrainie, choć nie jest konfliktem światowym, jest jednak z całą pewnością wojną zastępczą pomiędzy Rosją i milcząco chcącymi skorzystać z sytuacji

Chinami a Zachodem. Mimo pogłębiającej się grozy obrazów śmierci i zniszczenia rosyjska agresja na Ukrainę – przynajmniej w pierwszych swoich dniach – wiązała się także z pewnego rodzaju entuzjazmem. Wielu polityków, komentatorów, a także zwykłych obywateli zobaczyło w tej wojnie szansę na odbudowanie jedności politycznej Zachodu zarówno w ramach NATO, jak i Unii Europejskiej. Nie ma co ukrywać, że nadspodziewana dzielność Ukraińców obudziła trudną do przezwyciężenia nadzieję.

Dodatkowym paliwem dla tych nastrojów stało się tzw. niemieckie nawrócenie. Kanclerz Scholz po miesiącach obstrukcji wobec politycznej i zbrojnej mobilizacji Zachodu, którego przywódcy od dawna spodziewali się rosyjskiego ataku, 27 lu-

tego wobec zgromadzonego Bundestagu ogłosił zakończenie niemieckiej polityki pacyfizmu i rozwój armii. Żenująca oferta 5 tys. hełmów jako „gest wsparcia” dla Kijowa symbolicznie zamieniła się na liczone w tysiącach egzemplarze broni przeciwpancernej i dziesiątki tysięcy ton paliwa. Zawieszono także uruchomienie gazociągu Nord Stream 2, który wobec niemieckiej deklaracji o konieczności uniezależnienia Europy od rosyjskich dostaw surowców ma szansę rzeczywiście pokryć się rdzą.

Zdawało się przez chwilę także, że pojawienie się wspólnego wroga pozwoli na porzucenie sporów, które rozrywają współpracę polityczną na Starym Kontynencie. Niektórzy komentatorzy stwierdzili, że zaczynają się korzystne dla Polski czasy nowej zimnej wojny. „Zimna wojna” miałyby oznaczać utrwalenie się sukcesu politycznego, którym okazało się przyjęcie przez naszych sojuszników opisu relacji Europa-Rosja, które polskie doświadczenie podsuwało im od dawna. W szczycie entuzjazmu można było nawet sądzić, że Unia Europejska zdejmie nogę z gazu w swoim oszalałym rajdzie ku postępowej utopii i zechce bardziej partnersko patrzeć

na różnorodność, którą pod względem politycznym i kulturowym reprezentują kraje wspólnoty.

PRZECIW POLSCE

Wydawało się także, że sytuacja wojny jest najlepszym momentem, aby wrócić do pomysłu dwustronnego formatu Berlin-Warszawa, w którym oba kraje, tak ściśle związane ze sobą gospodarczo, wypracują nowe zasady współdziałania, a także narysują mapę drogową kończącą konflikt z instytucjami unijnymi. Kolejne dni pokazują, że tego typu otwarcie w polityce Berlina jest coraz trudniejsze do wyobrażenia, a polski wysiłek podjęty, by pomóc Ukrainie, niekoniecznie stanowi jakikolwiek kapitał w polityce europejskiej. 10 marca w niemieckim dzienniku „Süddeutsche Zeitung” napisano – dając Polsce znaczący sygnał – że nie będzie „rabatu na praworządność pomimo wojny”.

Był to komentarz do mającego miejsce dzień wcześniej głosowania w Parlamencie Europejskim w sprawie rezolucji zmierzającej do zablokowania Polsce środków na podstawie mechanizmu o warunkowości. W rezolucji tej, obok dyskusyjnej kwestii praworządności, wytoczono przeciw Polsce cały arsenał europejskiego „wyznania wiary”, czyli tzw. wartości. Dowiedzieliśmy się, że w polskiej sprawie chodzi o to, by „przeciwdziałać uporczywym naruszeniom demokracji i praw podstawowych”, „atakami na wolność mediów i dziennikarzy” oraz atakami „na prawa kobiet”, „osoby LGBTQ”, „wolność zrzeszania i zgromadzeń”. I – crème de la crème – aby przeciwdziałać atakom na „migrantów”. Czy według Brukseli, która działa przeciw w duecie z Berlinem, źle przyjmujemy Ukraińców? A może nie powinniśmy bronić się przed białoruskim atakiem hybrydowym jesienią 2021 r.? Ostre zarzuty z rezolucji przeciw Polsce można by uczciwie skierować w stronę dyktatury Putina. A może właśnie o to chodzi?

Wojna Rosji z Ukrainą z pewnością pozostawi głębokie bruzdy w polityce europejskiej. Istnieje niebezpieczeństwo, że najbardziej przeorana – zaraz po Ukrainie – będzie Polska. Jeśli rezolucję przeciwko Polsce przegłosowano w samym środku wojny i kryzysu uchodźczego, wbrew licznym głosom postulującym przeniesienie tych spraw na później, to trudno widzieć w tym przypadek. Może to konsekwentna realizacja tzw. głodzenia Polski? Może to krok naprzód w kierunku niemieckiej idei federalnego europejskiego imperium

wartości? Te „wartości” stanowią dziś największy europejski problem. Radykalna lewicowa ideologia, która stała się „wiarą” głównego nurtu unijnej polityki, nie jest jedynie dodatkiem do interesów, które robią ze sobą państwa w ramach UE. Na naszych oczach stała się ona fundamentem wszelkich relacji. To dlatego odrodzenie w nowych warunkach zimnowojennego liberalno-chrześcijańskiego sojuszu (który miał wiele wad, ale i zalet, szczególnie w porównaniu z dzisiejszą sytuacją cywilizacyjną) przeciw rosyjskiemu imperializmowi nie jest już możliwe. Idee układają się dziś zupełnie inaczej. Po prostu źle.

NOWY OGLĄD „WARTOŚCI”

Krytyczny wobec działań PE wpis wiceministra sprawiedliwości Sebastiana Kalety z 9 marca, który pojawił się w mediach społecznościowych, został przez część komentujących odebrany bardzo jednoznacznie: „Serio broniś putinizmu?”. Wojna na Ukrainie przyniosła nowe rozdanie w kwestii tego, jak oceniane są wartości. Prawicowość, konserwatyzm, przywiązanie do katolickiej nauki społecznej, do naturalnych związków społecznych, takich jak rodzina czy wspólnota polityczna, coraz częściej jest utożsamiane z „putinizmem”. Bez wątpienia pewną zasługę mają w tym politycy prawicy. Niektórzy jeszcze tuż przed wojną – gdy cały świat oczekiwał pierwszego wystrzału – deklarowali „rozumienie dla rosyjskich racji”. To jednak tylko pretekst. Poglądy prawicowych ugrupowań były bowiem jedynie jaskrawym odcieniem przekonań zachodnioeuropejskiego establishmentu, który zagrożenie ze strony Rosji uważał – od lat – za fanaberię sezonowych państw Europy Wschodniej.

O co zatem chodzi? Skoro propaganda Putinowska kreuje – całkowicie instrumentalnie – swojego lidera na obrońcę zasad tradycyjnego społeczeństwa i zasad, które dziś kojarzą się z prawicowością, to dla lewicy jest to doskonała okazja, by przeprowadzić polityczną ofensywę. Pojawiła się okazja stygmatyzacji i dalszej marginalizacji tych, którzy krytykują neokomunistyczne credo składające się z takich „wartości” jak walka z religią, rodziną, aborcja, agenda politycznego ruchu homoseksualnego, ideologia gender, wczesna seksualizacja dzieci, a także presja – np. poprzez głoszenie uprzywilejowania migrantów – na osłabienie państw narodowych. Z tych „wartości” składa się także filozofia publiczna państwa niemieckiego, w tym kanclerza Scholza. Zatem, owszem,

Zachód może – skoro musi – prowadzić swoją „proxy wojnę” z Rosją, ale w narracjach będzie ją ubierał w szaty konfliktu cywilizacji „wolności i demokracji” z rzekomymi relikami cywilizacji chrześcijańskiej, której reprezentacją ma być dziś Moskwa.

Atak Rosji na Ukrainę, a także propagandowe kłamstwa Putina pozwalają obecnie lewicy głosić starą, fałszywą pogłoskę, według której prawicowość, konserwatyzm, tradycjonalizm to postawy ludzi o osobowości autorytarnej. Pozwala to oczywiście odwrócić spojrzenie publiczności od tego, że totalitaryzmy były poruszane przez postępowe idee. Konsekwentnie „putinistami-faszystami”, „ruskimi onucami” w tym nowym moralnym i ideowym „ładzie” federalnego europejskiego imperium wartości muszą zostać katolicy, działacze pro-life, obrońcy praw rodziny czy po prostu religijni chrześcijanie.

Dynamika debaty publicznej, którą obserwujemy w Polsce, powinna otępić nas z nadzieją na nowe rozropnościowe rozdanie w powojennej polityce. Gdy – dla przykładu – poseł PO Michał Szczęcha w związku z oszalałymi proputinowskimi wypowiedziami hierarchów patriarchatu Moskiewskiego zaczyna nawoływać do budowy „świeckiego państwa” w Polsce, łatwo pojąć, w którą stronę sprawy mogą się potoczyć. Kościół, katolicy czy – szerzej – obywatele sprzeciwiający się dekadencji zasad społecznych mogą stać się w powszechnej świadomości wrogami wolności i demokracji, poplecchnikami Putina. Istnieje realna szansa, że schemat ten może się utrwalić.

Nie powinniśmy mieć złudzeń, że wojna ukraińska stanie się pretekstem do powstania nowego sojuszu rozropności i wolności, zgody liberałów i chrześcijan, jaki miał miejsce po drugiej wojnie światowej. Najprawdopodobniej wojna zostanie wykorzystana do konsolidacji politycznej neokomunizmu, który rozsiadł się na Zachodzie. Tragizm polskiej sytuacji polega na tym, że wśród potęg Wschodu i Zachodu nie mamy sojuszników dla naszych tradycyjnych, a także dla konstytucyjnych zasad społecznych. Czy sprawy mogą pójść w innym kierunku? Z pewnością, wszak nie ma determinizmu w historii, a decyzje ludzi – przywódców i narodów – nieraz odmiennie jej przebieg i rutynowego na całkowicie nieprzewidziany. Zatem wiele jest w naszych rękach. Na dziś jednak trzeba sobie otwarcie powiedzieć: „Filistyni są ponad nami” (Sdz 15, 11) i to jest nasz punkt wyjścia.

KAROL GAC: Polska prokuratura wszczęła śledztwo w związku ze zbrodnią wojny napastniczej, której ofiarą padła Ukraina. Zapowiedział pan też wysłanie pisma procesowego do Międzynarodowego Trybunału Karnego. Sądzi pan, że Władimir Putin stanie kiedyś przed Trybunałem w Hadze?

ZBIGNIEW ZIOBRÓ: Na to liczę. Podejmujemy działania w przekonaniu, że znajda efekt w postaci pociągnięcia winnych do odpowiedzialności karnej. Nasi sąsiedzi, stawiając czoła rosyjskiej agresji, nie są teraz w stanie w pełni dokumentować zbrodni wojennych, co przyznała w rozmowie ze mną prokurator generalna Ukrainy. Dlatego zaoferowałem pomoc. Do Polski trafiły już prawie 2 mln uchodźców. Wielu z nich było świadkami rosyjskich przestępstw i zbrodni. Zbieramy ich zeznania. Będą materiałem dowodowym możliwym też do wykorzystania w śledz-

Patrzac na to, co się dzieje, musimy wyraźnie rozróżnić NATO i Unię Europejską. Putin boi się NATO, za którym stoją realne wojskowe zobowiązania. Nie ukrywajmy, głównie potencjału militarnego armii USA. Putin to bandyta, a bandyta zawsze boi się silniejszego. Za to bezkarnie igrał sobie z Unią Europejską. Trzeba uczciwie i głośno powiedzieć: to Unia w ogromnym stopniu przyczyniła się do zbudowania jego potęgi.

Wydaje się, że gdyby nie praca polskiej dyplomacji, to stanowisko Zachodu i nałożone sankcje nie byłyby tak twarde. Widać było duże wahanie u części państw UE.

Władimir Putin to morderca i psychopata żądny władzy. Zachód był odporny na tę wiedzę, zwłaszcza Niemcy, które narzuciły prorosyjski kierunek unijnej polityki.

mu to na sucho. Co więcej, Putin zaczął – za sprawą Unii Europejskiej – sprzedawać więcej rosyjskiego gazu niż kiedykolwiek wcześniej, co ostatecznie uzależniło Europę od rosyjskiego dyktatora.

Poza żądzą pieniądza, szczególnie w przypadku niemieckich polityków, być może mają też znaczenie obciążające ich materiały zbierane przez wschodnio-niemiecką policję polityczną Stasi. Putin z nią współpracował, gdy jako rezydent KGB, pod fałszywym nazwiskiem Płatow, spędził kilka lat w NRD.

Osobiste „zasługi” w lansowaniu potwora, który dziś morduje kobiety i dzieci na Ukrainie, miała kanclerz Merkel. Gdy Putin ostentacyjnie uprawiał państwowy terroryzm, budowała z nim kolejne nitki gazociągu Nord Stream. Gdy Ukraina jeszcze w trakcie pierwszej rosyjskiej agresji



Ze Zbigniewem Ziobrą, ministrem sprawiedliwości rozmawia Karol Gac

To UE zbudowała potęgę Putina

twie międzynarodowym. Właśnie spotkałem się w Medyce i Warszawie z głównym prokuratorem Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, Karimem Khanem. Ustalamy zasady ścisłej współpracy.

Jakie zadania stoją zatem przed polską prokuraturą?

Jej postępowanie jest częścią wielkiej całości działań państw wolnego świata, które dokumentują rosyjskie zbrodnie. Podstawowy materiał to właśnie zeznania świadków. Muszą być jednak zaprotokołowane. Dadzą międzynarodowemu sądowi podstawę do wydania wyroku.

Spodziewa się pan trwałej zmiany postawy Zachodu, zwłaszcza Niemiec, wobec Rosji i Władimira Putina?

Ignorowały bandycką politykę Putina, której przejawem była najpierw agresja na Czeczenię, potem Gruzję oraz pierwsza – zakończona aneksją Krymu – agresja na Ukrainę. Niemcom nie przeszkadzały ani rosyjskie zbrodnie wojenne, ani łamanie prawa międzynarodowego, ani polityczne mordy dokonywane przez najemników Putina na jego przeciwnikach – niezależnych dziennikarzy czy liderach demokratycznej opozycji w Rosji.

Cyniczne i zepsute zachodnie elity gardłowały o wartościach, a jednocześnie napełniały petrodolarami kremłowską kasę. Putin je korumpował. Jak ogromny błąd w relacjach z Rosją popełniły państwa Zachodu, wygarnął ostatnio brytyjski premier Boris Johnson. Przyznał, że gdy Putin dokonał aktu brutalnej agresji i zajął ogromny kawałek Ukrainy, Zachód pozwolił, by uszło

prosiła Niemcy o zniesienie blokady na dostawy broni, spotkała się z odmową. Przy wsparciu Niemców trwała za to budowa centrum szkoleniowego dla rosyjskich wojsk pancernych na poligonie Mulino. A dziś wojsko ukraińskie w zniszczonych rosyjskich pojazdach znajduje niemieckie części.

Stanowisko kanclerza Scholza też pozostawia mnóstwo do życzenia. Nawet kilka dni po napaści Rosji na Ukrainę Niemcy udawały, że nic się nie dzieje. Zadawały się obietnicą wysłania Ukraińcom hełmów. Dokonały zwrotu dopiero, gdy groziła im totalna kompromitacja. Wbrew deklaracjom Scholza z Bundestagu blokują odcięcie Rosji od bankowego systemu





SWIFT, z którego wciąż korzystają najważniejsze banki Putina, w tym bank Gazpromu. Niemcy nadal nie chcą się zgodzić na wspólną decyzję całej UE o zaprzestaniu kupowania na olbrzymią skalę rosyjskiego gazu i ropy. A to dostarcza Putinowi strumienie pieniędzy. Niemcy biorą więc moralną odpowiedzialność za rosyjskie zbrodnie na Ukrainie. I taki stan rzeczy w pełni aprobuje główni decydenci UE, którzy mają usta pełne frazesów o wartościach, gdy pouczają Polskę.

Skoro do Polski trafiły już prawie 2 mln uchodźców, to może to czas, by Bruksela odblokowała KPO i pieniądze unijne?

Brak takiej decyzji to dziś wspieranie Putina. Musiał rechotać już wtedy, gdy Unia robiła z nim interesy mimo jego zbrodni, ale to Polsce zarzucała łamanie praworządności. Dziś podejmujemy tytaniczny wysiłek, udzielając gościny ukraińskim uchodźcom. Ich liczba przekracza już połowę liczby uchodźców, których przyjęła Turcja po wybuchu, wspieranej przez Rosję, wojny w Syrii. Na pomoc dla uchodźców z Syrii UE przyznała Turcji 6 mld euro, a dla wszystkich krajów, które dziś pomagają uchodźcom z Ukrainy – raptem pół miliarda. W tej sytuacji wstrzymywanie należnych Polsce pieniędzy z funduszu odbudowy, co od początku było skandalem, jest już sprawą haniebną. Putin triumfuje. Ale UE dziś bardzo chce, żeby to Polska wzięła na siebie główny ciężar przyjęcia uchodźców. Mają więc teraz własny interes, by te środki odblokować.

Sądzi pan, że wojna otrzeźwi Brukselę?

Liczyłem na to i miałem nadzieję, że wojna otrzeźwi też polską opozycję. Daremnie. Z UE wciąż płyną miliardy na wojnę Putina, a Parlament Europejski nie egzekwuje sankcji wobec Rosji, lecz chce je nakładać na Polskę. Taka jest intencja rezolucji, którą europarlament przyjął w 15. dniu wojny na Ukrainie. Jej inicjatorami byli europosłowie Europejskiej Partii Ludowej, na której czele stoi Donald Tusk. Totalna opozycja w Polsce dąży do przejęcia władzy za wszelką cenę, a Unia i zwłaszcza Niemcy, które odgrywają w UE dominującą rolę, wykorzystują jej zacierzewienie, cynizm i głupotę, żeby nas osłabiać. Mimo największego od drugiej wojny światowej militarnego konfliktu, który zagraża całej Europie, Bruksela i Berlin nie rezygnują z tego, żeby podporządkować sobie Polskę. Dlatego tak bardzo szanują Ukraińców, którzy z determinacją walczą o swoją

FOT. TOMASZ ASTRZEWSKI/REPORTER

■ suwerenność. A ta może być zabierana w różny sposób – siłą albo podstępem.

Jeszcze przed rosyjską inwazją prezydent Andrzej Duda złożył projekt nowelizacji ustawy w sprawie Sądu Najwyższego, który zakłada likwidację Izby Dyscyplinarnej. To krok w tył, by porozumieć się z Brukselą?

Polityka ustępstw prowadzi donikąd i rozzuchwala. Z jednej strony totalną opozycję w Polsce, a z drugiej – establishment w Brukseli i Berlinie.

Swoje projekty zgłosiły też PiS i Solidarna Polska. Może w takim razie Zjednoczona Prawica powinna najpierw porozumieć się we własnym gronie?

Uważałem, że z Unią trzeba rozmawiać językiem, który rozumie, czyli językiem interesów. Mogliśmy skutecznie uderzyć w jej interesy, zgłaszając weto w ważnych dla niej sprawach. Zagonilibyśmy ją do kąta, zmuszając do liczenia się także z polskim punktem widzenia. Zgadanie się na wszystko i stawanie na baczność przed UE to błąd. Polski prezydent zawiózł do Brukseli swój projekt, ale szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen nawet nie raczyła się do niego odnieść. A następnego dnia, niejako w odpowiedzi, w upokarzający dla prezydenta sposób wysłała do Polski kwit z żądaniem zapłaty kary za niezamknięcie Turowa. Nawiasem mówiąc, wyobraźmy sobie, co by było w obecnej sytuacji, gdybyśmy zgodzili się zamknąć elektrownię w Turowie. Parę dni później Ursula von der Leyen deklarowała radość z orzeczenia TSUE, który usankcjonował ekonomiczny szantaż wobec Polski. A niemiecka prasa po wizycie prezydenta triumfowała, że polityka ekonomicznego szantażu wobec Polski ma sens, bo prezydent Duda się ugiął.

Jeśli prezydent lubi takie wizyty i politykę uległości, to jego sprawa, ale reprezentuje też majestat Rzeczypospolitej i jest strażnikiem polskiej suwerenności. Prezydent pojechał po prośbie, pokazując swój projekt, a efektem słabości i ustępstw będzie w przyszłości eskalacja żądań wobec Polski i jej dalsze upokarzanie. Polityka białej flagi tylko rozzuchwala Unię. Jedyne, co już po wizycie prezydenta istotnie zmieniło sytuację, to wybuch wojny na Ukrainie. Interes bezpieczeństwa i problem uchodźców zapewne chwilowo skłonią establishment brukselski do zmiany polityki.

TSUE, jak pan wspominał, oddalił skargę Polski i Węgier w sprawie mechanizmu „pieniądze za praworządność”, który uzależnia wypłatę unijnych pieniędzy

od praworządności. Zarzucił pan wówczas premierowi, że popełnił historyczny błąd.

Tak. Zgoda na mechanizm „pieniądze za suwerenność” była historycznym błędem. To stwierdzenie ilustrujące rzeczywistość. Między nami przez wiele miesięcy toczył się spór. Przekonywałem premiera, że to się tak skończy. Czas rozstrzygnął ten spór i nie mam z tego powodu satysfakcji, że wyszło na moje, bo Polska ma problem.

Premier i jego otoczenie przekonują jednak, że nie mamy się czego obawiać, bo uzasadnienie orzeczenia TSUE jasno wskazuje, iż chodzi o zagrożenie dla budżetu, co ma przeciwdziałać malwersacjom.

To gdzie są te należne nam od wielu miesięcy pieniądze z Funduszu Odbudowy? Unia faktycznie zastosowała już mechanizm warunkowości, dlatego nie wypłaca nam pieniędzy. Argumentacja, o której pan mówi, jest nielogiczna. Skoro mechanizm warunkowości można stosować wtedy, gdy występuje już samo zagrożenie, tym gorzej dla nas. Bo ocena, czy zagrożenie istnieje, jest subiektywna. Nie musi się opierać na faktach.

Krytykuje pan bardzo mocno premiera Morawieckiego.

Krytykowaliśmy premiera, gdy zgodził się na mechanizm warunkowości i zastrzeżenie pakietu klimatycznego. Jednak dziś doceniam i chwale rolę premiera Morawieckiego w działaniach polskiego rządu w związku z napaścią Rosji na Ukrainę. Podobnie jak cenię sobie postawę prezydenta w tej sprawie. Uczciwie trzeba powiedzieć, że kluczową rolę, choć niewidoczną medialnie, w trudnej dla Polski sytuacji odgrywał Jarosław Kaczyński. To dzięki jego wsparciu i zaangażowaniu, które przez miesiące obserwowałem w Komitecie Bezpieczeństwa, minister Błaszczak mógł przygotować przyjętą właśnie przez Sejm ustawę o obronie ojczyzny, kluczową dla bezpieczeństwa państwa. Dziś widać, jak ważne jest, że władza nie trafiła w ręce takich ludzi jak Donald Tusk czy Radosław Sikorski, który jako szef polskiej dyplomacji na łamach niemieckiej prasy zapraszał Rosję do NATO. Strach pomyśleć, co by było, gdyby Polska rządzona przez takich ludzi miała się dziś mierzyć z kryzysem wywołanym wojną na Ukrainie.

Wracając do kwestii unijnych, czy spodziewa się pan, że Bruksela szybko uruchomi mechanizm warunkowości wobec Polski?

Od wielu miesięcy już go stosuje. Jak już wspominałem, nie dostaliśmy nawet

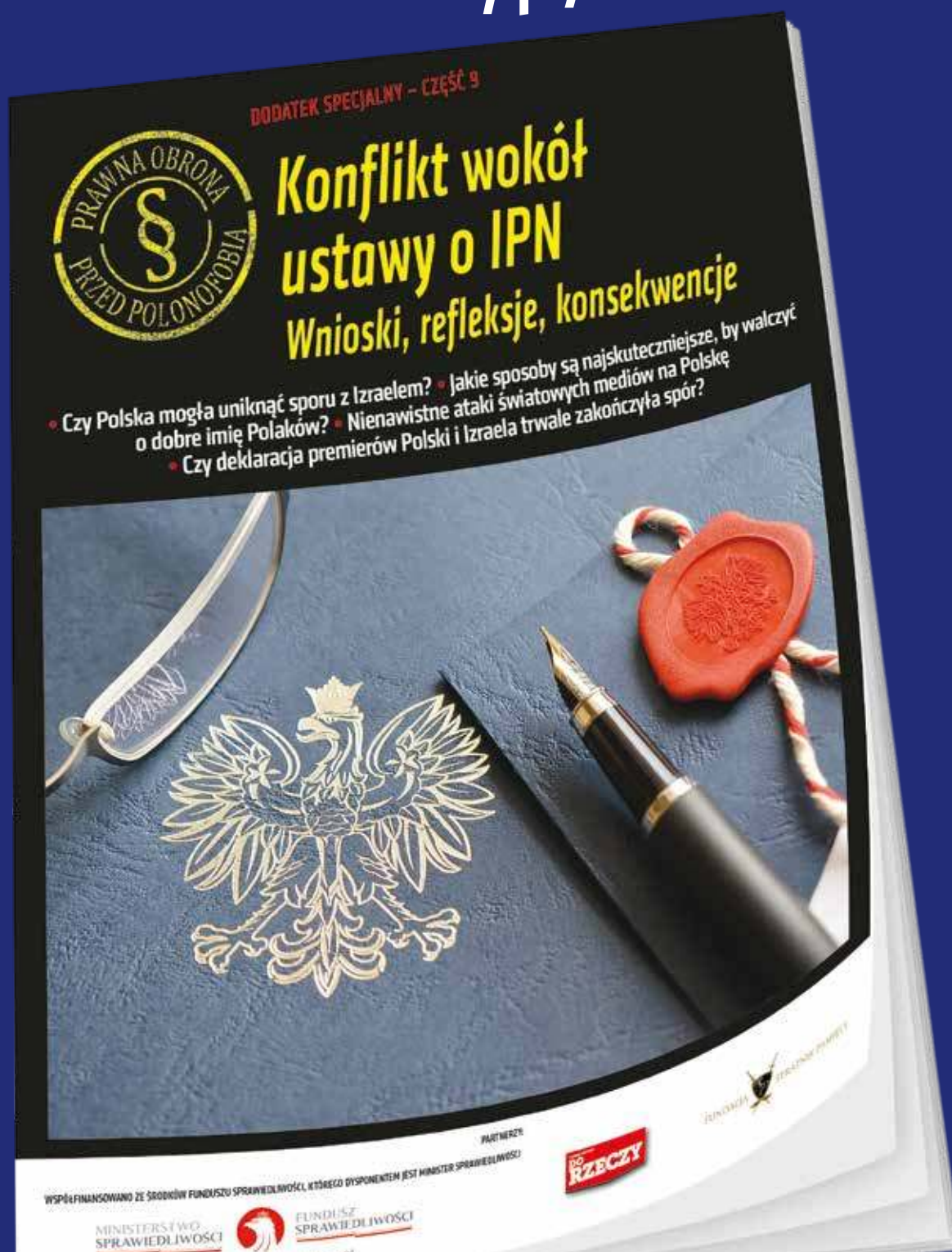
eurocenta z należnych nam funduszy. Bruksela nakłada sankcje na Polskę, a nie chce bezwzględnie stosować ich wobec Putina. Wciąż pozostawia mu furtki i zasila pieniędzmi. To Unia żywiła tego potwora i gdyby nie ona, nie byłby tak silny. Dziś widać – jak na dłoni – różnicę między Polską a takimi krajami jak Niemcy. Polski rząd podejmuje odważne inicjatywy, by postawić tamę zbrodniczej rosyjskiej machinie wojennej. W Berlinie tymczasem bardziej zajmują się tym, jak ratować interesy z Putinem. Jednak musimy sobie dziś uświadomić, że wojna zmienia wszystko. Polska, jako największy kraj graniczący z obszarem, gdzie toczy się wojna będąca realnym zagrożeniem dla świata, paradoksalnie stała się dziś dla krajów Europy Zachodniej kluczowym partnerem. Tak w zakresie bezpieczeństwa, jak pomocy humanitarnej czy wreszcie militarnej. A nawet prowadzenia międzynarodowego śledztwa w sprawie rosyjskich zbrodni wojennych na Ukrainie. Unia Europejska nie może sobie w tej sytuacji pozwolić – bez poważnego ryzyka – na kontynuowanie sankcji wobec Polski. Każde uderzenie w Polskę i destabilizowanie sytuacji w naszym kraju wpisuje się w strategię Kremla. A ważna i pozytywna rola naszego państwa w procesie bezpieczeństwa i przywracania w przyszłości pokoju na Ukrainie wpisuje się w interes wolnego świata. Tę nową sytuację powinni sobie uzmysłowić polscy politycy, którzy prowadzą negocjacje z UE.

Sądzi pan, że zmiana UE jest możliwa?

Kryzysy zmieniają politykę. Wojna się do tego przyczyni. Unia, w tym zwłaszcza Niemcy, nie będzie mogła wrócić do interesów z Putinem, jakby nic się nie stało. Nie łudźmy się, zrobią to jednak szybko, gdy Putina zastąpi inny satrapa – taki sam jak on, ale udający „liberała”, który ogłosi odwilż i otwarcie na Zachód. Dlatego musimy prowadzić w ramach UE twardą politykę, wzmacniać naszą pozycję i bronić suwerenności z nie mniejszą determinacją niż Ukraińcy na wojnie. Zagrożeniem dla naszej suwerenności jest budowa unijnego superpaństwa, którą nowa niemiecka koalicja rządowa zapisała nawet w swoim programie. Nie chcę rządzanego przez Niemcy superpaństwa ani niemieckich hełmów, gdybyśmy z ich winy mieli w przyszłości stawiać czoła takiej napaści, jak dziś Ukraincy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl.a0556657ee

Jak wojna przeorala krajową politykę

Jeśli sprawuje się władzę, to trzeba umieć z niej korzystać. Ale żeby osiągać w polityce sukces, trzeba jeszcze umieć uruchamiać emocje, a nie trzymać się tylko kalkulacji. Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki jadąc do Kijowa, wskrzesili pamięć o wyprawie Lecha Kaczyńskiego do Tbilisi. Pokazali, że umieją korzystać z władzy, aby demonstrować ciągłość polityki wschodniej PiS od 14 lat. Na tym tle działania opozycji od wybuchu wojny wyglądają słabo. Donald Tusk i inni przywódcy opozycji albo mówią to samo co PiS, albo krytykują rządzącą partię, że robi za mało w stosunku do sytuacji, choć ludzie raczej widzą, że jak na arcytrudną sytuację obóz dobrej zmiany radzi sobie nieźle. Opozycji pozostaje niewiele przestrzeni. W wypadku Platformy kulą u nogi zaczyna być pamięć o krótkowzrocznej polityce resetu w stosunkach z Putinem z lat 2007–2015.

Bohaterska obrona Ukrainy przed Rosją Putina trwa dopiero od ponad



Piotr Semka

Wojna na Ukrainie już wywołała zmiany w polskiej polityce krajowej. W jakiej sytuacji znalazły się dziś partie opozycji, a w jakiej obóz dobrej zmiany?

20 dni, a już wywołała zmiany w polskiej polityce krajowej. Sprowadziła dawne, rozdmuchane przedmioty sporów do właściwej, znacznie mniej dramatycznej skali, a nowym zagrożeniom nadała odpowiednio wyższą rangę. W jakiej sytuacji stawia to partie opozycji, a w jakiej obóz dobrej zmiany?

KŁOPOTLIWE PAMIĄTKI

„Zdjęcia z Putinem będą palić Donalda Tuska w oczy” – to zdanie wypowiedziałem w „Salonie dziennikarskim” TVP i ściągnęło ono na mnie w sieci furię

zwolenników PO. Internauci lubujący się w hashtagu „Silni razem” wyszukiwali odpowiednio wykadrowane zdjęcia ze szczytów międzynarodowych z Lechem Kaczyńskim stojącym za Putinem czy wspólne zdjęcie byłej PiS-owskiej szefowej MSZ Anny Fotygi czy Jarosława Kaczyńskiego z ministrem Siergiejem Ławrowem. Miała to być odpowiedź na zdjęcie Donalda Tuska z jego wizyty w Moskwie w 2009 r. czy ze spaceru z niekoronowanym carem Rosji po sopockim moło przed obchodami na Westerplatte 70. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej.



Konferencja podczas wyjazdu do Kijowa premierów Polski, Czech i Słowenii oraz wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Nie można w żaden sposób porównywać zwrotu ku Rosji rządu PO z polityką PiS z lat 2005–2007. Tusk po przejściu władzy w 2007 r. zaakceptował wygodną dla Rosji tezę, że za zepsucie się relacji na linii Warszawa – Moskwa odpowiadają jedynie bracia Kaczyńscy. Taka uległość doskonale pasowała do linii Berlina, który coraz wyraźniej wchodził wtedy w surowcowo-ekonomiczny sojusz z Kremlm. Wyjazd prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Gruzji w 2008 r. jest komentowany przez polityków PO jako awanturnictwo. Główną troską platformersów jest to, czy głowa państwa miała prawo naciskać na pilota prezydenckiej maszyny, by lądował na lotnisku nieopodal Tbilisi.

Potem zaczyna się do dziś niejasna gra rządu Tuska z Rosjanami w sprawie wizyty Lecha Kaczyńskiego i oddanie śledztwa po katastrofie 10 kwietnia w ręce Rosjan pod wpływem paru życzliwych słów Putina.

Od ok. 2013 r. Tusk stara się o stanowisko szefa Rady Europejskiej i tym bardziej

uważa, by zyskać opinię kogoś ogarniętego antyrosyjską pasją, i nie robi nic, by zakłócić relacje z Rosją.

Za to wszystko przychodzi Tuskowi płacić pełny rachunek politycznej odpowiedzialności dopiero dziś – gdy jasne są już bandyckie skłonności Putina. I krytykę tę formułują nie tylko politycy PiS. Paweł Kukiz mówił niedawno w wywiadzie dla Polskiego Radia: „Każdy człowiek normalnie myślący, bez względu na jakieś przynależności, na opcje polityczne, od lat zdawał sobie sprawę z tego, że polityka administracji Obamy, polityka Francji, polityka Niemiec w szczególności i polityka tych liberalnych partii w Polsce jest dramatyczna, zbuduje potwora”. „Jesteście współwinni tym zbrodniom, które w tej chwili dokonują się na Ukrainie. A wszystkich tych, którzy kontestowali to wasze postępowanie, nazywaliście i nazywacie oszołomami, prawakami, faszystami, Bóg wie, kim jeszcze” – dodał.

Publicyści zastanawiają się, dlaczego prezydent Wołodymyr Zełenski, przemawiając do polskich parlamentarzystów, uznał za stosowne przypomnieć o tajemnicy Smoleńska. Ale nie tylko on porusza tę nutę. Oto były zastępca Putina z czasów jego premierostwa, Siergiej Rogozin, nawiązał do katastrofy smoleńskiej, reagując na wizytę Jarosława Kaczyńskiego w Kijowie. Przesadą jest głoszenie po prawej stronie, że jest to przyznanie się Rosji do brudnej roboty. Ale świadczy to o tym, że Smoleńska nie da się zapomnieć. Owszem, PiS wycofał się z badania sprawy, uznając zapewne, że wypadku nie da się dziś jednoznacznie wyjaśnić. Ale to nie znaczy, że katastrofa z 10 kwietnia przestała rzucać ponury cień na Tuska i PO.

Ten „putinowski” cień ciągnący się za Tuskiem może teraz wzmocnić pewność siebie np. Szymona Hołowni, który rywalizuje z szefem PO o to, kto będzie odgrywać rolę lidera opozycji. Wznowi też ciche dyskusje w Platformie, czy ambitny gdańszczanin jest dla swej partii atutem czy obciążeniem. A minie już niedługo dziewięć miesięcy rządów byłego premiera nad główną partią opozycji.

„Tusk jest jak czarny kot przynoszący pecha wszystkim, z którymi się wiąże” – kpił w Budapeszcie Viktor Orbán, komentując wizytę Tuska 15 marca na wiecu węgierskiej opozycji. Polityka uśmiechów wobec Putina była wyrazem niedojrzałości PO i jej lidera. Wynikała z chęci odegrania się na PiS, posłuszeństwa wobec aktualnej linii Berlina i Waszyngtonu i wreszcie była elementem szerszej naiwnej polityki Europy wobec rosyjskiego niedźwiedzia.

Skoro w Niemczech media stawiają pytania, w jakim stopniu polityka Angeli Merkel ośmieliła Putina do planowania agresji na Ukrainę, to dlaczego podobna dyskusja nie miałaby objąć Donalda Tuska?

OCIEPLONY WIZERUNEK WROGA

Opozycja ma zresztą szerszy problem z wojną na Ukrainie. Przebieg wydarzeń wywraca do góry nogami wiele wątków propagandy obozu antykacyzmu. Trudno kontynuować tezy o międzynarodowej izolacji Polski, gdy czołowe postacie administracji USA niemal mijają się na polskich lotniskach. Trudno lansować tezę o Kaczyńskim jako ukrytym stronniku Putina, gdy Siergiej Rogozin grozi mu kolejnym Smoleńskiem. Trudno kreować wizerunek ksenofobicznej władzy, gdy rząd przerzuca ustawę dającą przybyłym z za

Donald Tusk i Władimir Putin na sopockim moście przed obchodami 70. rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej na Westerplatte FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK



■ wschodniej granicy, głównie Ukrainom, szerokie przywileje socjalne. W tej samej chwili, gdy Niemcy dławia się znacznie mniejszą liczbą wygnańców z Charkowa, Chersonia czy Zaporozża.

„Trzeba było wojny, żeby zobaczyć lepszą twarz Polski” – pisze Michał Olszewski na łamach „Gazety Wyborczej”. A skąd wzięła się ta twarz? Owszem, z pracy wolontariuszy i samorządów, ale też ze sprawnej pracy służb mundurowych i kontrolowania – na razie – sytuacji przez premiera Morawieckiego. Wyborcy takie rzeczy zauważają.

Tylko żelazna gwardia antykapitalizmu nadal nie bierze jeńców. Zbigniew Hołdys, komentując wyjazd Kaczyńskiego i Morawieckiego na Ukrainę, pisze: „Nie oceniam wyjazdu do Kijowa. Może to dobrze, może to bez znaczenia. Ale wiem, że jadą polscy oprawcy, którzy zgnoili własne państwo. Niech nikt nie każe mi chwalić tej operacji i resetować pamięci. Nawet jeśli się zdarzył cud”. Z kolei „Gazeta Wyborcza” spekuluje, czy wyprawa Kaczyńskiego do Kijowa to aby nie sygnał, że prezes PiS myśli już o przedterminowych wyborach. Dobry przykład myślenia tylko o czubku własnego nosa.

Opozycja nadużywała dramatycznych słów i zakłęb dla opisu sytuacji w Polsce przez ostatnie sześć lat. Teraz, gdy czasy są naprawdę gorące, ten język pokazuje swoją sztuczność i oderwanie od rzeczywistości. A gnojenie własnego państwa, owszem, widać, ale w Rosji.

CZY LECI Z NAMI PREZYDENT?

Za parę dni Warszawę odwiedzić ma prezydent Joe Biden. Wydaje się, że bę-

dzie to ostateczne zażegnanie nieporozumień, które pojawiły się między Waszyngtonem a Warszawą po wyborach w USA. Część komentatorów wskazuje, że Ameryka oswaja się z proponowaną przez Polskę misją bezpieczeństwa, którą przeprowadziłyby oddziały NATO na terenie Ukrainy.

Inne informacje mówią o możliwości przyznania Polsce funduszy unijnych z KPO w zamian za likwidację Izby Dyscyplinarnej. Będzie to wymagało od obozu PiS przełknięcia gorzkiej pigułki wykonania kroku w tył w dziedzinie reformy sądownictwa. Trudno ocenić, ile prawdy jest w informacji, że prezydent Duda zadeklarował takie zmiany w ramach swojej dyplomacji na rzecz koordynowania działań dyplomatycznych między USA a Polską. Ma już za sobą zawetowanie ustaw dotyczących TVN i utracenie „lex Czarnek”. Głowa państwa nie może przesadzić z rolą „męża zaufania jankesów”, gdyż skonfliktuje ją to z PiS.

Tak samo prezydent powinien być ostrożny wobec suflowanych mu przez „Gazetę Wyborczą” wizji koalicji Duda-Morawiecki-Hołownia-PSL pod domniemanym patronatem Amerykanów. Takie pomysły służą tylko rozbić obozu dobrej zmiany jako istotnej siły sprawczej. Z Dudą i Morawieckim Amerykanie się liczą, bo są silni wysiłkiem całej prawicy, także i tej spod znaku Zbigniewa Ziobry. Gdy już ten obóz pęknie, postaciom w rodzaju nowego ambasadora USA w Polsce Marka Brzezinskiego zawsze bliżej będzie do Platformy.

Wszystko to każe z zainteresowaniem obserwować, jak dalej układać się będzie współpraca w trójkącie Pałac Prezydencki-Kancelaria Prezesa Rady Ministrów-centrala PiS. Na pewno ostatnie miesiące wpłynęły na wzrost prestiżu prezydenta Andrzeja Dudy. Można stwierdzić, że jest w czołówce polityków europejskich szukających wyjścia z konfliktu na Ukrainie. Dla obozu PiS to przypomnienie o aspiracjach prezydenta do zajęcia silnej pozycji politycznej po zakończeniu swojej kadencji. Pytanie, w jakim stopniu obecny prezydent będzie w stanie uzgodnić swoje zamiary z Jarosławem Kaczyńskim i Mateuszem Morawieckim.

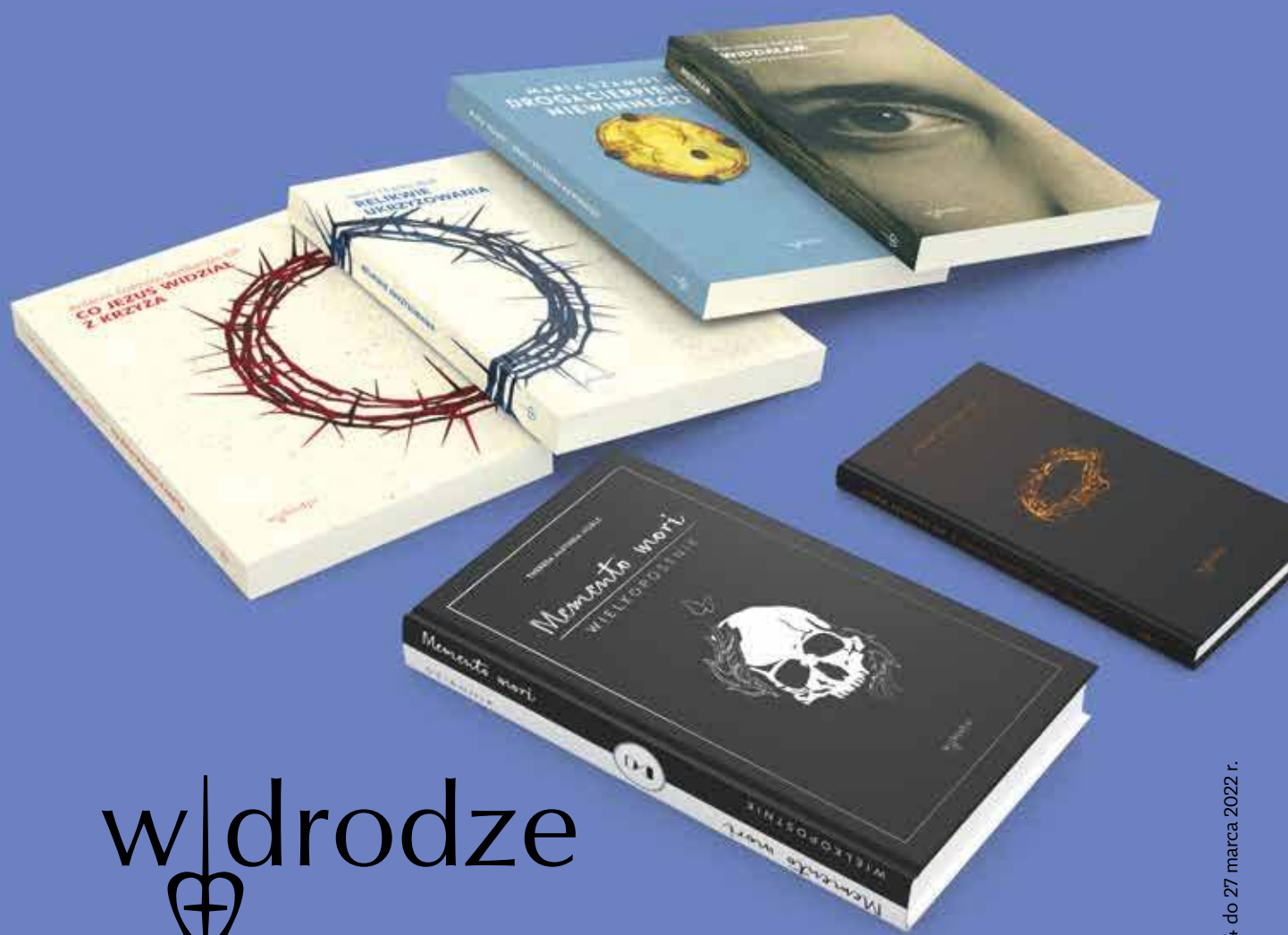
Wszystko to jednak ponownie kwestionuje rezerwowany przez opozycję tylko dla siebie status „jedynych fachowców od polityki zagranicznej”. PiS nauczył się poruszania na europejskich salonach, a skala problemów, z którymi mierzy się polska dyplomacja od ponad roku, stała się dobrą szkołą skuteczności. Prezydent Duda jest jednym z niewielu szefów państw, którzy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy mogli zarówno uczestniczyć w paru wideokonferencjach z Joe Bidenem i jego zastępczynią Kamalą Harris, osobiście rozmawiać z kanclerzem Niemiec, prezydentem Francji, przewodniczącym Chin, jak i wreszcie gościć u prezydenta Turcji. Bardzo ciężko już opozycji szermować kpinami z „dyplomatołków”, gdy ambasador Polski w USA Marek Magierowski potrafi występować w CNN tak skutecznie, że zdobywa szacunek samej Christiane Amanpour, słynnej gwiazdy tej stacji.

Wszystkie te czynniki to wynik wieloletniej pracy. Jakość tej pracy testowana jest właśnie w sytuacjach kryzysowych takich jak obecny konflikt. Sytuacja quasi-wojenna wzmocniła pozycję sondażową PiS po niepowodzeniach z Polskim Ładem i wobec rosnących obaw Polaków w kwestii galopującej inflacji.

Sytuacja wojenna zawsze powoduje „skupianie się wokół flagi”. Ale gdy konflikt wojenny osłabnie, rozmaite problemy znowu wyjdą na jaw. Pytanie, w jakim stopniu budżet państwa wytrzyma udzielenie hojną ręką wielu świadczeń ogromnej liczbie uchodźców z Ukrainy. Nadal nie wiemy, ilu przybyszów zza wschodniej granicy docelowo osiadzie na stałe w Polsce. Jednak na razie ekipa PiS radzi sobie w miarę sprawnie. A opozycja wciąż nie ma na siebie pomysłu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wyrusz w wielkopostną drogę z dobrym przewodnikiem!



w|drodze
✚

Dla czytelników „Do Rzeczy” rabat **25%!***

Kup na wdrodze.pl, w koszyku wpisz kod: **dorzeczy**

✚ wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* Oferta ważna od 14 do 27 marca 2022 r.

W języku polityki, z natury obłudnym (jak mało gdzie pasuje tu definicja hipokryzji pióra księcia de La Rochefoucauld jako „hołdu, który występki składa cnotcie”), sojusze oparte na zbieżności interesów zwykle się okrywać pozorem „przyjaźni między narodami”. Jest to oczywiście narracja dla tzw. prostego człowieka i tylko w krajach pozbawionych elit politycznych z prawdziwego zdarzenia traktowana poważnie także przez rządzących. Niemniej dla politycznego PR narracje o przyjaźni są ważne. Istotne polityczne budowle, jeśli pojawi się fundament wspólnego interesu, na którym można je budować, wymagają odpowiedniego obudowania symbolami.

BISMARCKOWSKA KONCEPCJA

Doskonałym przykładem z historii służy tu tzw. entente cordiale, w polskiej historiografii zwane po prostu entantą – porozumienie zawarte u zarania XX w. pomiędzy odwiecznymi wrogami: Wielką Brytanią i Francją. Odbudowanie przez Prusy zjednoczonych Niemiec, które szybko zaczęły wyrastać na największą europejską potęgę, każe Anglii porzucić ciągnący się od średniowiecza zatarg i wykorzystać chęć Francji do rewanżu za klęskę w wojnie z Prusami do przemiany jej w swego sojusznika przeciwko nowemu zagrożeniu. Zanim jednak mogli dokonać tego politycy, trzeba było gestów i symboli pozwalających przekonać społeczeństwo, że nastąpiła wielka zmiana, unieważniająca wszystko, co było wcześniej. Wielką rolę odegrał tutaj ówczesny brytyjski monarcha, Edward VII, który wielokrotnie jeździł do Francji i nieustannie słodził jej mieszkańcom, rozpluwając się z podziwu nad każdym aspektem odwiecznie wrogiego kraju, od historii i sztuki do kuchni i urody kobiet. Zachowała się anegdota, jak podczas jednej z pierwszych z tych wizyt król został przez Francuzów wygwizdany; mimo to uśmiechał się i przyjaźnie machał do wrogiego mu tłumu. „Nie lubią nas tutaj, wasza wysokość” – miał wtedy powiedzieć do niego jeden z doradców, na co król, niewzruszenie uśmiechnięty, odparł: „Po to tu jestem, żeby mieli nas za co polubić”.

W podobny sposób widzę cel kolejnej w naszej historii „wyprawy na Kijów”, podobnie jak ta sprzed stu lat, podjętej w obronie państwowości ukraińskiej przed podbojem rosyjskim. Tu jednak analogia jest o tyle myląca, że w roku



Rafał A. Ziemkiewicz

Nieoczekiwane pojawienie się w bombardowanym Kijowie premierów Polski, Czech i Słowenii oraz faktycznie rządzącego Polską jako lider większości parlamentarnej Jarosława Kaczyńskiego było bardzo znaczącym politycznym symbolem. A symbole mają w polityce wagę: zwłaszcza w momentach, gdy zmienia się układ sojuszy

1920 Ukraina, wyczerpana kolejnymi wojnami, praktycznie nie była w stanie wykręsać z siebie woli walki o niepodległość i udział samych Ukraińców w walce z Rosją był symboliczny. Tym razem mamy na Ukrainie do czynienia z ogromnym narodowym zrywem, który bez wątpienia będzie momentem założycielskim nowoczesnej, prozachodniej Ukrainy.

Ukraina takiego mitu dotychczas nie miała – starała się nadrobić ten brak, budując narrację o OUN/UPA jako partyzancie antysowieckiej, przemilczając dla bieżącej potrzeby jej zbrodniczą ideologię i fałszując historię rzezi wołyńskiej, co w oczywisty sposób musiało konfliktować Kijów z Warszawą. Do czasu Ukraińcy niespecjalnie się tym martwili,

ponieważ orientowali swą politykę na Niemcy, w głębokim przekonaniu, że to one są ich patronem i adwokatem w Europie. Byłoby tak w istocie, gdyby polityka niemiecka kontynuowała ubiegłowieczną koncepcję „Mitteleurop”. Angela Merkel przyjęła jednak inną koncepcję, bismarckowską, to zaś nieuchronnie wiodło ku zgodzie Berlina na pozostawienie Ukrainy w strefie wpływów Moskwy, czego skutki właśnie Ukraina odczuwa.

„Po tej wojnie Ukraina otwiera całkowicie nową kartę w swojej historii. Rozumiemy, kto jest przyjacielem, kto bratem, kto partnerem w Europie i na świecie, a kto myśli wyłącznie o sobie” – te słowa prezydenta Zełenskiego, wypowiedziane



Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski (na ekranie) przemawia podczas uroczystego zgromadzenia posłów i senatorów na sali plenarnej Sejmu

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

Naszym strategicznym celem powinno być teraz zadanie decydującego ciosu zapędowi federalizacyjnemu i popchnięcie Unii do powrotu ku jej pierwotnym, Schumanowskim założeniom: wspólnoty suwerennych państw, a nie oberpaństwa narzucającego wszystkim członkom jedynie słuszną ideologię.

EUROPA DWÓCH PRĘDKOŚCI?

Być może okaże się to niewykonalne, ale i tak będzie etapem w realizacji naszego dalekosiężnego celu, jakim powinna być budowa strefy naszej gospodarczej i cywilizacyjnej ekspansji na wschód i wypychanie z niego Rosji. Jeśli zachodnia część Unii nie będzie umiała zejść z obecnej ścieżki i się zreformować, to współpraca z Ukrainą, a docelowo budowa wspólnego obszaru gospodarczego integrującego ją (i, w perspektywie przyszłości, także Białoruś) z Trójmorzem każe Polsce powrócić do głoszonej jeszcze do niedawna na Zachodzie idei „Europy dwóch prędkości”. Z tym że jeśli dzięki współpracy z USA uda się odepchnąć zachód kontynentu od Rosji i jej surowców, to nasza „wschodnia” prędkość będzie się musiała stać tą ważniejszą.

Czy jednak rząd Zjednoczonej Prawicy i jego intelektualne zaplecze zdają sobie sprawę z możliwości i wyzwań, jakie wiąże się z obecnym przełomem? Czy liczne gesty otwarcia na Ukrainę i uchodźców wojennych płyną z politycznej analizy czy tylko z inteligenckiego odruchu opowiadania się po słusznej stronie? Być może za decyzją Jarosława Kaczyńskiego o wyprawie do Kijowa stała nie polityczna kalkulacja, a pamięć brata i jego odważnego wystąpienia w Gruzji?

Jeśli nawet – to nie ma to większego znaczenia. Choć oficjalnie nikt nie odwołał przecież dominującej od 30 lat narracji „bycia w Europie” za wszelką cenę i na podyktowanych przez „starą Unię” warunkach, to w chwili obecnej sama logika zdarzeń popycha polskie władze we właściwym kierunku. Ścisły związek z rodzącą się w walce o niepodległość zupełnie na nowo Ukrainą po prostu się narzuca. A niechęć przywódców zachodnich do uznania zachodzącej zmiany i uwzględnienia jej w swoich rachubach, przez co zajmują oni stanowisko biernoj aprobaty dla działań Putina, dla Ukraińców głęboko i boleśnie rozczarowujące, tylko wzmacnia nasze szanse na wschodzie. Pozostaje tylko administrować bieżącym kryzysem uchodźczym, wyko-

rzystać go do przeorientowania polskiej polityki gospodarczej na bardziej prorozwojową i elastycznie reagować na rozwój wydarzeń.

Klucz do naszej wspólnej przyszłości leży w rękach Ukraińców. To stopień ich determinacji określi dalszy rozwój wypadków. Długofalowo przegrana Rosji w konfrontacji z całym Zachodem, przy pasywnej postawie Chin (a wręcz z możliwością, że wykorzystają one uwikłanie Rosji do zrealizowania swoich roszczeń wobec niej), wydaje się przesądzona. Wydaje się także, że Moskwa, stanąwszy przed koniecznością pogodzenia się z faktem, iż nie jest w stanie doprowadzić do korzystnego dla siebie rozstrzygnięcia zbrojnego, próbować będzie „wymęczenia” zwycięstwa w drodze długotrwałego nękania i wykrwawiania Ukrainy oraz jej sojuszników. Im dłużej trwać będzie stagnacja na ukraińskim froncie, tym silniejsze będą naciski Niemiec, Francji i Unii Europejskiej na Kijów, aby zadowolili się byle jakim rozejmem i oszczędził w ten sposób cierpień swoim obywatelom. W chwili obecnej, gdy Ukraina przeżywa triumf i uniesienie skutecznością swej obrony, takie naciski nie wydają się na nią działać. Ale będą ponawiane. Z naszej strony możemy mieć wpływ na decyzje podejmowane w Kijowie, jeśli w sposób mądry, na miarę naszych możliwości, ale z pełnym ich wykorzystaniem, będziemy umacniać Ukraińców w gotowości walki aż do pełnego zwycięstwa nad agresorem, jednocześnie broniąc ich interesów w świecie zachodnim. Ogłoszona przez Jarosława Kaczyńskiego w Kijowie inicjatywa „uzbrojonej misji pokojowej” NATO jest obiecującą zapowiedzią takiej polityki. Nawet jeśli nie ma szans na realizację, to ważne jest, że to Polska z taką inicjatywą wystąpiła.

Nie przyłączając się nigdy do panującego u nas kultu Piłsudskiego, często wskazywałem na słuszność jego twierdzenia, że cele polskiej polityki leżą na wschodzie, a nie na zachodzie. Warto o tym pamiętać, choć warto mieć też na względzie inne jego powiedzenie: że polskich celów nie da się osiągnąć kosztem dwóch groszy i dwóch kropel krwi. Tyle że wyrzeczenia i koszty (oby tylko gospodarcze i polityczne) poniesiemy i tak, i na to wpływu nie mamy; możemy jednak, a wręcz mamy wobec następnych pokoleń obowiązek zadbać, aby przeżyły się one na przyszłe zyski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kamila Baranowska

Część opozycji pomimo trwającej na Ukrainie wojny i kryzysu uchodźczego w Polsce nadal głosuje za karaniem Polski przez Brukselę. To nie tylko niezrozumiałe, lecz także politycznie przeciwnie skuteczne

Haniebna rezolucja przeciwko Polsce, „dzień hańby”, „skandal”, „wstyd” – to tylko niektóre z określeń, jakimi politycy PiS komentowali niedawne głosowanie Parlamentu Europejskiego, który przyjął rezolucję wzywającą do szybkiego uruchomienia mechanizmu warunkowości w budżecie Unii Europejskiej. Mechanizm ten zakłada zamrażanie funduszy unijnych dla krajów, które zdaniem Komisji Europejskiej łamią praworządność. Najważniejszy był kontekst tego głosowania – o możliwość pozbawienia Polski pieniędzy z perspektywy budżetowej za łamanie praworządności wnioskowano w momencie, gdy na Ukrainie toczy się wojna, a Polska przyjmuje rekordową liczbę uchodźców. Co więcej, za takim rozwiązaniem zagłosowała także część polskich polityków, w tym polscy byli premierzy.

„CZAS PRÓBY”

Rezolucja została przyjęta 478 głosami za, przy 155 przeciw i 29 wstrzymujących się. Poparli ją europosłowie Lewicy. PiS był przeciw. Europarlamentarzyści Platformy Obywatelskiej ostatecznie wstrzymali się od głosu. W trakcie debaty w europarlamencie głos zabrała m.in. Beata Szydło. Była polska premier mówiła o rosyjskiej inwazji na Ukrainę i potrzebie działania ze strony Unii Europejskiej. – To jest czas próby. To jest czas odpowiedzialności i solidarności całej Unii Europejskiej, całego cywilizowanego świata. Stajemy dzisiaj przeciwko najeźdźcy, agresorowi. Musimy powstrzymać Putina, wspierać Ukrainę, bo to jest kwestia przyszłości i bezpieczeństwa nas wszystkich – całej Europy – podkreślała Beata Szydło. Już po głosowaniu napisała zaś na Twitterze: „PE przyjął haniebną rezolucję przeciwko Polsce. Warto nadmienić, że antypolską rezolucję wsparło



Wojna, ale

czterech byłych premierów z Polski: Belka, Buzek, Cimoszewicz, Miller. Tacy ludzie kiedyś rządili Polską – ludzie gotowi atakować własną Ojczyznę w chwili największego zagrożenia”.

„Nie wiem do końca, co leży u podstaw tak dziwnego zachowania. Jak można głosować przeciwko swojemu własnemu państwu?” – komentował z kolei premier Mateusz Morawiecki.

Rezolucja była o tyle kuriozalna, że w jej uzasadnieniu napisano m.in., na co uwagę zwrócił np. europoseł Patryk Jaki z Solidarnej Polski, że to właśnie tocząca się na Ukrainie wojna przypominała o konieczności „skutecznej ochrony, za pomocą wszelkich dostępnych nam środków, demokracji, praworządności i naszych wartości zapisanych w art. 2 TUE”. Wspominała też o tym Beata Szydło. „Tak, to prawda – autorzy rezolucji atakującej Polskę napisali, że podstawą do wydania rezolucji jest wojna na Ukrainie. Mam wrażenie, że szczerzy się na Polskę europosłowie nic nie rozumieją z otaczającej ich rzeczywistości” – pisała na Twitterze.

Beata Szydło miała rację, że znaczące w tym kontekście było głosowanie aż czterech byłych premierów, którzy nie sprzeciwili się krzywdzącej dla Polski rezolucji. Marek Belka, Leszek Miller, Włodzimierz Cimoszewicz zagłosowali tak jak cała Lewica – za możliwością

karania Polski w kontekście praworządności. W podobny sposób zagłosował też Jerzy Buzek, reprezentujący Platformę Obywatelską, która wchodzi w skład Europejskiej Partii Ludowej, jednak – jak później tłumaczył – była to z jego strony pomyłka, gdyż jak cała Platforma chciał wstrzymać się od głosu. „Szanowna Pani Premier Beata Szydło. Doskonale Pani wie, że mój błąd w głosowaniu został natychmiast poprawiony, co dowodzą dokumenty, a więc wstrzymałem się od głosu! Nie oczekuję życzliwości, ale rzetelność w informowaniu opinii publicznej jest podstawowym obowiązkiem każdego z nas” – zwrócił się na Twitterze do Beaty Szydło. „Szanowny Panie Premierze, zawsze jestem życzliwa wobec Pana. Dlatego cieszę się, że wycofał Pan swój głos spod tej haniebnej rezolucji. Uważam, że to samo powinni zrobić pozostali byli polscy premierzy obecni w PE. A tak naprawdę wszyscy Polacy w PE powinni zagłosować przeciw” – odpowiedziała mu na to Szydło.

Platforma miała od początku problem z tą rezolucją. W innych okolicznościach pewnie by ją poparła, ale dzisiaj Donald Tusk widzi, że nastroje społeczne są zupełnie inne. Żeby wyjść z twarzą z sytuacji i nie dać PiS amunicji do mówienia, że w newralgicznym momencie Platforma głosuje za możliwością odbierania Polsce pieniędzy, Tusk zarządził



FOT. ADBESTOCK

z PiS

wstrzymanie się od głosu. To tłumaczy gwałtowną reakcję Buzka na zarzut, że głosował za niekorzystną dla swojego kraju rezolucją.

Oliwy do ognia dołąła też głośna już wypowiedź byłej ambasador amerykańskiej Georgette Mosbacher, która w wywiadzie dla Interii stwierdziła, że „jeśli chodzi o problemy z praworządnością, to spora część z tego, co docierało na Zachód, była efektem rosyjskiej dezinformacji”, wzbudzając w części opozycji sporą konsternację.

CIĄGLE STARE SCHEMATY

Co nie zmienia faktu, że PiS i tak będzie ten temat nagłaśniał, bo w Platformie nie brakuje przecież głosów, że wojna wojną, ale temat blokowania Polsce pieniędzy to inna sprawa. Nawet w obliczu napływu uchodźców z Ukrainy. „U nas tylko Ukraina. Media reżimowe – Ukraina, wolne media – Ukraina. Tak jakby życie się zatrzymało, jakby przeszłość nie istniała. Dobrze, że choć w UE tak nie myślą. Bravo” – komentował Adam Szejnfeld, europoseł PO.

Niemniej wielu obserwatorów sceny politycznej uważa, że Platforma przeżyła moment, w którym w kontekście wybuchu wojny na Ukrainie mogła wyjść z własną polityczną inicjatywą. To musiałoby jednak zakładać spojrzenie szersze i bardziej długofalowe niż tylko sprowa-

dzenie wszystkiego do bieżących sporów o to, kto bardziej i mocniej przywali PiS. Pojawiły się zresztą komentarze, że jeśli opozycja chciałaby swoją propanstwową postawą zjednać sobie bardziej umiarkowanych wyborców, to mogłaby na przykład zaapelować do Brukseli o anulowanie kar nałożonych na Polskę, by te pieniądze móc przeznaczyć na pomoc uchodźcom. To rzeczywiście byłby zwrot o 180 stopni w polityce opozycji, ale może to jest właśnie ten czas, gdy należałoby dotychczas prowadzoną politykę przewartościować.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że opozycja starych schematów i starych linii podziałów łamać nie chce albo nie umie, bo tak bardzo się do nich przywiązała, że nie wyobraża już sobie innej polityki. Do tego stała się (to dotyczy głównie Platformy) zakładnikiem własnego najbardziej radykalnego elektoratu spod znaku Silni Razem, który punktuje każde jej odstępstwo od antypisizmu, a symetryzm uważa za największą zbrodnię. PiS też przez długi czas był zakładnikiem wyborców, których sam stworzył. Jednym z czynników warunkujących podwójny sukces w 2015 r. było to, że potrafił się od niego nieco zdystansować, stawiając na nowe, bardziej umiarkowane twarze. Szał, w jaki wpadli sympatycy Platformy po tym, gdy niektórzy jej politycy i sympatyzujący z nią dziennikarze

pochwalili wyjazd Mateusza Morawieckiego i Jarosława Kaczyńskiego wraz z premierami Słowenii i Czech do Kijowa na spotkanie z prezydentem Zełenskim, jak na dłoni pokazał, że nie przyjmują do wiadomości żadnych odstępstw od polityki prowadzenia totalnej walki z PiS. Dla Platformy i Tuska to nie jest dobra wiadomość. Z ostatnich badań CBOS wynika, że 70 proc. Polaków boi się dziś wojny. Te nastroje społeczne z powodzeniem zagospodarowują rządzący, Platforma zaś miota się od ściany do ściany – raz apeluje o jedność, by za chwilę oskarżać PiS o putinizm.

DONALD STRACIŁ SŁUCH?

– Oni nie patrzą na wojnę wywołaną przez Putina jak na realny konflikt, tylko jak na jedno z wydarzeń, które sprawia kłopot PiS-owi, dlatego chcą blokowania pieniędzy unijnych, nie patrząc, jakie to będzie miało skutki dla Polaków i gospodarki. Nie rozumieją, że w wyniku takiej strategii mogą dostać rykoszetem. Myślą tylko o tym, że może w ten sposób uda się odsunąć PiS od władzy – mówił niedawno tygodnikowi „Wprost” jeden z polityków opozycji.

Jeśli tak jest, to znaczy, że Donald Tusk jako lider całkowicie stracił coś, co latami było jedną z jego najmocniejszych stron. Słuch społeczny. A bez tego ciężko się wygrywa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Blisko 2 mln Ukraińców przeszło przez polską granicę, uciekając przed rosyjską agresją na ich kraj. Codzienna liczba uchodźców wjeżdżających do Polski zaczęła już w ubiegłym tygodniu maleć, ale przecież przyjedzie ich tu jeszcze wielu. Ponieważ mężczyźni mają obowiązek zostać i bronić kraju – wojsko ukraińskie nie wypuszcza ich za granicę – przyjeżdżają do nas głównie kobiety z dziećmi. Jednym z problemów, przed którymi właśnie stanęliśmy w Polsce, jest zapewnienie tym dzieciom możliwości edukacji. Ponieważ odgórnie cała UE przyjęła już taki warunek, uchodźcy z Ukrainy mają wszędzie w Europie prawo do osiedlenia się, pracy oraz muszą otrzymać dostęp do edukacji.

W polskich placówkach edukacyjnych przybywa więc ukraińskich uczniów. I to lawinowo. W ciągu tygodnia liczba uczniów z Ukrainy się podwoiła.

Tam, gdzie uchodźców dociera najwięcej – czyli np. do Warszawy czy Wrocławia – dyrektorzy szkół codziennie zajmują się przyjmowaniem nowych uczniów zza granicy. Mają po kilka spotkań z rodzicami takich dzieci dziennie.

– Dziś w systemie dzieci ukraińskich jest już 54 tys. – mówił w ubiegłą środę minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. I dodawał: – To lawinowo rośnie każdego dnia. Jeszcze wczoraj było 42 tys., dzień wcześniej było 35 tys.

Według szacunków ministerstwa to dopiero 10 proc. dzieci, które zostaną zapisane do szkół w Polsce. Czyli trafi do nich jeszcze blisko 600 tys.! Dlatego powinniśmy dopracować się błyskawicznie systemowych rozwiązań. Tymczasem urzędnicy, jak zawsze, działają dość ospale. W dodatku przygotowują teoretyczne założenia, które już teraz mocno rozjeżdżają się z rzeczywistością w polskich szkołach. I to jest podwójnie niebezpieczne, bo nie dość, że będzie to trudną sprawą dla małych uchodźców, może to spowodować zamęt w kształceniu małych Polaków.

ZAŁOŻENIA KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Ministerstwo ogłosiło, że niebawem rozpocznie się inicjatywa – ale nie urzędnicza, tylko organizacji społecznych – która pozwoli zgromadzić używany sprzęt komputerowy dla ukraińskich dzieci. Wówczas część tych dzieci mogłaby uczestniczyć w zajęciach zdalnych prowadzonych dla nich na Ukrainie –

Wrzuceni do szkół



Łukasz Zboralski

Przed rosyjską napaścią uciekają z Ukrainy głównie kobiety z dziećmi. Mali Ukraińcy trafiają teraz do naszych szkół. Te nie są przygotowane na maluchy niemówiące słowa po polsku i wyrwane z zupełnie innego systemu edukacyjnego



przynajmniej tam, gdzie sytuacja jeszcze na to pozwala, czyli w regionach, w których Rosjanie nie prowadzą intensywnych bombardowań i jeszcze wszystko go nie zniszczyli.

Reszta dzieci trafia i będzie trafiać do polskich placówek. I tu pojawia się kilka problemów. Po pierwsze, najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby ukraińskie dzieci trafiły do specjalnych oddziałów przygotowawczych. To tam miałyby szansę przez kilka miesięcy – przynajmniej do rozpoczęcia kolejnego roku szkolnego – opanować polski język i przygotować się do uczestnictwa w naszym systemie oświaty. Tylko... tego nie da się załatwić bez finansów. Samorządy musiałyby wysupłać sporo dodatkowych pieniędzy na opłacenie nauczycieli, którzy zaczęną prowadzić dodatkowe oddziały. A i to jeszcze nie załatwi wszystkiego. Bo ilu polskich nauczycieli

włada dziś dobrze językiem ukraińskim czy rosyjskim i będzie potrafiło skutecznie wesprzeć małych uchodźców?

MEiN dopiero zaczyna rozważać ten problem i za trudniac jako pomoce nauczycieli kobiety z Ukrainy. – Chcemy to usystematyzować, dlatego dzisiaj bądź najdalej w czwartek na stronie internetowej MEiN będzie specjalny formularz dla naszych sąsiadów z Ukrainy, dla pań, które mają doświadczenie

szkolne i chciałyby być zatrudnione w charakterze pomocy nauczyciela. Takie formularze są już dostępne na stronach kuratoriów i można je tam także wypełniać – zapowiadał w ubiegłym tygodniu minister Czarnek.

Tymczasem szkoły już nie czekają, próbują załatwić to same. – Posłałam zapisać moich dwóch synów do polskiej podstawówki – mówi nam Julia, która przyjechała do podwarszawskiej miejscowości ze Lwowa. – I jak rozmawiałam z dyrektorem, to on od razu zauważył, że ja już znam polski, bo ja już wcześniej kiedyś z rodziną mieszkalam u was. No i zaproponował mi pracę. Na pół etatu. Myślę, że to potrzebne. Bo w tej szkole widziałam już naprawdę dużo ukraińskich dzieci. I zwłaszcza te małe mają problem, są zagubione. Jak słyszały, że mówię ich językiem, to się do mnie zbiegały i przytulały.

PARTYZANCKI SPOSÓB

W szkołach oddziały przygotowawcze masowo nie powstają. – U nas nie ma po prostu ani miejsca, ani czasu, ani zasobów – mówi Alina, nauczycielka z gminy Piaseczno. – Mamy tak olbrzymią szkołę podstawową, że dzieci już wcześniej uczyły się tu zmianowo. Ukraińcy, którzy teraz do nas trafiają, lądują po prostu w normalnych klasach. Moim zdaniem będzie im się bardzo trudno odnaleźć – uważa. I dodaje, że jedynym ruchem było stworzenie grupowych zajęć dla dzieci z Ukrainy w różnym wieku, które będą na nich dodatkowo uczyły się języka polskiego.

Na razie sytuację ratują własnymi siłami inne dzieci z Ukrainy, które już wcześniej uczyły się w polskich szkołach. W miejscach takich jak Warszawa, gdzie ukraińska imigracja była potężna, jest ich wiele. To te dzieci stają się dziś przewodnikami dla rodaków, którzy nie znają polskiego. Tłumaczą im zdania na lekcjach, pomagają z tłumaczeniem ich odpowiedzi. Trudno uznać to jednak za rozwiązanie systemowe i rozwiązanie właściwe.

Eksperti już dziś – w obliczu długofalowego wyzwania – sugerują MEiN podjęcie konkretnych kroków. „Kluczowe będzie przygotowanie nauczycieli pracujących z dziećmi-uchodźcami do nauczania języka polskiego jako obcego” – piszą autorzy raportu „Rekomendacje systemowe dotyczące integracji dzieci-uchodźców z Ukrainy” z Transatlantic

Future Leaders Forum. I podkreślają: „Zakładając, że z kwestiami językowymi nauczyciele będą mieli do czynienia długofalowo, rekomendujemy MEiN, aby zleciło przygotowanie materiałów, a w dłuższej perspektywie także szkoleń dla nauczycieli i dyrekcji w zakresie nauczania języka polskiego jako obcego. Przygotowaniem takich materiałów może się zająć Ośrodek Rozwoju Edukacji, a rozpowszechnianiem ich – kuratoria oświaty”.

Włączanie Ukraińców nieznaną języka do polskich klas z pewnością stworzy też pewien koszt edukacyjny, który poniosą uczęszczające do nich polskie dzieci. A przypomnijmy, że przez dwa lata pandemii, restrykcji, wysyłania do domów na zdalne nauczanie polskie dzieci i tak mają już spore edukacyjne deficyty w porównaniu z rocznikami, które nie były dotknięte COVID-19.

NAJWAŻNIEJSZE ZADANIA – NA JUŻ

Eksperti Transatlantic Future Leaders Forum proponują ministerstwu trzy fazy integracji ukraińskich uczniów w polskich szkołach. I jest to bardzo rozsądna propozycja.

W pierwszej fazie (od teraz do czerwca) postulują zorganizowanie oddziałów przygotowawczych pozwalających na dokończenie dzieciom edukacji ukraińskiej oraz dołączanie do polskich klas tych dzieci, które mają wystarczającą znajomość języka. Ci bez dobrej znajomości języka powinni jednocześnie uczestniczyć w takich zajęciach z Polakami jak WF, plastyka czy muzyka.

W drugiej fazie (lipiec–sierpień) należałoby się skupić na nauczaniu dzieci języka polskiego, wyrównaniu poziomu i znajomości języka polskiego – tak, aby umożliwić od nowego roku szkolnego włączanie uczniów i uczennic już do edukacji polskiej.

Faza trzecia zaczęłaby się wraz z nowym rokiem szkolnym 2022/2023 i wiązałaby się z pełnym wdrożeniem uczniów z Ukrainy w polski system edukacyjny.

Plan wydaje się dość prosty. Jednak... nie da się go zrealizować bez zwiększenia liczby etatów w polskich szkołach i wydłużenia czasu pracy tych placówek. Potrzebne będzie też z pewnością dodatkowe wsparcie psychologiczne dla małych uchodźców. Krótko mówiąc – nie da się tego zrobić dobrze bez dodatkowych pieniędzy. Czy rząd je znajdzie?



Agnieszka Niewińska

W sklepach z militariami zrobiło się tłoczno. Kupujemy zasobniki żołnierskie, powerbanki czy szalokominiarki, ale poszukujemy także kamizelek kuloodpornych czy celowników termowizyjnych. Dla walczących Ukraińców, a także dla siebie

Szukam osoby, która zna się na sprzęcie wojskowym i mogłaby pomóc w rozeznaniu rynku kamer termowizyjnych – czytam w facebookowym poście na tablicy znajomego. Wyjaśnia w nim, że zamówienie przyszło z Kijowa. Poszukiwanych jest minimum 11 sztuk.

W ostatnim czasie podobnych ogłoszeń w sieci się namnożyło. „Potrzebuję dla mojego męża z Ukrainy kamizelka kuloodporna i kask. Nie wiem gdzie to dostać...” – prosi o pomoc Ira (pisownia oryginalna). Kamizelek kuloodpornych szuka też Khrystyna ze Lwowa. Przez polskich znajomych rozpowszechnia listę potrzebnych rzeczy – a na niej obok kamizelek są także helmy czy przyrządy optyczne.

Nic dziwnego, że sklepy z militariami, ze sprzętem i z akcesoriami dla survivalowców przeżywają w ostatnich tygodniach obłęd. Przyjmują zamówienia, wysyłają paczki. – Jesteśmy tak zajęci, że nie mamy czasu na rozmowy z prasą – słyszę w jednym z poznańskich salonów z militariami. Narzędzie Google Trends wskazuje, że wśród zyskujących w ostatnim czasie na popularności w wyszukiwarce Google (wzrosty wyszukiwań nawet o 350 proc.) są hasła: „ile kosztuje kamizelka kuloodporna”, „militaria” czy „kamizelka kuloodporna sklep”.

Kupujemy sprzęt dla wschodnich sąsiadów, a także wyposażamy siebie w akcesoria, które pomogą nam przetrwać w trudnej sytuacji. – W ostatnim czasie kupiłam pojemny powerbank, wielofunkcyjny szczytyk i palnik gazowy na kartusze. Nie chodzi wyłącznie o kontekst wojny, choć to mnie zmobilizowało. To rzeczy, których mi brakowało np. po ostatnich wichurach i przerwach w do-



Hełm od ręki kupię

stawie prądu – opowiada młoda inżynier z Warszawy.

MENAŻKI I KALESONY

Agencja Mienia Wojskowego prowadzi sklepy stacjonarne w dziewięciu miejscach w kraju oraz sklep internetowy. W ofercie ma rzeczy używane, a także te nowe, z wojskowych magazynów. – Zainteresowanie naszą ofertą znacznie wzrosło już dwa dni przed wybuchem wojny na Ukrainie. Między 21 lutego a 11 marca nasz sklep internetowy miał 337 tys. odsłon. Spośród 45 tys. użytkowników było aż 37 tys. osób, które odwiedziły nas po raz pierwszy. Kiedy 1 marca po przerwie otworzyliśmy sklep stacjonarny w Warszawie przy ul. Grójeckiej, po kilkunastu godzinach zanotował 8 tys. zł dochodu – mówi Małgorzata Weber, rzecznik Agencji Mienia Wojskowego. Zaznacza, że w sklepach AMW nie można kupić kamizelek kuloodpornych, bo to produkt koncesjonowany, a helmy z orzełkiem zostały wycofane ze sprzedaży. W ofercie bywają dostępne te strażackie czy policyjne lub stalowe bez oznakowań. – Największym zainteresowaniem cieszą się zasobniki żołnierskie,

ciepła bielizna, dresy, kalesony, szalokominiarki, rękawice, a także niezbędne, menażki czy sprzęt do konserwacji obuwia. Wśród klientów odwiedzających nasze sklepy są osoby i organizacje, które robią zakupy dla walczących za naszą wschodnią granicą. Przychodzą również Ukraińcy mieszkający w Polsce, którzy kompletują ekwipunek przed wyjazdem na Ukrainę – zaznacza Weber.

– Jeszcze wczesna godzina, więc jest dość spokojnie – mówi sprzedawca jednego ze sklepów z militariami w centrum Warszawy. Kilka osób oblega wieszaki z ubraniami moro. Grupa młodych mężczyzn naradza się przed gablotami ze sprzętem. – Kamizelka kuloodporna? My ich nie sprzedajemy, nie mamy koncesji. Ale w tej chwili to i ci z koncesją kamizelek raczej nie mają. Za duży popyt – tłumaczy mi sprzedawca. – Termowizja? Od ręki nie da rady. Postaramy się ściągnąć. Koszt to 7,2–7,8 tys. zł, ale to już porządną sprawę, na wojnę – zarzeka się. – Zresztą teraz to wszyscy klienci kupują na wojnę – dodaje.

Sklep survivalowo-wojskowy na przedmieściach prawobrzeżnej Warszawy jest obstawiony pułkami. Trwa



FOT. LUKASZ DĘBIAKOWICZ / FORUM

mundury, profesjonalne powerbanki. – W branży zrobił się ruch, ale więcej od pieniężnego obrotu jest chyba wizyt i telefonów od klientów, którzy zebrali pieniądze na sprzęt, proszą o ofertę i porady, bo się na tym nie znają. Na gwałt szukają kamizelek kuloodpornych i zazwyczaj nie zdają sobie sprawy z tego, że są one podzielone na klasy. Nie wszystkim nadają się na wojnę – tłumaczy pan Paweł. I zwraca uwagę, że na rynku jest wiele kamizelek z demobilu, np. z czasów operacji w Iraku. – Tymczasem kamizelki kuloodporne mają datę przydatności do użycia. Powinna być ona widoczna i warto na to zwracać uwagę – tłumaczy. – Klientom, którzy ze specjalistycznym sprzętem nie mieli nigdy styczności, sam odradzam takie zakupy. Mamy dobre chęci, chcemy pomóc walczącym, ale jeśli ktoś nie jest obeznany z noktowizorem, to szybciej go zepsuje, niż zrobi z niego użytek – podkreśla.

TYLKO DLA WOJSKA I SŁUŻBY

W świetle prawa zakup kamizelki (jak i wojskowego oraz policyjnego hełmu, ochraniacza na twarz czy kończyny) przez cywila to wyższa szkoła jazdy. Kamizelki kuloodporne najwyższych klas o zastosowaniu policyjnym i wojskowym są w zasadzie niedostępne dla klienta indywidualnego. Obrót nimi regulują ustawa z 13 czerwca 2019 r. i rozporządzenie z 17 września 2019 r. Trzeba mieć specjalną koncesję na obrót tym sprzętem, a w ustawie jest lista podmiotów, które kamizelkę mogą nabyć. Są na niej poza Siłami Zbrojnymi m.in. takie służby jak ABW, CBA, Służba Ochrony Państwa, Straż Ochrony Kolei czy Państwowa Straż Pożarna. Nabywać kamizelki mogą też zarządcy lub dzierżawcy obwodów łowieckich oraz członkowie Polskiego Związku Łowieckiego posiadający pozwolenie na broń do celów łowieckich. Odrębne przepisy dają zielone światło na zakup kamizelek m.in. podmiotom, które mają koncesję na usługi ochrony osób i mienia.

Wydział Prasowy MON tłumaczy nam, że klient indywidualny, który nie ma koncesji na kamizelki kuloodporne czy płyty balistyczne, może je nabyć pod warunkiem wcześniejszego pozbawienia ich cech użytkowych. Oznacza to tyle, że cywil może kupić taką kamizelkę, ale... uszkodzoną. – Pozbawienia cech użytkowych dokonuje przedsiębiorca posiadający koncesję, której zakres obejmuje wytwarzanie danego rodzaju broni

palnej albo wyrobów o przeznaczeniu wojskowym lub policyjnym. Upływ okresu eksploatacji w Siłach Zbrojnych RP lub utrata parametrów ochronnych nie są tożsame z pozbawieniem przedmiotu cech użytkowych – informuje Wydział Prasowy MON.

W praktyce jednak za samo posiadanie kamizelki nie ma sankcji, więc wielu chcących się w ten sposób zabezpieczyć kupuje kamizelki kuloodporne w krajach, w których przepisy są bardziej liberalne i pozwalają na takie zakupy cywilom.

UCIECZKA? NIE W UBRANIU MORO

Piotr Czuryłło, jeden z pierwszych promotorów prepperingu w Polsce i autor „Vademecum przetrwania”, przyznaje, że też odbiera wiele telefonów od osób, które wyposażają Ukraińców lub same chcą się przygotować na najgorsze.

– Jeśli ktoś nie będzie walczył zbrojnie z najeźdźcą czy okupantem, to po co planuje zakup ubrania moro, hełmu czy ładownicy itp.? To tylko zwróci na niego uwagę najeźdźców. Tak ubраниch uznają za związanych z siłami zbrojnymi i po prostu wyeliminują – mówi. – Chcę wierzyć, że nie będziemy musieli mierzyć się z takimi wyzwaniem jak Ukraińcy, jeśli jednak w trudnej sytuacji chcemy zapewnić rodzinie przetrwanie, to zadbajmy raczej o zapasy żywności, wody, lekarstw. Powinniśmy je zrobić chociaż na dwa-trzy tygodnie. Miejmy przygotowane w domu gotówkę, benzynę, sprawny samochód i przede wszystkim zróbmy plan. Zastanówmy się, gdzie pojedziemy, dlaczego i co będziemy tam robić. Ucieczka do lasu to nie najlepszy pomysł. Po pierwsze, wiele osób nie potrafiłoby sobie poradzić, po drugie – duża liczba osób w lesie przyciąga uwagę – podkreśla Piotr Czuryłło.

Jest zdania, że kolejki w sklepach z militariami to efekt paniki, nakręcania koniunktury przez branżę, a także tego, że wielu z nas nie potrafi zaakceptować sytuacji, w której się znaleźliśmy. – A to podstawa. Jeśli chcemy sobie poradzić w trudnych okolicznościach, to najpierw musimy przyjąć do wiadomości, zaakceptować to, co się wokół nas dzieje. Moja rada na dziś to nie ulegać panice, nie poddawać się dezinformacji, zrobić plan, zapasy i włączyć się w pomoc uchodźcom, którzy znaleźli się w Polsce – kwituje promotor prepperingu.

Ukraina w siedmiu



Piotr Gociek

Wpadłem wtedy po uszy; w głowie zaczęła się gonitwa myśli: Co teraz odpowiedzieć? A pytanie było proste: Jakich znacie w Polsce pisarzy ukraińskich i kto jest najchętniej czytany? Był maj roku 2017, z grupą świeżo poznanych pisarzy, redaktorów i tłumaczy z Ukrainy siedzieliśmy w jednej z kijowskich restauracji. A mnie przytknęło. Gdybym był, powiedzmy, na Białorusi ćwierć wieku temu, to wypaliłbym natychmiast: Wasil Bykau. A ćwierć wieku później: Swiatłana Aleksijewicz! A z Ukrainą kłopot. Zarówno nadmiaru – także pewnego nieporozumienia – jak i braku postaci, która się wybija, która cieniem pada na konkurentów, tak jak cieniem na resztę pisarzy XX w. w Czechach padają Hrabal pospołu ze Škvoreckým.

Nie wyszedłem na ostatniego idiotę, bo wreszcie zacząłem wyrzucać z siebie nazwiska: Jurij Andruchowycz, Oksana

Zabużko, Serhij Żadan, Anatolij Krym, ale także rozmaici fantaści – i tu zostałem przyhamowany, bo poinformowano mnie (uwaga, oto wspomniane nieporozumienie), że uznawani u nas za ukraińskich pisarzy małżeństwo Diaczenków czy duet Oldi to z perspektywy Kijowa twórcy rosyjscy – piszą po rosyjsku, wydają po rosyjsku, myślą po rosyjsku. Z moim kijowskim przyjacielem, pisarzem i agentem literackim Wołodą Areniowym, włączyliśmy się następnego dnia po dzielnicy Podole, a on opowiadał nieznane mi dotąd historie o Łesi Ukraince i innych ukraińskich klasykach.

Dzisiaj Wołodia ukrywa się na wsi nieopodal Kijowa. Stan zdrowia nie pozwala mu na walkę z bronią w rękę, opiekuje się sędziwą matką. Pierwsze noce wojny spędzili w kijowskim metrze. Korzystając z rwącego się, dziurawego Internetu Wołodia pisze na smartfonie po angielsku apele do pisarzy i tłumaczy na Zachodzie, przesyła je do nas, do Polski, a my rozsyłamy je, gdzie możemy. Apele o objęcie sankcjami rosyjskich ludzi kultury wspierających Putina. O zerwanie współpracy z państwowymi

instytucjami. I najważniejsze: o mówienie prawdy o tragedii Ukrainy najechanej przez Rosję.

SŁAWA

Andruchowycz, Zabużko, Żadan – tak rzeczywiście wyglądałyby ta czołówka najpopularniejszych w Polsce współczesnych pisarzy ukraińskich. Ten pierwszy to pisarz nierówny, ale choćby jego „Moscviadę” trzeba znać.

Ta brutalna groteska jest tak antyrosyjska, że w czasach Janukowycza nakazywano wycofywanie książki z bibliotek. Zabużko, którą próbowano wypromować na symbol ukraińskiej popkultury, wykorzystując chwytliwy tytuł debiutanckiej powieści „Badania terenowe nad ukraińskim seksem”. A czasem – gdzieś słyszałem – reklamowana jako „ukraińska Tokarczuk”. Wywołująca po obu stronach granicy skandal powieścią „Muzeum porzuconych sekretów”.

Za chwilę pytanie o największą ukraińską sławę współczesnej literatury może zostać rozstrzygnięte w Sztokholmie. „Podjęliśmy uchwałę o wysunięciu kandydatury Serhija Żadana do Literac-

słowach



kiej Nagrody Nobla” – ogłosili niespełna dwa tygodnie temu przedstawiciele Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Żadan znany jest w Polsce z kilkunastu książek, najnowsza to „Internat”. Powieść wybitna, wstrząsająca niczym kinowy „Donbas” Łoźnicy. Jej główny bohater wędruje przez skrwawione ziemie tzw. samozwańczych republik ludowych. Krótka, oszczędna, mocna proza. Żadan jest piewą wschodniej Ukrainy, żyje i pisze w Charkowie, jedna z jego najlepszych książek „Woroszyłowgrad”, jak za Sowietów zwano Ługańsk, to wspomnienie dojrzwienia z tamtych czasów.

Kiedy dziś wracam do Żadana, to sięgam jednak przede wszystkim (prócz „Internatu”) do dwóch publikacji łączących literaturę z fotografią. „Ukraina” ze zdjęciami Jędrzeja Majki i tekstem Żadana oraz Tarasa Prochaški, a także „Odsetek samobójstw wśród klaunów” ze zdjęciami Jacka Dziaczkowski. W tej ostatniej między opowiadaniem i krotkowilami dziesiątki czarno-białych zdjęć wykonanych we Lwowie w roku 2004, podczas pomarańczowej rewolucji. Patrząc na uśmiechnięte twarze i zastana-

wiam się: Kto dziś na froncie? Kto zginął? Kto jest już w Polsce?

Serhij Żadan pozostał w Charkowie. Broni swojego miasta przed rosyjską agresją. Chciałbym, żeby dożył Literackiej Nagrody Nobla. I żeby przez kolejne dekady długiego życia miał okazję, by gratulować kolejnym laureatom.

HISTORIA

Wiele napisano w Polsce o Ukrainie, zwłaszcza po Majdanie, ale wciąż dotkliwie brak nam głosu samych Ukraińców. Wskażę jeden z ważniejszych: Jarosław Hrycak, lwowski profesor. „Historia Ukrainy 1772–1999. Narodziny nowoczesnego narodu”, „Prorok we własnym kraju. Iwan Franko i jego Ukraina”, „Ukraina. Przewodnik Krytyki Politycznej” (wywiad rzeka) – wszystko to pozycje bardzo ciekawe. Hrycak to znakomity przykład tego, jak polskie klisze nie pasują do ukraińskiej rzeczywistości. Chwalony przez środowisko „Wyborczej” jako przedstawiciel „krytycznej szkoły historiografii liberalnej” oraz przeciwstawiany „historykom o nastawieniu nacjonalistycznym czy narodowym” nigdy nie pogrążył się w tak

ojkofoobicznych wywodach, jak te uwielbiane przez salon III RP. Dekady temu domagał się Ukrainy nie tylko w Unii Europejskiej, lecz także w NATO. I doskonale rozumiał, że forsowanie podziału na „europejski Lwów” i „Donbas pełen homo sovieticus” nie jest dobrym pomysłem.

Jako historyk z wykształcenia i praktyki Hrycak nie może być zdziwiony nagłym powrotem historii, ale nigdy nie zapomnę bezradności, gdy tuż po agresji w telewizyjnym wywiadzie cytowałem mu fragmenty wypowiedzi Putina twierdzącego, że nie istnieje naród ukraiński. „I co ja mam na to panu powiedzieć?” – odpowiadał Hrycak. „Nic nie powiem”. Potem jednak mówił wiele, a z jego głosu biła już nie bezradność, lecz wściekłość.

KOBIETA

Zachodnie feministki nigdy tego nie rozumieją – kobieta w byłych krajach komunizmu, w tym w Europie Środkowej, to niezwykle, osobny rodzaj człowieka, któremu należy się szacunek najwyższy z najwyższych. Nie musiała walczyć o prawo do pracy, zmuszono ją do niej, rzucając na traktory, próbując stworzyć

■ tak samo produktywnego poddanego sowieckiego imperium jak mężczyzna, tyle że pełniącego także funkcje rozrodcze. Co zmieniło się po upadku Sowietów? Tylko tyle że coraz częściej dawni bohaterowie pracy socjalistycznej byli bezrobotnymi pijakami. W nagrodę państwo Putina nie pozwalało jej nawet na godny pogrzeb synów żołnierzy, których ciała rozwłóczyły psy w Czeczenii, Dagestanie, teraz na Ukrainie. W nagrodę dostawała ochłap zapomogi w niewiele wartych rublach. Dość jednak o Rosji, wróćmy do Ukrainy.

W roku 2021 Literacką Nagrodę Europy Środkowej ANGELUS przyznano Katerynie Babkinie za książkę „Nikt tak nie tańczył jak mój dziadek”. To intymna, wzruszająca, przepięknie napisana opowieść, która jest dla mnie ukraińskim odpowiednikiem „Dzieci północy” Salmana Rushdiego. Pięć historii splecionych w jedną opowieść o rodzinach, których dzieci spotkały się w szkole po raz pierwszy w roku odzyskania przez Ukrainę niepodległości. Połączone losami idą przez życie, patrząc „bardzo, bardzo mocno w przód, bo w zasadzie na ich miejscu tylko to warto było robić”.

Przez pięć dni uciekała z Kijowa Kateryna Babkina. Z małym dzieckiem na ręku, z sędziwą matką. Szczęśliwie dotarli do polskiej granicy. Dziś, jak miliony innych Ukrainek, wiodą życie uchodźców, znalazły schronienie we Wrocławskim Domu Literatury.

KLASYKA

Klasyka. Ale która? Irytuje nas polkożerca powieść Gogola „Taras Bulba”, ale moi ukraińscy znajomi kpią – a cóż to za ukraiński klasyk, z pochodzenia właściwie Polak, a pisarz w sumie bardziej rosyjski.

Klasyka – ale gdzie jej szukać? Niewiele jej znamy, to biała plama, wyrzut sumienia, bo to, co kiedyś wydane, było zapomniane, a to, co teraz tłumaczone, kryje się w podręcznych magazynach mikroskopijnych oficyn artystycznych. Ileż trzeba się namęczyć, żeby znaleźć „Eneidę” Iwana Kotlarewskiego (1798), przezabawną trawestację Wergiliusza, od której „liczy się historia nowej literatury ukraińskiej” (Piotr Kupryś)! Do grobu Kotlarewskiego pielgrzymował Iwan Franko – wybór jego poezji ukazał się na szczęście w prestiżowej serii Biblioteka Narodowa Ossolineum, ale aż trudno uwierzyć, że przygotowany w 2008 r.

Listy i rysunki napisane przez dzieci, wysyłane do żołnierzy walczących na froncie w Donbasie. Data wydania – 2015 r. Nie, nie dajcie sobie wmówić, że ta wojna dopiero co się zaczęła

tom był pierwszą tego rodzaju publikacją spuścizny poetyckiej ukraińskiego klasyka. Słynne „Zachar Berkut” (oraz „Skrzyżowane drogi/Ukradzione szczęście”) ukazały się w ostatnich latach nakładem Poznańskiego Towarzystwa im. Iwana Franki. W niewielkich nakładach.

Inny gigant literatury ukraińskiej – Taras Szewczenko. Pojedyncze egzemplarze w bibliotekach i antykwiariatach (głównie proza), dwa zapomniane wybory poezji, jeden z Ossolineum, drugi z serii Biblioteka Poetów LSW. A to nie dość, że wielka poezja i klasyka, to jeszcze niesłychanie interesujący kawał polemiki, jeśli chodzi o historię Polski, Ukrainy i Rosji. Życie Szewczenki aż prosi się o obszerną biografię – pełne było niecodziennych wydarzeń.

Białym krukiem jest „Pieśń lasu” Łesi Ukrainki, wybór wydany w 1989 r. przez PIW w żółtej serii poetyckiej, opracowany i przełożony przez Floriana Nieuważnego. „Łesia Ukrainka opiewała zawsze swoją ojczyznę, tylko jej podporządkowała bez reszty swój los i życie osobiste” – pisał tłumacz

TOŻSAMOŚĆ

Przed rewolucją godności na Majdanie ok. 90 proc. książek wydawanych na Ukrainie stanowiły pozycje w języku rosyjskim. Po 2014 r. proporcje szybko się odwróciły. Chodzi nie tylko o utwory ukraińskich pisarzy; po raz pierwszy w dziejach masowo ukazują się tam światowa klasyka przekładana na język ukraiński, a nie na rosyjski. W książce „Ukraiński palimpsest” (wywiad rzeka) z roku 2013 Oksana Zabużko mocno narzekała na niemal pełne panowanie Rosji w przestrzeni medialnej i w popkulturze. Rosyjskie filmy i seriale, sowieckie filmy i seriale, rosyjska popsa w stacjach radiowych, rosyjskie programy rozrywkowe – to menu także zdecydowanie się zmieniło w ciągu minionych ośmiu lat. Największym propagatorem ukraiń-

skiego odrodzenia narodowego okazał się Władimir Putin.

Co ciekawe, owo nowe ukraińskie przebudzenie językowe odbywało się – wbrew propagandzie Kremla – w sposób pokojowy i niezagrażający tym, dla których rodzinnym czy wyuczonym językiem był rosyjski. W miastach i wsiach Ukrainy także po Majdanie można było swobodnie rozmawiać po rosyjsku, niczym nadzwyczajnym nie były ukraińskie programy telewizyjne nadawane w języku rosyjskim. Spotkałem wielu ukraińskich patriotów, którzy szczerze nienawidzili Rosji, ale posługiwali się głównie piękną ruszczyzną; rozmawiałem z weteranami frontu w Donbasie, którzy słuchali rosyjskiej muzyki pop, a przy szklaneczce odkrywaliśmy, że łączy nas zamiłowanie do nucenia piosenek Okudźawy czy Galicza. Obecna agresja Rosji na Ukrainę pogłębia skutki odwrotne do zamierzonych przez Putina – część uchodźców szukających schronienia w Polsce nie chce już, by mówić do nich po rosyjsku.

Aby zrozumieć wyzwania, zagrożenia, dylematy i marzenia współczesnej Ukrainy, koniecznie trzeba przeczytać trzy książki. Wspomniany „Ukraiński palimpsest” Oksany Zabużko, tom eseów Mykoły Riabczuka „Ukraina: syndrom postkolonialny” oraz „Ukraina. Przewodnik Krytyki Politycznej”, czyli wywiad rzekę z Jarosławem Hrycakiem. Choć wszystkie ukazały się przed Majdanem, to zawierają mnóstwo celnych obserwacji, a katalog problemów ukraińskich przedstawiony jest w nich czasem w bardzo bolesny, szczery sposób. W tej ostatniej znajdziemy też piękną odpowiedź na rosyjską narrację o tym, jak to szczególnie dobrze, wyjątkowo i ciepło traktowano w Związku Sowieckim „młodszych braci” Ukraińców. Hrycak przypominając, że ojców ukraińskiej tożsamości narodowej – takich jak Mychajło Hruszewski – można było wydawać i czytać, ale w Moskwie. W Kijowie było to surowo zakazane.

WOJNA

„Niedługo tu będzie pustynia Donieck / Niedługo tu niczego nie będzie / A my – będziemy! / Wgryzamy się zębami w tę wojnę” – pisał Borys Humeniuk w jednym z utworów z tomu „Wiersze z wojny”. Wydana w Polsce w roku 2016 i niemal zupełnie nieznana książka była fenomenem na Ukrainie, kupiono kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy. Hume-

Komitet Nauk o Literaturze PAN wysunął kandydaturę Serhija Żadana (na zdjęciu) do Literackiej Nagrody Nobla
FOT. FACEBOOK.COM/SERHIYZHADAN



niuk pochodzi z zachodniej Ukrainy, ale kiedy w 2014 r. Rosja najechała na jego kraj, zgłosił się na ochotnika do wojska i walczył w Donbasie. Kiedy nie trzymał w dłoniach karabinu, pisał wiersze. Większość publikował na Facebooku.

Ukraina padła ofiarą rosyjskiej agresji nie 24 lutego 2022 r., ale osiem lat wcześniej, często o tym zapominamy. Najchętniej zapomina Zachód, który nie zareagował na zabór Krymu i okupację Donbasu. Osem lat hartowania ducha, obrony ojczyzny, przezbrajania, rozbudowy i unowocześniania armii. A także próby opisu tego, co się dzieje. Na rozmaite sposoby – na moich półkach piętrzą się książki przywiezione z Kijowa w ostatnich latach. Są wiersze, są powieści (nawet thrillery, takie jak „Rejs” Sergieja Łojki), jest mnóstwo literatury faktu – dowody talentu, pracowitości, patriotyzmu i trzeźwości umysłu w ocenie sytuacji („Okupacja Krymu – »ruski mir« przeciw Ukrainie” Władimira Gołowki). Nieprzebrane to morze, nie pretenduję do miana znawcy, wskazuję na pojedyncze przykłady, które akurat zmieściły się do mojego plecaka. Jedna trauma nie odeszła jeszcze w przeszłość, nowe nadeszły – możemy przeczytać po polsku książkę Wasyla Słapczuka „Księga zapomnienia”, w której rozlicza się z wojną, ale jeszcze afgańską. Nikt wtedy

Ukraińców nie pytał, czy chcą ruszać do obcego kraju z socjalistyczną interwencją.

I symbol traumy nowej – mało kto wie, ale ukazały się w Polsce książki Ołeha Sencowa („Żywyty”, „Marketer”), reżysera porwanego przez Rosjan w roku 2014 na Krymie, następnie skazanego na 20 lat łagru i zwolnionego dopiero w roku 2019 (wymiana więźniów). Najnowszy film Sencowa „Nosorożec” (nakręcony m.in. dzięki polskim funduszom) trafił niedawno do polskich kin. On sam jest dziś żołnierzem obrony terytorialnej Kijowa.

A między tymi wszystkimi książkami cienki kolorowy tomik sporego formatu z dziecięcymi rysunkami. Obok rysunków tekst po ukraińsku i po angielsku. To książka „Lysty na wiinu: Dity pyshut soldatam/Letters on the War: Children Write to Soldiers”. Listy i rysunki napisane przez dzieci, wysyłane do żołnierzy walczących na froncie w Donbasie. Data wydania – 2015 r.

Nie, nie dajcie sobie wmówić, że ta wojna dopiero co się zaczęła.

NADZIEJA

Wczytuję się w zakurzony egzemplarz broszurki Łesi Ukrainki „Mamo, idzie już zima” zawierającej utwory „dla dzieci w wieku przedszkolnym” i w słowach

wiersza „Minęło już piękne lato...” szukam pociechy: „Znów zakwitną nasze pola i zazielenięją / Skończy wasza się niedola, pewna to nadzieja”.

Wczytuję się w tomik Tarasa Szewczenki. „Polaku, druhu, bracie / Podajże rękę Kozakowi / I serce swe do niego przychyl / I razem w imię Chrystusowe / Odbudujemy raj nasz cichy!”.

Wczytuję się w wiersz „My lubimy Rusinów” Iwana Franki – co ciekawe, napisany po polsku. Długa litania na początku, litania powodów, dla których lubimy Rusinów. A potem puenta: „Lecz kto chciałby dla Rusi / Naszą ukrócić wolność / I rozrywać odwieczną / Naszych korzyści wspólność [...] / Ten jest Moskal, szymatyk [schizmatyk – przyp. P.G.] / Hajdamackie skaranie / Apostata, zaprzaniec / Zdrajca kraju, mospanie!”.

Wczytuję się w listę kontaktów w moim telefonie, w listę przyjaciół z Facebooka. Od trzech tygodni piszę i dzwonię do przyjaciół z Ukrainy. Jedni już bezpieczni, w Polsce, inni – jak Wołodia Areniew – na prowincji trochę rzadziej ostrzeliwanej niż miasta. Jeszcze inni – milczą. Cała moja nadzieja, że to tylko dziurawy Internet. I że mają ważniejsze rzeczy do roboty. I że absolutnie nic innego, że...

Sami przecież wiecie.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Czas na rodzinę



★★★★★
REŻ. SHAWN LEVY
„PROJEKT ADAM”
(„THE ADAM
PROJECT”)
USA 2022

wyst. Ryan
 Reynolds, Walker
 Scobell, Jennifer
 Garner

Podróżę w czasie są możliwe. Oto dowód: na pokładzie temporalnego odrzutowca do naszych czasów przybywa uciekinier z roku 2050. Schronienia szuka u samego siebie z przeszłości, tak więc dorosły Adam Reed (Ryan Reynolds) będzie miał okazję pogadać z 13-letnim Adamem (Walker Scobell). A nawet się z nim sprzymierzyć w wykonaniu trudnej misji: po pierwsze, ścigają go goście z przyszłości; po drugie, by uratować świat, trzeba się jeszcze cofnąć w czasie – do roku 2018.

„Projekt Adam” to film po netflixowsku sprawny: akcja toczy się wartko, obrazki są ładne, choć daleko im do kadrów komponowanych z prawdziwie kinowym rozmachem. Scenariusz jest

mocno naciągany (zwłaszcza tłumaczenie, dlaczego gromada wpadających na siebie różnych wersji bohaterów nie przestaje istnieć), za to dialogi błyskotliwe i zabawne. A to wystarczy, by dalej rzeź nieśli na swych barkach aktorzy. Oprócz dobrze dobranej pary dwóch Adamów (duży Reynolds i mały Scobell) nieźle wypada Jennifer Garner (mama wdowa). W drugiej połowie filmu show kradnie Mark Ruffalo, choć trudno nie zauważyć, że grana przez niego postać mocno przypomina pokojową, nieśmiałą połowę Hulka, czyli naukowca Bruce’a Bannera. Tak właściwie jest z niemal wszystkimi elementami tej produkcji: wszystko skądś pożyczono, wszystko już widzieliśmy kiedyś, przy jakiejś innej okazji.

Autorem tej lekkiej i zabawnej historii jest Shawn Levy, spec od rodzinnej rozrywki (choćby seria „Noc w muzeum”), który w zeszłym roku odniósł spory sukces komedią SF „Free Guy” (także z Reynoldsem). „Projekt Adam” też jest przede wszystkim opowieścią rodzinną, bo w centrum opowieści mamy relację między przedwcześnie osieroconym chłopcem i jego mamą udającą, że daje sobie jakoś radę ze stratą męża. Prawdziwa walka toczy się nie o ocalenie świata przed ponurą przyszłością, która jest, zdaniem Adama, gorsza niż w „Terminatorze”, ale o to, by przybysz z przyszłości miał szansę na odzyskanie ukochanej kobiety, a jego małaletnia wersja – na wyjście z cienia żałoby i szczęśliwe życie. Reszta to tylko dekoracje. ©



NOWE SERIALE: „WECRASHED: UPADEK START-UPU”

Jeśli grać, to o wysokie stawki, jeśli bankrutować – to z rozmachem. Nowy serial Apple TV+ to opowieść inspirowana faktami. W 2010 r. firma WeWork obwołana została jednym z najciekawszych przedsięwzięć nowej gospodarki, w 2015 r. stawiano ją za wzór prężnie rozwijającego się biznesu; kilka lat później bańka pękła. Cóż z tego, że ob-

raca się miliardami dolarów, skoro wszystko to na kredyt, a właściciel z każdym kolejnym sukcesem nabiera ochoty na większe ekstrawagancje (w tym flotę prywatnych odrzutowców)? W rolach głównych Jared Leto i Anna Hathaway. © **Piotr Gociek**
• Sezon 1, „WeCrashed: upadek start-upu” („WeCrashed”), USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Bridgertonowie” („Bridgerton”), USA 2022
- reż. Michael Chaves „Obecność 3: Na rozkaz diabła” („The Conjuring: The Devil Made Me Do It”)
- reż. Maria Schrader „Jestem Twój” („Ich bin dein Mensch”), Niemcy 2021

Czip w mózgu

HBOmax

Dystopie mają ostatnio wzięcie, więc debiut zreformowanej platformy HBO w Polsce uświetniła premiera serialu o sztucznym raju, stworzonym przez geniusza z branży high-tech na użytek własny i małżonki. Kobięcie jednak trudno dogodzić. Po trwającej 10 lat idylli Hazel ucieka z cyfrowego Edenu, przerażona perspektywą umysłowej jedności z mężem-narcyzem, który nazywa ją „klusieczką”. Byron może być jakoś przeboleć dezercję muzy, ale pogodzić się z utratą najcenniejszego urzędnika na świecie nie potrafi. Albowiem już wcześniej, bez wiedzy i zgody kobiety, umieścił w jej głowie szpiegowski czip, jakże pomocny w budowaniu partnerskich relacji.

Futuryzm „Stworzonej do miłości” jest względny: syntetyczną dziewczynę można kupić w każdym sex-shope, a prywatność to tylko złudzenie. Serial nie imponuje tempem akcji, ale głównym celem adaptatorów powieści Alissy Nutting było oswojenie widzów



★★★★★
REŻ. STEPHANIE LAING, ALETHEA JONES
„STWORZONA DO MIŁOŚCI” („MADE FOR LOVE”)
USA 2021

wyst. Cristin Milioti, Billy Magnussen, Ray Romano

z ekscentrycznymi bohaterami tudzież morderczą dawką czarnego humoru, momentami ocierającego się o groteskę. I z tego zadania się wywiązali. Po co szaleć z efektami specjalnymi? Wystarczy, że Magnussen ma uśmiech socjopaty, Milioti – oczy wystraszonej sarenki, a Romano jest lepszy niż w autobiograficznym sitcomie „Wszyscy kochają Raymonda”, który zrobił z niego gwiazdora? Ciąg dalszy nastąpi. ©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

DZIEWCZYNA Z OSLO

KINO



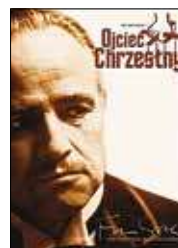
wyst. Renate Reinsve, Anders Danielsen Lie, Herbert Nordrum

★★★★★
REŻ. JOACHIM TRIER
„NAJGORSZY CZŁOWIEK NA ŚWIECIE” („VERDENS VERSTE MENNESKE”)
NORWEGIA 2021

Miłość dodaje skrzydeł, a kochankowie żyją poza czasem. Szkoda tylko, że człowiek jest igraszką w rękach losu i za chwile szczęścia zawsze musi odpokutować. Julie często zmienia zdanie i kierunek studiów. Wie tylko tyle, że „chce być sobą” (cokolwiek to znaczy). Na razie największym osiągnięciem 30-lletniej Norweżki jest wrzucony do sieci artykuł o seksie oralnym w czasach #MeToo. Lgną do niej mężczyźni pocziwi oraz wspaniałomyślni. Na przykład Aksel, porte-parole reżysera, oldskulowy buntownik, który wierzy w teorię Freuda i zapamiętałe zwalczą drobnomieszczańskie przesady. Dla millennialów jest tylko godnym pogardy dziwakiem. „Najgorszy człowiek na świecie”, najdelikatniej mówiąc, optymizmem nie napawa, lecz za odkrycie, że w świecie ogarniętym chaosem wolność traci powab, duet Joachim Trier/Eskil Vogt zasłużył na Złotą Palmę, Oscara, Nagrodę Nobla, a może nawet uścisk dłoni Prezesa.

WŁADCA MARIONETEK

player



wyst. Marlon Brando, Al Pacino, Robert Duval

★★★★★
REŻ. FRANCIS FORD COPPOLA
„OJCIEC CHRZESTNY” („THE GODFATHER”)
USA 1972

Ulubiony film Trumpa ma już 50 lat! „Ojciec chrzestny” jest apoteozą sycylijskiej mafii, która rozwinęła skrzydła w USA. Widzom, zde gustowanym nieudolnością rządu, organizacją, która potrafi zapewnić ład i porządek, eliminując przy tym jednostki chciwe, zdradzieckie i aspołeczne, musiała zaimponować. Don

Vito Corleone szanuje religię i wartości rodzinne. Nic dziwnego, że Amerykanie okrzyknęli go najwspanialszym bohaterem filmowym wszech czasów. Wytwórnia wzdragała się obsadzić w tej roli Brando, marudząc, że jest za młody (47 lat) i na Włocha nie wygląda. Coppola też nie palił się do reżyserowania, bo literacki oryginał oceniał nisko. W powieści jednym z petentów Don Vito jest niejaki Anthony Coppola, któremu brakuje pieniędzy na otwarcie pizzerii. Wątki hollywoodzkie skrócono do minimum, podobno w trosce o dobre imię Jacka Warnera, Franka Sinatry i Avy Gardner. ©

Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „ELDEN RING”

Słowa, które najczęściej padały z moich ust podczas grywania „Elden Ring”, nie nadają się do druku, chyba że na transparent na jakąś wulgarną manifestację. Mimo odkładania pada z postanowieniem, że już nie odpalę tej horrendalnie trudnej gry – wracałem. Przyciągał mnie piękny, otwarty świat, w którym

naprawdę jest co robić, i wciągająca fabuła, którą poznajemy powolutku, po kawałku, którą warto odkrywać – tak, właśnie odkrywać – dlatego nie będzie tu spoilerów. Nadzieję i siłę do ponownego odpalania konsoli dawała możliwość nieprzynoszącego nudy „expienia” i rozwoju przed kolejnym podejściem do



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

bossów. Gra, która pokazuje, czym jest syndrom sztokholmski. ©

Radosław Wojtas

• Gatunek: RPG, TPP
• Platforma: XSX, XONE, PS5, PS4, PC
• Producent, dystrybutor: FromSoftware, Cenega S.A.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Przeklęta wyspa

Ta książka legenda, porównywana często ze „Wspomnieniami z domu umarłych” Dostojewskiego, przyniosła sławę jej autorowi, zapewniając mu dobre imię i podziw dla postawy obywatelskiej, humanitaryzmu i odwagi. Na wyspie – zdaje się – zapomnianej przez Boga upomniał się o przysługującą każdemu człowiekowi godność. Choćby do godnego odbicia zasądzonej mu kary.

Trzydziestoletni Anton Czechow udał się na Sachalin w 1890 r. Usiłowano odwieść go od tego przedsięwzięcia, a to ze względu nie tylko na trudy podróży, z czym wypadałoby się zgodzić, lecz także rzekomą nieatrakcyjność podjętego tematu. Oburzony odpowiedział malkontentom: „Sachalin może być nieciekawym i niepotrzebnym tylko dla takiego społeczeństwa, które tam nie wywozi tysięcy ludzi i nie wydaje na to milionów”.

Po wielokroć miał rację. Trzy miesiące jechał na Sachalin, trzy miesiące tam spędził. Jego przybycie tam zbiegło się z przyjazdem nadamurskiego generał-gubernatora, barona Korfa, który uchodził za człowieka światłego, do tego zatroskanego dołączyli katorżników, nie tylko ich zresztą, lecz także wszystkich, których los rzucił w to miejsce.

Po rozmowie z Antonem Czechowem zezwolił mu na wstęp do wszystkich osad oraz więzień i kontakty z więźniami, wszakże z wyłączeniem więźniów politycznych. Na uroczystym obiedzie dostojnik wygłosił przemówienie, z którego – pisał Czechow – „przypominam sobie teraz słowa: »Przekonałem się, że na Sachalinie nieszczęśnikom żyje się łatwiej niż gdziekolwiek w Rosji czy nawet w Europie. W tej kwestii musicie zrobić jeszcze wiele, bo ścieżka dobra nigdy się nie kończy«. Wizytował Sachalin przed pięciu laty i teraz uznał, że postęp jest znaczny, wręcz przerósł wszelkie oczekiwania. Jego laudacja nie mogła ułożyć



FOT. DORCENA PUBLICZNA

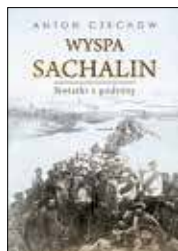
mi się w głowie w sąsiedztwie zjawisk takich jak głód, powszechna prostytucja zesłanek czy okrutne kary cielesne, ale słuchacze raczej mu wierzyli: teraźniejszość w porównaniu z sytuacją sprzed pięciu lat wyglądała niemal na początek złotego wieku”. I odnotowywał: „Różgi, baty, przykuwanie do tacek – kary hańbiące osobowość przestępcy, przyczyniające jego ciału bólu i męki – są tu szeroko stosowane”.

Chodził Czechow na Sachalinie od chaty do chaty, spisywał mieszkańców, rozmawiał z nimi i dziwił się na przykład, że w obejściach trzymają na uwięzi nie tylko spokojne, miłe psy, lecz także świny, noszące na karku jarzmo, i koguty – przywiązane za nogę. A gospodarz pytany, dlaczego tak robi, odpowiadał: „U nas, w Sachalinie, każdy siedzi na łańcuchu. Taka wyspa”. W więzieniach interesował się wszystkim, nie tylko stosunkiem strażników do więźniów, aktami agresji, lecz takżeżywieniem i stanem higieny. Na przykład ustępami. Stwierdzał całkowity brak lekarstw. W więziennym karcerze natknął się na włóczęgę, który odciął sobie dwa palce i ranę miał przewiazaną brudnym gałganem, innego więźnia z raną postrzałową też opatrzone podobnie – brudną szmatą. Anton Czechow był z wykształcenia lekarzem; na Sachalinie przyszło mu operować chorego – tępy młotem, beznamiętnie.

Trudno było mu wyzbyć się emocji, gdy zwracał uwagę na powszechny na Sachalinie stosunek do kobiet, „ni to jak do człowieka, gospodyni,

ni to jak do istoty stojącej niżej nawet niż zwierzę gospodarskie. Osiedleńcy z osady Siska skierowali do naczelnika okręgu następującą prośbę: »Prosimy najpokorniej Waszą Wielmożność o przydzielenie nam do wspomnianej wyżej miejscowości rożnizny, żebyśmy mieli mleko, i płci żeńskiej, żebyśmy mieli obsługę w naszych gospodarstwach«”. „Sachalińskie dzieci są blade, chude i słabowite – pisał w innym miejscu – ubrane w łachmany i wiecznie chcą jeść [...], umierają niemal wyłącznie na choroby układu pokarmowego. Przymieranie głodem, jedzenie czasem całymi miesiącami tylko brukwi albo w wypadku zamożniejszych tylko solonej ryby, niska temperatura i wilgoć zabijają dziecięcy organizm najczęściej powoli, wyniszczając go i pomalutku zmieniając wszystkie jego tkanki...”. Niejaki Komorski, inspektor więzienny, powiedział autorowi „Wyspy Sachalin”: „Jeżeli ostatecznie ze 100 katorżników jakichś 20 wychodzi na ludzi, zawdzięczamy to nie tyle działaniom naprawczym, jakie tutaj wdramy, ile naszym rosyjskim sądom, które przysyłają na katorgę tak wielu dobrych, porządných skazanych”.

Wielki reportaż Czechowa spotkał się z szerokim odzewem, przyczyniając się do ulżenia doli skazanców. Dwa lata po publikacji „Wyspy Sachalin” zakazano kary chłosty dla kobiet, kilka lat później i dla mężczyzn. Powstał państwowy fundusz na utrzymanie sierot, zniesione zostały wieczne wygnanie i dożywotnia niewola karna. Okrutna, despotyczna carska Rosja nie lekceważyła bowiem całkowicie głosu opinii publicznej, obowiązywały w niej jakieś zasady. W sowieckich obozach poszły one w całkowite zapomnienie, a gdy Aleksander Sołżenicyn napisał odpowiednik „Wyspy Sachalin” – „Archipelag GUŁag”, wygnano go z ojczyzny. Oto miara postępu. ©

ANTON CZECHOW
„WYSPA
SACHALIN.
NOTATKI
Z PODRÓŻY”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Upadek

dee mają konsekwencje. Ukraina niszczone jest przez rakiety i bomby, ale u źródeł agresji leżą pseudonaukowe wywody historiozoficzne starsze o parę stuleci niż sam Putin. Kto wygrywa starcie w sferze idei, ten wygra pewnie i w realu, ale te ostatnie słowa dotyczą nie wojny na Ukrainie, lecz starcia toczzonego w Polsce każdego dnia, na kartach każdej książki na każdym uniwersyteckim wykładzie.

Profesor Nalaskowski maluje obraz ponury, wyciągając logiczne wnioski z książki prof. Legutki „Esej o duszy polskiej”. Dawnej Polski nie ma, niby-Polska, czyli PRL, okazała się projektem bez przyszłości. Kim są dziś Polacy? Inaczej: Kim są ci, którzy twierdzą, że wiedzą lepiej, jacy mają być Polacy? Nalaskowski wskazuje na zachowanie ciągłości między PRL a III RP, zwłaszcza w świecie inteligencji, która zamieniając ślepą wiarę w dogmaty marksizmu na ślepą wiarę w liberalizm, przeszła do świata neomarksizmu.

Wiary się zmieniają, ale pozostaje pogarda dla tych, którzy są odporni na ideologiczne ukąszenia. Uniwersytety zamiast szerzyć wolność badań, dławią wolność słowa. Kulturalne elity pielęgnują ojkofobię.

Młodej kadrze naukowej nie przeszkadza dawne uwikłanie wykładów w zbrodniczy ustrój. Wybory prezydenckie wygrywa w tym gronie już nie Trzaskowski, ale Biedroń. Niby wszystko to wiemy, ale „Bankructwo polskiej inteligencji” i tak wstrząsa czytelnikiem.

Z tą pozycją współgra „Polska wojna kulturowa” Mariusza Stanisze-
wskiego, byłego dziennikarza i publicysty, uważnego obserwatora sceny

politycznej. Ale nie jest to książka o polityce, jej plemienność, głęboki podział to nie przyczyna, ale efekt polskich kłopotów z tożsamością – podkreśla Staniszewski. Przyczyny podziału są dużo głębsze niż tylko sympatia do tej czy innej partii.

I tu wracamy do świata idei, do świata kultury. Polska jest w dużo większych kłopotach, niż mogłyby się zdawać, bo nie może istnieć kraj o dwóch duszach, naród o dwóch tożsamościach. A nawet jeśli może, to nie mogą one być ze sobą szczone w nieustannym zabójczym kłinczu. Staniszewski kończy optymistycznie, przypomina, że zdrowy rozsądek zwykle wygrywa, wahadło odbija, po kontrkulturach przychodzi Reagan. Tak bywało. Czy będzie? Chciałbym podzielać ten optymizm. ©©



★★★★★
ALEKSANDER NALASKOWSKI
**„BANKRUCTWO POLSKIEJ INTELI-
GENCJI”**
BIAŁY KRUK 2022



★★★★★
MARIUSZ STANISZEWSKI
„POLSKA WOJNA KULTUROWA”
WARSAW ENTERPRISE INSTITUTE 2022

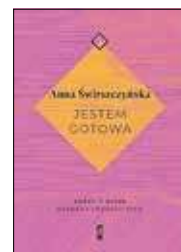
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nareszcie! Zapomniani (niesłusznie) klasyk polskiej literatury wraca na półki. Tom z przedmową Jacka Bartyzela zawiera m.in. dramaty „Kajus Cezar Kaligula”, „Judas z Kariothu” czy „Czerwony marsz”. Lektura obowiązkowa.



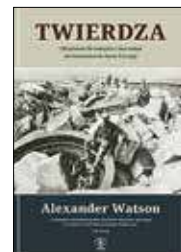
KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI
„CZERWONY MARSZ”
WYDAWNICTWO DĘBOGÓRA

Obszerny wybór utworów jednej z najoryginalniejszych polskich poetek. Wstępem opatrzyła Barbara Gruska-Zych. Tom z serii „Poeci do kwadratu”, w której mistrzów poezji przypominają zafascynowa-
ni nimi następcy.



ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA
„JESTEM GOTOWA”
PIW

Oto pomijana zwykle przez historyków groza wojny na wschodnim froncie pierwszej wojny światowej. Dzieje półrocznego oblężenia Przemyśla, głównego punktu w linii obrony monarchii Habsburgów i rosyjskiego bestialstwa po jej upadku.



ALEXANDER WATSON
„TWIERDZA”
REBIS

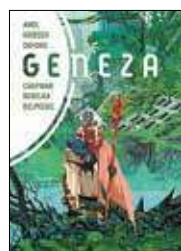
Piękne efekty współpracy dwóch mistrzów: wiersz Brzechwy opatrzone znakomitymi ilustracjami Bohdana Butenki (pamiętacie twórcę przygód Gapiszona oraz Gucia i Cezara?). Tak powinny wyglądać spotkania z klasyką. ©©



JAN BRZECZHA
„PALI SIĘ!”
DWIE SIOSTRY

KOMIKS TYGODNIA:

„GENEZA”
Koniec świata nastąpił, sztuczna inteligencja wyrwała się spod kontroli i doprowadziła do zagłady wszystkich – poza roślinnymi – organizmów żywych. W odległej przyszłości android o twarzy kobiety – Chloe – wskrzesza człowieka, który może zmienić przyszłość. Raz już to uczynił, doprowadzając do katastrofy. Wydaje się, że w mocno eksploatowanych podgatunkach (postapo +



CLAY MCLEOD CHAPMAN, JAKUB REBELKA
„GENEZA”
KULTURA GNIEWU 2022

bunt SI) niewiele można wymyślić nowego. Twórcom „Genezy” to się udało. Uwagę zwracają rysunki Jakuba Rebelki. Laureat Festiwalu Komiksów w Łodzi od kilku lat z sukcesem współpracuje z zagranicznymi wydawcami. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Matejko w wersji mini

Dziewica Orleańska" („Wjazd Joanny d'Arc do Reims") – 484 cm wysokości i 973 cm szerokości, czyli ponad 47 mkw. powierzchni – największy gabarytowo obraz namalowany przez Jana Matejkę. „Bitwa pod Grunwaldem" jest nieco mniejsza, 426 x 987 cm, czyli ponad 42 mkw. „Kościuszk pod Racławicami" – 465 x 897 cm, prawie 42 mkw.

Znamy Jana Matejkę jako malarza historiozofa od ogromnych

płócien, ale tworzył on także dzieła mniejszych rozmiarów, a nawet rozmiarów zupełnie niewielkich.

Wystawa czasowa „Bez retuszu. Jan Matejko", otwarta niedawno w mieszczącym się w rodzinnym domu artysty przy ul. Floriańskiej 41 w Krakowie muzeum Dom Jana Matejki (oddział Muzeum Narodowego w Krakowie), prezentuje m.in. miniatury wykonane przez Matejkę na kości słoniowej. W tym autoportret o wymiarach 30 x 40 mm, który artysta podarował żonie z okazji imienin 26 marca 1867 r. Oprócz tego m.in. szkice akwarelowe, przybory malarskie, a w tle – jak to u Matejki – wielka historia i legendarne treści. ©©

GDZIE? Muzeum Dom Jana Matejki w Krakowie

KIEDY? do 10 lipca



FOT. PAMEL CERNICKI



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

W tanecznym rozkroku

Techno do miłości" nie jest albumem doskonałym. Bass Astral potwierdza, że jest nieprzeciętnym twórcą polskiego Electro Dance Music (utwór tytułowy, „Pałace"). Jednocześnie Kuba Tracz już się dusi w tych klimatach. Dlatego śmiało wkrocza w bardziej wysublimowaną elektronikę, co należy uznać za dobry krok („Water/Fool", „Jungle Beatz"). Śmiałym pomysłem jest zamieszczenie „Nokturn f-moll op. 55 nr 1" Chopina, ale elektroniczne popisy, intrygujące na początku nagrania, pod koniec po prostu przeszkadzają fantastycznej interpretacji Hani Rani. Rozumiem, że Bass Astral jako producent chce pokazać więcej, ale właśnie nadprodukcja jest mankamentem płyty. Zestaw byłby bardziej

spójny, gdyby utwory były bardziej zwarte, a album jako całość krótszy. Z drugiej strony naprawdę nieźle wypada electro-akustyczna ballada „Waiting for Love" i wypad w stronę nu jazzu „Zimna noc". Osobnym utworem jest „Gdzieś indziej", w którym Kuba wreszcie nieco odkrywa własną duszę.

Na solowym albumie Bass Astral aż roi się od gości (Hania Rani, Gypsy, Sarka, Ericonne, DID, Palka, ULTRA, Erektion, Against the Grain, Lulu x Uziuk, Tomek Tracz, Jakub Marcel, Leszek Zadymka czy Jose Pepe Kumba). „Mimo iż chciałem zrobić wszystko sam, to zrozumiałem, że muzykę najbardziej kocham robić razem. Każda piosenka na tej płycie to inna relacja" – tłumaczy autor. ©©



★★★★★
BASS ASTRAL
„TECHNO
DO MIŁOŚCI"
MYSTIC



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

KOBIETA W PODRÓŻY

18 marca minęły 42 lata od śmierci Tamary Łempickiej. Tego dnia w Muzeum Narodowym w Lublinie otwarto wystawę poświęconą baronowej z pędzlem. Wystawa „Tamara Łempicka – kobieta w podróży" jest zaproszeniem do świata lat 20. i 30. XX w., czyli do niezwykle epoki podporządkowanej nowemu stylowi, jakim było art déco. „Życie jest jak podróż. Spakuj tylko to, co najbardziej potrzebne, bo musisz zostawić miejsce na to, co zbierzesz po drodze" – mawiała Tamara de Łempicka, której burzliwe życie nierozdzielnie związane było z podróżowaniem. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Lublinie (Zamek Lubelski)

KIEDY? do 14 sierpnia



★★★★★
SPIRITUALIZED
„EVERYTHING WAS
BEAUTIFUL"
FAT POSSUM

Pierwszy

od dłuższego czasu naprawdę świetny album Spiritualized, jednej z najlepszych, brytyjskich kapel lat 90. Jason Pierce zaprasza na 44-minutową psychodeliczną podróż po wyśnionych, pięknych krainach.



★★★★★
**BOGUSŁAW
RUDZIŃSKI QUINTET**
„ZIMNA KĄPIEL"
GAD

Zapomniany

saksofonista powraca dzięki wydaniu sesji zarejestrowanej 60 lat temu! Kwintet lidera znanego z pionierskiego New Orleans Stompers, w którego składzie byli m.in. perkusista Władysław Jagiełło i niesławny Krzysztof Sadowski, gra iskrzący modern jazz. ©©

Grzegorz
Kondrasiuk

Z jakiej materii teatralnej są te białoruskie „Dziady”? Są polityczne i sakralne zarazem, za pomocą doboru tekstów eksponujące ofiarniczy wymiar walki

FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Białoruskie „Dziady” w rytmie wiecznego powrotu

Jest takie mocno wyeksplloatowane powiedzenie o wiecznej aktualności wielkich tekstów dramatycznych. Recenzenci powielają ten schemat przy okazji Szekspira, którego dramaty ponoć potrafią trafnie komentować każdy kolejny zakręt historii. W naszym kręgu kulturowym funkcję tę pełnią „Dziady”, Mickiewiczowski arcydramat, powracający na sceniczne deski w najważniejszych momentach historii narodu. Uważałem to przekonanie za historyczny mit dopóty, dopóki nie zobaczyłem „Dziadów” w najnowszym wystawieniu, po białorusku.

Wolni Kupałowcy – tak ochrzcił się zespół, wyrzucony niemal w całości z białoruskiego Teatru Narodowego im. Janki Kupały. Artyści przebywają w dziwnym zawieszeniu, częściowo na emigracji w Polsce, częściowo egzystując w przesyconym politycznym terrorem Mińska. Pracowali w gościnnym Lublinie i dokonali najtrafniejszego z możliwych wyborów, czemu sprzyjało istnienie kongenialnego tłumaczenia Sierża Minskiewicza. Premiera, po cichu, bez celebry i bankietów, odbyła się w zeszłym tygodniu, w Centrum Kultury zamienionym na centrum Społecznego Komitetu Pomocy Ukrainie. Spektakl został zagrany tylko dwa razy, na potrzeby realizacji wideo, ponieważ Wolni Kupałowcy ciągle pracują dla

swojej wiernej publiczności, kierując swój przekaz na Białoruś, umieszczając kolejne nagrania w Internecie. Dokończenie tej realizacji w momencie wybuchu wojny na Ukrainie można rozpatrywać w kategoriach cudu. Udało się. My, po tej przyjemniejszej stronie granicy, możemy wiedzieć, jakim ogromnym kosztem... Nazajutrz po premierze cały skład się rozjechał, nikt nie wie, co będzie dalej z teatrem – i z mickiewiczowską Litwą.

Słowa Mickiewicza zabrzmiały tak, jakby były napisane w ostatnich miesiącach jako reakcja poety na niedawne krwawo stłumione białoruskie protesty albo jakby wydarzenia rozgrywały się nie w Wilnie, ale gdzieś w jakiejś piwnicy ruskiej bezpieki w okupowanym Chersoniu. Takie przekleństwo wschodnioeuropejskiej geopolityki, dzięki której wciąż i wciąż musimy sobie przypominać ten patos walki o wolność i samostanowienie, na mocy prawa wiecznego powrotu. Historia się nie skończyła, przez jakiś czas we wschodnich krainach Europy był spokój, przyszedł jednak czas ataku barbarii i wolni ludzie muszą płacić daninę krwi – nie potrafię i nie chcę uwolnić się od takiego właśnie odczytania sensu „Dziadów”, nie tak znowu chyba odległego od zamysłu autora.

Z jakiej materii teatralnej są te białoruskie „Dziady”? Są polityczne i sakralne zarazem,

za pomocą doboru tekstów eksponujące ofiarniczy wymiar walki. Trzecia, polityczna część płynnie przepływa w drugą, obrzędową – i z powrotem. Są migotliwe, utkane z fragmentów, przemontowane i obsadzone przez Pawła Passiniego tak jak w teatrze alternatywnym. Do ostatniej chwili zmieniał się skład, można się domyślać dlaczego, i tak m.in. wypadła ze spektaklu większa część „Wielkiej Improwizacji”. Wysmakowane wizualnie, z pięknymi, wiele znaczącymi kostiumami i scenografią Aleksandry Konarskiej, w której horyzont zamykają ginące w mroku rzędy lalek motanek. Pięknie, czysto śpiewane, zorkiestrowane chóralnie i solowo, przesycone znakami obecności sacrum. Pięknie, mocno mówione – rzadko w polskich teatrach można spotkać taką siłę słowa, takie mówienie: bez łatwej ironii, ale, o dziwo, bez fałszywego patosu. Łatwo się domyślić, skąd ono pochodzi – z uwiarygodnienia wypowiedzianych słów własnymi wyborami życiowymi. Tak mówią Wolni Kupałowcy, ci, którzy przeszli przez ogień, przy czym ciągle są znakomitymi aktorami ukształtowanymi w atmosferze kultuwowania warsztatu. I najważniejsze – to „Dziady”, w których główną postacią jest Pani Rollison (Zoja Biełachvościk). Jest wielka, jest prawdziwą wielką tragiczką, monolog

Rollisonowej wgniata w ziemię i obezwładnia. Ta rola jest hołdem dla wszystkich samotnych matek i córek żyjących w krajach totalitarnych. Nie ma tu Guślarza, ta sama Biełachvościk jest Guślarką, prowadzi akcję razem z Valanciną Harcujewą (Dziewicą). Niedogodnością dramaturgiczną jest to, że Nowosilcow tej inscenizacji ciągle żyje, inaczej niż w tekście sztuki nie trafił go szlag. Aktualna historia polityczna jest apodyktycznym reżyserem: wszystkie sceny pokazujące złoczyńców (i z części III, i z IV) ujednoliciły się, stały się potężnym wołaniem o wymierzenie sprawiedliwości mordercom, decydom i funkcjonariuszom reżimu. A w poszukiwaniu jakiegokolwiek nadziei rzecz cała kończy się zespołowo wypowiedzianym „Do przyjaciół Moskali”. ©

ADAM MICKIEWICZ „ДЗІЯДЫ” („DZIADY”)

REŻYSERIA: PAWEŁ PASSINI

(NETTHEATRE)

MUZYKA: ERYK ARŁOŨ-ŠYMKUS

OBSADA: ZOJA BIEŁACHVOŚCIK, VALANCINA HARCUEWA, ALAKSANDR ZIELANKO, KRYŚCINA DROBYŚ, ALEH HARBUZ, ANDREJ KORZAN, ALEŚ PAŬLAŬ, ANDREJ DROBYŚ, ALAKSANDR HARCUEŬ, ERYK ARŁOŨ-ŠYMKUS, PAVIEŁ ASTRAVUCH

PREMIERA: 6 MARCA 2022 R.

W CENTRUM KULTURY; PREMIERA

INTERNETOWA NA KANAŁE YOUTUBE

„КОПАЛІЦЬ”: WIOSNA 2022 R.

W chwili, kiedy trwa okrutna wojna wypowiedziana słabszemu sąsiadowi przez agresywną dyktaturę, trudno mówić o korzyściach, jakie może ona kiedyś przynieść. Trudno rozprawiać o szansach szczęśliwej przyszłości, kiedy pod bombami giną kobiety i dzieci. Jednak przecież wskazywanie pozytywnych skutków katastrof nie jest niczym nowym ani dziwnym. Od wielu lat historycy, socjologowie czy publicyści opisują również korzyści, jakie w niektórych dziedzinach przyniosła druga wojna światowa, takie jak technologiczny i naukowy boom, emancypacja kobiet, umocnienie ruchów związkowych czy poprawa losu robotników. Takie rozważania w żaden sposób nie oznaczają podważania dramatyzmu wojny i nie oznaczają lekceważenia katastrof i klęsk, które wojny przynoszą.

Po powyższym, ważnym, zastrzeżeniu spróbujmy się zastanowić, czy Ukraina ma powody, by spoglądać w przyszłość z nadzieją. Moim zdaniem takie powody są, chociaż realizacja wszystkich szans będzie zależała od wyniku wojny. Poniższy artykuł jest pisany przy założeniu, że Ukraina odeprze rosyjską agresję i wyjdzie z konfliktu jako niezależne państwo. Nie jest w wypadku tych rozważań istotne, czy Ukraina straci Krym, Donieck i Ługańsk (oby nie!), ale to, czy jej państwowość przetrwa jako byt maksymalnie suwerenny.

KRAJ JAKO TOWAR

Każde państwo jest produktem, ale przedstawia sobą nie tylko wartość rzeczywistą, opartą na bogactwie kraju czy jego mieszkańców, lecz także wartość marketingową, określającą, jak ów kraj i zamieszkujący go ludzie są odbierani w świecie zewnętrznym. Z czym się kojarzą i czy te skojarzenia są miłe czy raczej odstręcające.

Zacznijmy jednak od rozpoznawalności. Każdy specjalista od marketingu wie, że nawet jeśli mamy świetny produkt, ale nikt o nim nie wie, to równie dobrze moglibyśmy tego produktu nie mieć wcale. Ukraina jako państwo i Ukraińcy jako naród byli na Zachodzie w zasadzie nieznani, traktowano ich jako rosyjski odprysk, a założę się, że w USA większość ankietowanych odpowiedziałaby, że Ukraina jest częścią Rosji, a język ukraiński jest rosyjskim dialektem (choć tak naprawdę sądzę, że częstsza byłaby odpowiedź, iż Ukraińcy mówią po rosyjsku i nie mają własnego języka). W tej chwili, dzięki wojnie, cały świat dowie-



FOT. ANASTASIA VLASOVA/GETTY IMAGES

Szansa dla Ukrainy



Jacek Piekara

Są wojny, które niszczą państwa i narody, spychają w niewolę, poddają obcej dominacji. Ale są też wojny, które budują państwo i naród, które wznoszą nowy i trwały fundament wspólnotowy, oparty na wzniosłej legendzie, na opowieściach o przelanej krwi, o bohaterstwie. Wojna obronna z Rosją będzie dla Ukrainy takim właśnie fundamentem

dział się, że Ukraina nie jest częścią Rosji, a Ukraińcy nie tylko nie są Rosjanami, lecz także bardzo nie podoba im się sama myśl, że ktoś chciałby ich do podobnej roli sprowadzić.

Kolejna kwestia związana z wizerunkiem: każdy człowiek buduje sobie w związku z danym krajem i narodem jakieś skojarzenia. Podobne wizje są dynamiczne i ulegają przemianom zarówno pod wpływem zachowania obywateli danego kraju, jego pozycji w świecie, jak i pod wpływem kampanii reklamowych. A wizja kraju i jego mieszkańców wiele znaczy nie tylko w przemyśle turystycznym, lecz także w zasadzie w każdej dziedzinie gospodarki. O wiele chętniej zainwestujemy nasze pieniądze w spokojnym kraju, mającym jasne przepisy i uczciwych urzędników, a o wiele mniej chętnie (lub w ogóle) w kraju, gdzie na ulicach szaleją gangi, urzędnicy są skorpumpowani, a w prawie panuje chaos.

Jakie oblicze pokazuje dziś światu Ukraina? Otóż jest to nie tylko udowadnianie odrębności i indywidualności, lecz także ceniona w każdej cywilizacji cecha, czyli odwaga. Świat nie tylko zobaczył, że istnieje takie państwo jak Ukraina i taki naród jak Ukraińcy, lecz także światu wyglądało tego państwa i tego narodu się spodobał. To „podobanie” się to na razie uznanie za bohaterstwo i niezłomność, połączone ze współczuciem.

W dodatku Ukraina świetnie radzi sobie w sferze marketingu politycznego, gdyż wśród materiałów udostępnianych przez stronę ukraińską znajdują się zarówno lekkie, prześmiewcze filmy, których celem jest wyszydzenie Rosjan (na przykład historia o rosyjskim czołgu ukradzionym przez Cyganów lub o rosyjskich żołnierzach chcących kupić benzynę do czołgu), jak i materiały dramatyczne (np. pokazujące skutki bombardowań szpitali), a także wzruszające i zmuszające do empatii (jak film z dziewczynką śpiewającą w bunkrze). Bo dzisiaj wojna również jest produktem, który musi być odpowiednio zaprezentowany światu. Rosjanie ani nie umieli, ani nie chcieli, ani nie mieli szczególnych możliwości, by „sprzedać” swój obraz tej wojny. Wizerunkowo oddali konflikt w ręce Ukraińców, a oni skwapliwie oraz skutecznie z owego rosyjskiego walkoweru skorzystali. Ta rozumnie i umiejętnie prowadzona akcja przynosi Ukrainie wielkie zyski dzisiaj, budując poparcie, współczucie i uznanie, ale jestem pewien, że obficie zaowocuje również w przyszłości. Po prostu na świecie słowo „Ukraińiec” będzie się dobrze kojarzyć. A to może jest wartość trudno policzalna, ale jednak ogromnie cenna.

UKRAIŃSKI „PLAN MARSHALLA”

Ukraina będzie wymagać miliardów na odbudowę kraju po zniszczeniach wo-

jennych. Mam nadzieję, że Rosja zostanie zmuszona do wypłacenia odszkodowań i reperacji, ale niezależnie od tego, czy to nastąpi, Zachód zamierza wprowadzić ogromny plan pomocowy dla zrujnowanego państwa. Ten nowy „plan Marshalla” dla Ukrainy będzie prawdopodobnie traktowany ambicjonalnie jako pokazanie i wykazanie różnicy pomiędzy wschodnią, postsowiecką barbarią, potrafiącą tylko niszczyć a cywilizacją Zachodu, która kreuje oraz buduje. Z całą pewnością najistotniejsze będą jednak względy ekonomiczne i polityczne. Plan odbudowy Ukrainy nie tylko wydzwignie kraj na nieznaną poziom nowoczesności, nie tylko zwiąże gospodarczo, politycznie i kulturalowo z Zachodem, lecz także pozwoli zachodnim firmom zarobić na Ukrainie wielkie pieniądze (w analogiczny sposób, jak zachodnie firmy zarabiają pieniądze, wygrywając przetargi w Polsce).

Warto też zwrócić uwagę, że Unia i USA, przekazując pieniądze na odbudowę Ukrainy, będą się domagały ścisłej kontroli nad wydatkami, tak aby fundusze nie zostały rozkradzione przez oligarchów i skorumpowanych biurokratów. To da Ukrainie gigantyczną szansę, by raz na zawsze wyrwać się z korupcyjnej pajęczyny, która ją opłatała. Zdarzało mi się czasami oglądać programy ukraińskich wiodących blogerów i to, na co zwróciłem uwagę, to ich skargi na korupcyjną hydrę. Skargi połączone ze smutnym przeświadczeniem, że owa hydra jest po prostu elementem rzeczywistości ich kraju, elementem tak silnym, że walka z nim nie ma nawet szczególnego sensu. Ale ja pamiętam, kiedy Polska również była od dołu do góry skorumpowana, od małych sklepów poprzez szpitale, zakłady pracy aż do każdego urzędu i każdego ministerstwa. Teraz problem korupcji oczywiście istnieje nadal, ale kto sięgnie pamięcią do lat 80. czy 90., ten rozumie, że jest to skala wręcz nieporównywalna. Być może nowa sytuacja i kontrola instytucji międzynarodowych nad wydatkami pozwolą Ukraińcom wyzwolić się z owej niszczycielskiej korupcyjnej pułapki.

ARMIA I POLITYKA

Armia ukraińska przechodzi teraz chrzest bojowy tak intensywny, że podobnym nie może pochwalić się żadna armia na świecie. Po zakończeniu konfliktu Ukraina będzie dysponowała dziesiątkami tysięcy otrząskanych w prawdziwym boju żołnierzy oraz

tonami nowoczesnego uzbrojenia przysłanego przez państwa Zachodu. Prawdopodobnie, aby zwiększyć siłę ukraińskiej armii, traktowanej jako przedmurze zachodniej cywilizacji, będzie ona cały czas dozbrajana i wspomagana, zarówno pod względem materiałowym, jak i szkoleniowym. Analitycy wojskowi są zgodni, że do roku 2014 Ukraina w zasadzie nie dysponowała armią stanowiącą jakąkolwiek realną wartość bojową. Po zakończeniu wojny z Rosją Ukraina ma szansę mieć armię będącą realną i znaczącą siłą na kontynencie. Będzie to armia, która zapewni naszemu sąsiadowi bezpieczeństwo przed potencjalną, kolejną rosyjską inwazją. Te związki militarne, jak i wspomniany wcześniej „plan Marshalla”, wręcz wymuszą również ściślejsze związki polityczne z Zachodem. Oczywiście już teraz słyszymy niemieckie i holenderskie pohukiwania, że za wcześniej jest myśleć o Ukrainie w Unii Europejskiej, ale wiele rządów będzie na pewno w tej sprawie ambasadorami naszego wschodniego sąsiada. I nawet jeśli nie należy się szybko spodziewać formalno-administracyjnych posunięć związanych z członkostwem Ukrainy w Unii czy NATO, to na pewno po wojnie znajdzie się ona w całości w obrębie oddziaływań cywilizacji Zachodu, a nie Wschodu. A to rozwiązanie dobre nie tylko dla samych Ukraińców, lecz także dla całej Europy.

NOWI BOHATEROWIE

Warto zaznaczyć ogromne znaczenie agresji rosyjskiej na Ukrainę dla stosunków polsko-ukraińskich. Po pierwsze, to, co się dzieje teraz i tutaj, ta ogromna, emocjonalna, zarówno rządowa, jak i oddolna pomoc Polaków dla Ukraińców, buduje nowy rodzaj stosunków pomiędzy państwami, narodami i obywatelami.

Po drugie, pamiętajmy, że do tej pory historia ukraińskiej wolności opierała się głównie na antypolonizmie. Zaczynając od buntów kozackich (które przecież tak naprawdę były klęską nie tylko dla Polaków, ale przede wszystkim dla ludności Ukrainy oraz politycznej przyszłości i politycznych aspiracji Ukrainy), a kończąc na rzezi wołyńskiej, której organizatorzy byli przez wielu ukraińskich polityków i działaczy kreowani na narodowych bohaterów. Czczenie owych zbrodniarzy było dla Polaków odrażające i niepojęte, tak jak dla Żydów

odrażające i niepojęte byłoby czczenie przez inny naród pamięci Himmlera, Eichmanna lub Hössa.

W dyskusjach, w których uczestniczyłem, wiele, naprawdę wiele osób wyrażało nadzieję, że Ukraina buduje teraz nowych bohaterów i nowy typ bohaterstwa. Nie zbrodniarzy mordujących bezbronną, cywilną ludność, znęcających się nad kobietami i dziećmi, ale odważnych żołnierzy przeciwstawiających się przeważającym siłom najeźdźcy. Zauważmy też, jak wielka jest wśród Ukraińców chęć obrony ojczyzny. Ilu z nich zostawia za granicą kobiety i dzieci, po czym wraca walczyć. Z danych naszej Straży Granicznej wynika np., że tylko jednego dnia, 12 marca, granicę polsko-ukraińską przekroczyło 18 tys. mężczyzn! To też są wielcy bohaterowie i o ich zbiorowym bohaterstwie Ukraina będzie pamiętać. Przecież nie jest łatwo, żyjąc w bezpiecznej Polsce, zostawić żonę oraz dzieci i wrócić do kraju, w którym toczy się krwawa wojna z potężnym sąsiadem.

Zachowanie prezydenta Zełenskiego i braci Kliczków, odwaga obrońców Wyspy Węży (w dosadnym stylu gen. Cambonne), opowieść o „Duchu Kijowa”, ale też bohaterstwo budowlańców, kurierów i kierowców, którzy zamienili się w ciągu jednego dnia w żołnierzy niszczących rosyjskie czołgi i strącających rosyjskie samoloty – to wszystko wejdzie do triumfalnej, czasem może patetycznej i wzniosłej, czasem popkulturowo lekkiej legendy Nowej Ukrainy. Nowej Ukrainy – co dla nas, Polaków, jest akurat więcej niż dobre – raz na zawsze wyleczonej z rusofilii i wściekle odpornej na rusefikację. I niemającej powodu, by kultywować i wspomagać nastroje antypolskie. Oczywiście i to powinno być dla wszystkich jasne, pomiędzy Polską a Ukrainą nie zapanuje od razu sielanka, i to nie tylko ze względu na historyczne zaszczości. Zarówno Rosja, jak i jej niemiecki sojusznik będą knuć i przeciwdziałać zagrażającemu im ukraińsko-polskiemu zbliżeniu. Dlatego też tak ważna będzie rola wszystkich mądrych ludzi w obu krajach – zarówno rządzących, jak i zwykłych obywateli – by nie dać się wykorzystywać w grze obcych mocarstw, ale zagrażać we własną grę, opartą na polsko-ukraińskich regułach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pisarzem fantasty i dziennikarzem.

Wojnska rosyjskie 24 lutego zaatakowały Ukrainę, łamiąc przy tym wszystkie normy międzynarodowe. Wojna, która do niedawna wydawała się czymś nieprawdopodobnym w naszej szerokości geograficznej, stała się faktem. Dramat Ukrainy rozgrywa się na oczach całego świata, budząc słuszne oburzenie względem agresora.

Kilka lat wcześniej, w 2014 r., pro-rosyjscy separatyści odcięli od państwa ukraińskiego część wschodniego terytorium Ukrainy – Donieck oraz Półwysep Krymski. Agresorzy nazywani ironicznie „zielonymi ludzikami” doprowadzili do wyparcia państwa ukraińskiego z tych terenów, tworząc separatystyczne republiki. Dla ekspertów i obserwatorów nie było wątpliwości, że za rebelią i oderwaniem części terytorium ukraińskiego stoi Federacja Rosyjska, bez której pomocy ta operacja nie byłaby możliwa ani skuteczna.

Wydarzenia na Ukrainie – utworzenie „samodzielnych” republik w Donbasie i przyłączenie Krymu bezpośrednio do Federacji Rosyjskiej – mogły wzbudzić baczniejszą uwagę na wiele ruchów politycznych, w Polsce działających głównie na Śląsku. Jeśli nie wprost separatystycznych, to ocierających się o separatyzm, dla pozorów używających oficjalnie haseł „regionalizmu”, „ochrony kulturowej mniejszości”, „autonomii” itp. Grupy te czy środowiska bardzo często uaktywniają się w momentach kryzysowych dla państwa, konfliktów zbrojnych, kryzysów gospodarczych, epidemii, licząc w momencie osłabienia struktur państwowych na realizację swych separatystycznych celów.

ROZBUDZAĆ PODZIAŁY

Kilka dni temu Ruch Autonomii Śląska zamieścił na swoim profilu na Facebooku wpis nawiązujący do toczącej się obecnie wojny na obszarze Ukrainy, stwierdzający wprost, że „Śląsk, tak jak Ukraina, jest (albo był) bogatym krajem. Żaden sąsiad nie może pogodzić się, że ktoś obok jest bogatszy od niego. Dlatego przez całą historię na naszych ziemiach toczyły się walki o nasze dobra”. Zdaniem RAŚ także „przez stulecia walczyli Ślązacy, tak jak Ukraińcy, o swoją ziemię, o swoje prawo do samostanowienia, o swój język, o swoją tożsamość”.

Dla osób od dawna przyglądających się działalności RAŚ i grup o podobnym



RAŚ pisze, że Śląsk tak jak Ukraina „był bogatym krajem”

FOT. FACEBOOK.COM/RUCH.AUTONOMII.SLASKA

Niebezpieczna gra



Andrzej Krzystyniak

Agresja rosyjska w 2014 r. była wykorzystywana przez „regionalistów” na Śląsku. Obecny atak na Ukrainę też próbują tak wykorzystać

charakterze uderzać może jawna wrogość względem państwa polskiego, kwestionowanie polskości Śląska, nazywanie Polski wręcz okupantem, który na dodatek zniszczył gospodarczo Śląsk, jak również niszczy go dalej czy też – a może przede wszystkim – nie pozwala „Ślązacom na samostanowienie”, łamsząc ich i gnębąc.

Już wcześniejsza agresja rosyjska w 2014 r. została natychmiast wykorzystana przez „regionalistów”, by dyskredytować powstania śląskie i Ślązaków

walczących w powstaniach, których zaczęto określać tym samym mianem co prorosyjskich separatystów, Polska ich zdaniem – podobnie jak Rosja w Donbasie – zrzuciła na Górny Śląsk sabotażystów, celem wzniecenia powstań i oderwania części niemieckiego terytorium.

2 maja 2021 r. RAŚ w reakcji na obchody trzeciego powstania śląskiego i replikę sztandaru powstańczego zawieszonego przez delegację ze Śląska prezydentowi Andrzejowi Dudzie zareagował

ostrym oświadczeniem, porównując wprost powstania śląskie do działań separatystów w Donbasie: „Prezydentowi, gloryfikującemu metody rozwiązywania konfliktów znane współcześnie z Donbasu, chodzi po głowie rezurekcja. Zamiast repliki sztandaru, zawieszanej Andrzejowi Dudzie przez śląską delegację pociągami poddańczym, należało głowie państwa dostarczyć książkę prof. Ryszarda Kaczmarka (»Powstania śląskie 1919-1920-1921. Nieznana wojna polsko-niemiecka«) i liczyć na otrzeźwienie”.

RAŚ i jego akolici ochoczo posługują się niedawno wydanym opracowaniem dotyczącym powstań śląskich prof. Ryszarda Kaczmarka. Czynią przy tym nadużycie. Autor stara się w swej książce rozwikłać, na ile odrodzone państwo polskie udzieliło pomocy powstańcom, jednak nie stawia i nie udowadnia tezy o próbach oderwania przez Polskę, za pomocą dywersantów, części niemieckiego terytorium.

À propos niemieckiego terytorium – Bernard Gaida, prezes Związku Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Polsce (ZNSSK, Verband der Deutschen Sozial-Kulturellen Gesselschaften in Polen) – w 2019 r. ogłosił wprost, że nie podoba mu się „zrównanie Berlina i Warszawy w kontekście Górnego Śląska w tamtym czasie”. Jego zdaniem „to trochę tak, jakby w konflikcie o Donbas uważano, że Kijów i Moskwa miały te same prawa do Donbasu”. Nietrudno się domyślić, że prezes ZNSSK uważa, podobnie zresztą jak RAŚ, że Polska nie miała prawa do Górnego Śląska, będącego częścią niemieckiego terytorium, i że była agresorem, który za pomocą dywersyjnych działań oderwał część Górnego Śląska od Polski. Dodajmy, że on również powołuje się na książkę prof. Kaczmarka, która ma być koronnym dowodem na podobieństwo działań Polski podczas powstań śląskich do posunięć Federacji Rosyjskiej w Donbasie i na Krymie.

ŚLĄSKIE „ZIELONE LUDZIKI”

Narracja o „zielonych ludzikach” podczas powstań, zdaje się, już na trwałe zagościła w przekazie „regionalistów”. Porównywanie powstańców śląskich do separatystów donieckich jest szeroko stosowane przez „regionalistów”. Nie spotyka się to z protestem czy choćby próbą podjęcia szerszej polemiki, np. ze strony środowisk naukowych czy instytucji do tego celu powołanych.

Rok temu w marcu, w reakcji na zapowiedź postawienia w Opolu przez polskie władze dwóch pomników poświęconych powstańcom śląskim i rtm. Pileckiemu, nerwowo i obraźliwie względem Polski i Polaków zareagował przewodniczący RAŚ Jerzy Gorzelik: „W historycznej stolicy Górnego Śląska potomkowie osadników postanowili postawić pomnik »zielonym ludzikom«, terrorystom i oglupionym przez nich lub kupionym stosunkowo nielicznym Górnoślązakom. Co następne? Pomnik szabrownika jako pioniera polskiej kultury w regionie?”. Trudno doprawdy w kilku zdaniach zawrzeć tyle pogardy względem Polaków, obrzydliwych epitetów i zapiekłej wrogości.

Polska, która okazała – jako organizm państwowy, a przede wszystkim społeczeństwo – solidarność z narodem ukraińskim, udzielając wszelkiej możliwej pomocy, przede wszystkim humanitarnej, jest jednocześnie oskarżana i atakowana o tłamszenie „śląskiej mniejszości”. Polska, która jako naród i państwowość musi obecnie stanąć wobec nowej, groźniejszej sytuacji geopolitycznej w Europie, jest oskarżana o „ograniczanie praw mniejszości”. Sytuacja wydaje się groźna zwłaszcza teraz, a w przyszłości może stać się wręcz niebezpieczna. Myślę, że nie potrzeba nawet przywoływać stosownych analogii, by to stwierdzić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POPOŁUDNIOWA ROZMOWA w RMF FM

18:02

NAJCIEKAWSZE WYWIADY

NAJMOCNIEJSZE TEMATY

W stronę globalnej tyranii



Z mec. Jerzym Kwaśniewskim, prezesem Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris rozmawia Ryszard Gromadzki



FOT. ORDO IURIS

RYSZARD GROMADZKI: W cieniu rosyjskiej agresji na Ukrainę w ONZ i innych globalnych gremiach trwają prace nad przyjęciem tzw. traktatu pandemicznego. Ten akt prawny ma sędować zarządzanie walką z przyszłymi pandemiemi na Światową Organizację Zdrowia (WHO), która zyskałaby na mocy traktatu monopol decyzyjny w tym obszarze. Jakie konsekwencje dla państw i społeczeństw będą wiązały się z przyjęciem traktatu?

MEC. JERZY KWAŚNIEWSKI: Na te działania spojrzeć trzeba w perspektywie trwającego już od dawna procesu internacjonalizacji prawa. Procesu, który był zdia-
gnozowany przez tuż z zakresu prawa międzynarodowego, takie jak Ronald Dworkin czy Jürgen Habermas, którzy choć sami byli przedstawicielami liberalnej wizji prawa, to przestrzegali przed takim modelem, w szczególności przed cechującym go deficytem demokracji. Mamy do czynienia z przesuwaniem kompetencji na organy i organizacje międzynarodowe, które nie mają demokratycznych legitymacji, a które starają się sprawić wrażenie technokratycznych. Ale przecież doskonale wiemy, że na ich czele stoją osoby, które nie są naukowcami, lecz politykami. Stoją za nimi globalne siły polityczne lub organizacje pozarządowe finansowane przez multimilionerów takich jak Gates. Rozrost uprawnień organizacji międzynarodowych odbywa się kosztem suwerenności państw. W coraz większym stopniu ten proces następuje bez wyraźnej zgody państw, na mocy reinterpretacji międzynarodowych traktatów. Widać to doskonale na przykładzie Unii Europejskiej i orzecznictwa TSUE. Na poziomie globalnym ten proces jest najbardziej zaawansowany w dwóch obszarach. Pierwszy to między-

narodowe prawo inwestycyjne, Światowa Organizacja Handlu i bardzo wiele międzynarodowych traktatów transakcyjnych. Drugi obszar, w którym przypieszenie nastąpiło w okresie pandemii, to międzynarodowa ochrona zdrowia i Światowa Organizacja Zdrowia. I to ten drugi obszar ma o wiele większy wpływ na codzienność i życie wszystkich ludzi. Projektowany „traktat pandemiczny” jest owocem tego wieloletniego procesu. Nie jest czymś nadzwyczajnym. Jest czymś, co rodziło się od lat.

Czas pandemii koronawirusa przyniósł ogromny wzrost znaczenia Światowej Organizacji Zdrowia.

Oczywiście. Pierwszy skokowy wzrost znaczenia WHO zanotowano już w 2005 r., od wprowadzenia Międzynarodowych Przepisów Zdrowotnych – jednolitego dokumentu opisującego sposoby reagowania na choroby, wymiany informacji. Regulacje z 2005 r. dały WHO „miękkie” instrumenty do rozliczania 194 państw świata z przestrzegania globalnej polityki zdrowotnej. Dziś stoimy na progu nowego przełomu. Po doświadczeniu pandemii pojawiła się koncepcja traktatu międzynarodowego, na mocy którego WHO otrzymałaby jeszcze szersze kompetencje do dyktowania całemu światu standardów polityki zdrowotnej i sanitarnej. To kolejny transfer części narodowej decyzyjności i suwerenności na rzecz urzędników Światowej Organizacji Zdrowia.

Jeśli taki scenariusz się spełni, to nie poszczególne rządy, lecz WHO będzie decydowała o przymusowych szczepieniach, paszportach szczepionkowych czy poziomie restrykcji?

Szczepienia, lockdowny, polityka zatrudnienia i instrumenty polityki sanitarnej zarządzane przez WHO otrzymałaby wraz z traktatem wyższą rangę, jeszcze mocniej ograniczając swobodę decyzyjną państw. Na razie znamy jedynie niepokojące zapowiedzi i pierwsze raporty międzyrządowej grupy piszącej projekt „traktatu pandemicznego”. WHO, Rada Europejska, Departament Stanu USA wciąż deklarują, że dokument będzie tworzony „transparentnie i przejrzysto” z dbałością o „inkluzywność, sprawiedliwość, równość”. Jednocześnie nie wiemy, jakie konkretne postanowienia traktatu są negocjowane. Wiemy tylko tyle, że ma on wyznaczyć pewne konkretne cele, wśród których jest gotowość na pandemię, która ma odpowiadać „globalnym potrzebom zdrowotnym tego tysiąclecia”. W ujawnionych dokumentach roboczych pojawia się termin „globalnego systemu zdrowotnego” oraz zasada „jedno zdrowie”, zgodnie z którą Światowa Organizacja Zdrowia ma zajmować się już nie tylko zdrowiem ludzkim, lecz także zdrowiem całej przyrody żywej na Ziemi.

To się wpisuje w jakąś panteistyczną ideę fixe. Wskłuchując się w postulat środowisk forsujących „traktat pandemiczny” czy budowę powszechnego systemu cyfrowej tożsamości na bazie tzw. paszportów szczepionkowych, trudno nie zgodzić się z tymi, którzy twierdzą, że na naszych oczach rodzi się globalna tyrania sanitarna.

Oczywiście, że tak. Pod różnymi szlachetnymi hasłami, takimi jak równość w dostępie do lekarstw, wzmocnienie międzynarodowej ochrony zdrowotnej czy wymiana informacji na temat nowych

jednostek chorobowych, pojawiają się niepokojące deklaracje. Traktat ma zapewnić „strukturalne rozwiązania promujące ogólnorządowe i ogólnospołeczne przygotowania do reakcji na pandemię”. Niezbędne ma być wyposażenie WHO w globalne instrumenty „szybkiego reagowania”. Jednocześnie kilkakrotnie wzrosnąć ma budżet Światowej Organizacji Zdrowia. Urzędnicy WHO mają zostać wyposażeni w niedoprecyzowane jeszcze kompetencje do walki z dezinformacją. Składając te rozproszone zapowiedzi w całość, widzimy dążenie do wyposażenia WHO w wiążące kompetencje do narzucania poszczególnym państwom rozwiązań, które w arbitralnej ocenie urzędników WHO mają skutecznie zwalczać przyszłe pandemie. Poza okresami pandemii te same uprawnienia będą zaś służyły przygotowaniu państw i społeczeństw na kolejne zagrożenia. To stan wyjątkowy bez końca.

Przecież WHO podczas ogłoszonej przez siebie pandemii koronawirusa wielokrotnie się kompromitowała, rekomendując rozwiązania, które szybko okazywały się całkowicie nieskuteczne. Kraje, które wyłamały się ze schematów walki z pandemią narzuconych przez WHO, takie jak państwa skandynawskie, lepiej na tym wyszły.

Z całą pewnością. Do tego, że światowa koordynacja jest nieefektywna, wystarczy elementarna wiedza z zarządzania. Im organizmy większe, tym bardziej potrzeba wieloaspektowego zarządzania, rozwiązań, które będą ze sobą konkurować. W przestrzeni prawa międzynarodowego to zasada oczywista. Pomimo tego przez ostatnie 100 lat widzimy jednoznaczną dążność do unifikacji, tzw. zarządzania światowego. Co więcej, na przykładzie tych ostatnich dwóch, a niebawem już trzech lat pandemicznych widzimy, że właśnie to zróżnicowane podejście dawało możliwość negatywnego zweryfikowania działań Światowej Organizacji Zdrowia. Często podaję przykład regionalnego przedstawiciela WHO na Europę, który w 2020 r. rekomendował zamknięcie szkół. Później okazało się, że nie stały za tym żadne wiarygodne badania. To było jego przecucie, wypracowane gdzieś podczas obrad wewnętrznych gremiów WHO. Półtora roku później ta sama WHO oficjalnie przyznała, że zamykanie szkół nie zatrzymuje rozprzestrzeniania się pandemii. Przez ten czas miliony dzieci na całym świecie były skoszarowane w domach, co przyniosło tragiczne skutki dla ich psychiki, potwierdzone przez dostępne już badania.

Tyle samo warte okazały się stanowiska WHO dotyczące wiarygodności testów PCR czy skuteczności masek.

Tak. Właśnie to zróżnicowane podejście pozwoliło zweryfikować zalecenia WHO i często skorygować błędy związane z dążeniem do globalnego zarządzania przez WHO. Drugim ważnym czynnikiem pozwalającym na wypracowanie adekwatnych metod walki z chorobą była swoboda przepływu informacji i możliwość, chociaż często ograniczona w mediach społecznościowych lub publicznych, podejmowania krytyki rozwiązań suflowanych przez ekspertów WHO. Widać jednak, że WHO odrobiła lekcję, bo w dokumentach związanych z „traktatem pandemicznym” widzimy z jednej strony unifikację, a więc zapowiedź środków dyscyplinowania państw przez WHO, a z drugiej strony – że traktat ma przeciwdziałać dezinformacji. To zapowiedź ograniczenia wolności słowa.

W ten trend wpisał się ostatnio polski minister zdrowia, który przestrzegał na forum ONZ przed „infodemią”, za którą podobno kryją się antyszczepionkowcy...

To jest w pełni zgodne z tym, co od listopada 2020 r., kiedy Charles Michel, przewodniczący Rady Europejskiej, pierwszy raz powiedział o „traktacie pandemicznym”, cały czas jest w ten traktat wpisywane. Traktat ma umożliwić przeciwdziałanie dezinformacji na tematy zdrowotne. To oznacza kolejne ograniczenie swobody przepływu informacji, która sama w sobie ma jeden cel we wszystkich demokratycznych państwach świata: umożliwić dążenie do prawdy.

Czy wobec tego mamy do czynienia jeszcze z globalnym zarządzaniem czy już z rządem światowym?

Te pojęcia kojarzone są często jako tożsame. Dążenie do „global governance” jest zupełnie oczywiste. Z punktu widzenia doktryny prawa międzynarodowego nie budzi dzisiaj wątpliwości. Ten model spotyka się z krytyką ekspertów ze względu na swoją nieefektywność. Zresztą proces „global governance” nie zakłada wcale, że powinien powstać jeden światowy rząd, przed czym przestrzegali twórcy współczesnego prawa międzynarodowego, tacy jak Lassa Oppenheim. Oznacza to natomiast, że powstaje bardzo rozproszona struktura odgórnie zarządzająca państwami na bardzo różnych obszarach: w międzynarodowych stosunkach handlowych, w prawach człowieka, polityce zdrowotnej, która w pewnym sensie, wyłudzając od państw narodowych

fragment ich suwerenności, obejmuje swoimi kompetencjami sferę, która przez całą tradycję konstytucyjną przynależała rządowi narodowemu. Konsekwencje tego procesu muszą być opłakane, bo państwa w pewnym sensie stają się ubezwłasnowolnione, skazane na wypełnianie próżni po realnej władzy – na postpolitykę. Jeżeli bowiem rządowi państw narodowych odbiera się możliwość decydowania we wszystkich kwestiach kluczowych dla bytu państwa, dla życia narodu, to zostają im kwestie marginalne, tematy zastępcze, czysto narracyjne. W kwestiach kluczowych rola rządów narodowych zostanie ograniczona wyłącznie do wdrażania decyzji narzuconych im przez struktury globalne.

Chyba że społeczeństwa powiedzą „nie” i wzorem Kanadyjczyków wyruszą w kolejne „konwoje wolności”...

Ronald Dworkin, który pisał o rodzeniu się „rządu światowego”, dostrzegał, że „rząd światowy” nie może powstać dopóty, dopóki nie powstanie „światowe społeczeństwo”. Tymczasem droga do „światowego społeczeństwa”, jeśli w ogóle możliwa, jest na pewno bardzo daleka. Jak długo tożsamość państw będzie związana z narodem, tak długo nie będzie można przenosić ich kompetencji na poziom ponadnarodowy. To diagnoza guru liberałów Ronald Dworkina, niedostrzegana przez ideologów unifikacji, którzy zgodnie z duchem neomarksizmu receptę na patologie życia społecznego upatrują w centralnym zarządzaniu i skompromitowanym marksyistowskim światopoglądzie naukowym. Widać wyraźnie, jak ten nurt podszyty jest nieufnością wobec demokracji i wolności indywidualnej. I rzeczywiście, realizacja zgodnej z nim polityki globalnej wymagać będzie przymusu i cenzury. Aby się przed tym zagrożeniem chronić, trzeba po pierwsze te procesy ujawniać, bo to budzi naturalny opór społeczny. Na razie można jeszcze kartkami wyborczymi chronić państwa narodowe i blokować dalsze przekazywanie suwerennych kompetencji na rzecz organizacji międzynarodowych. Po drugie, trzeba dbać o wolność słowa, bo widzimy wyraźnie, że jak w każdym totalitaryzmie, również ten totalizm międzynarodowy przeprowadza atak na wolność słowa i informacji. Ten atak skierowany jest również na wolność badań naukowych i ogłaszania ich wyników. Z historii wiemy, że dopiero zablokowanie swobody przepływu informacji umożliwia totalną centralizację.

Sowieci do domu!



Sebastian Ligarski

**Polacy długo walczyli o wycofanie
wojsk sowieckich z Polski. I w końcu
to się udało**

Od momentu zakończenia drugiej wojny światowej Polacy podjęli walkę z sowiecką dominacją w Polsce. Dla żołnierzy podziemia niepodległościowego pokonanie Niemiec

nie było końcem walki o wolność i niepodległość. Blisko 200 tys. żołnierzy w różny sposób dążyło do zmiany postanowień jałtańskich. Tysiące z nich przyplącały to życiem lub w najlepszym razie długoletnimi wyrokami, które odbywali w stalinowskich kazamatach.

Bestialskie rozbicie podziemia niepodległościowego w Polsce przez polskie i sowieckie władze bezpieczeństwa nie stanowiło jednak kresu walki. Kontynuowali ją nierzadko bardzo młodzi ludzie, uczniowie szkół ponadpodstawowych, którzy zawiązywali organizacje jednoznacznie antysowieckie. Bo, jak

pisał historyk Jacek Wołoszyn, „antysowiecizm był także zasadniczym motywem przystąpienia do podziemnej działalności. Głównym przeciwnikiem stał się ZSRS. [...] Dla członków Łódzkiego Związku Białej Tarczy ówczesna Polska była po prostu »kolonią Rosji Sowieckiej«”.

W programie sosnowieckiego Klubu Sprawiedliwych uzasadniano „sprzeciw wobec sowieckiej dominacji: »Dlatego że nad naszym Orłem powiewa zwycięsko rosyjska gwiazda, dlatego że sowiecki sztandar dźwierży sługus Stalina – Bolesław Bierut, dlatego że Ojczyzną naszą



Demonstranci pod pomnikiem Mickiewicza w Krakowie, 16 maja 1989 r.

FOT. MACIEJ SOCHOR/CAF/PAP

Następnie popatrzmy na rok 1939. Polska została zalana prawie cała przez Niemców. Bolszewicy zamiast podać rękę [...], rozebrali Polskę na dwie części. Po tym dalej [był] Katyń, o tym nie pamiętamy, lecz przykro, ale był to ten sam Stalin i jego klika, właśnie ci, którzy przez 32 lata mordowali naszych braci, teraz wyciągają do nas »bratnią dłoń« po to, aby zagarnąć całą Polskę, bo ona im bardzo pachnie. Powiedzcie, rodacy, czy oni mają być naszymi braćmi? Nie!!! Raczej żelazo rozpalone w dłoni niż bolszewicka prawica. Bolszewik nigdy nie był naszym przyjacielem, nie jest i nie będzie!».

POMNIKI

Przez cały okres PRL „ważnym elementem było niszczenie symboli sowieckiej dominacji. Czasami bojkotowano po prostu filmy, piosenki i książki pochodzące z za wschodniej granicy lub rugowano z przestrzeni oficjalnej albo ośmieszano sowieckie symbole. Członkowie Harcerskiej Organizacji Podziemnej »Iskry« zmienili w Olsztynie tablice z nazwą ulicy Stalingradzkiej na dawną Jagiellońską. Ich koledzy z krakowskich Zielonych Brygad obrzucili jajkami jeden z miejscowych pomników Lenina. Organizowano również akcje niszczenia tzw. pomników wdzięczności Armii Czerwonej, postrzeganych jako symbole zniewolenia i sowietyzacji państwa. [...] Profanacji pomnika miały również dokonać dziewczęta należące do działającego w Wałczu (woj. szczecińskie) Wolnego Żywota. Harcerze z Podziemia Harcerskiego »Zawisza« z Koźmina (woj. poznańskie) oblali czerwoną farbą statuetkę żołnierzy sowieckich».

W tę walkę wpisywały się także grupy, które w późniejszym czasie dokonywały zamachów na symbole sowieckiej dominacji w Polsce, czego najlepszym dowodem była działalność grupy Ruch, która w 1968 r. zrzuciła tablicę Lenina ze szczytu Rysów, a następnie przygotowywała się do podpalenia muzeum Lenina w Poroninie (w wyniku działań SB do akcji nie doszło). Innym osobom udało się natomiast podłożyć ładunki wybuchowe pod pomnik Lenina w Nowej Hucie i choć pomnik się nie zawalił, to wybuch i uszkodzenie stopy „wodza” były jasnym przekazem dla władzy, że Polacy w walce o uwolnienie się spod sowieckiego jarzma sięgać będą po różne środki. Symbolicznym końcem dominacji sowieckiej w Polsce było zdemontowanie

na oczach warszawian pomnika Feliksa Dzierżyńskiego w listopadzie 1989 r.

MANIFESTACJE

W czasie powstania czerwcowego 1956 r. w Poznaniu oprócz hasel antykomunistycznych, odwołujących się do codziennego trudu robotników i ich fatalnej sytuacji socjalno-bytowej, wznoszono również hasła antysowieckie: „Precz z niewolą, precz z Ruskami, precz z siedemnastoma latami niewoli”, „Precz z Rokossowskim”, „Chcemy Polski katolickiej, a nie bolszewickiej”. W całym kraju wieści dotyczące rewolty robotników poznańskich spowodowały lawinowy wzrost antysowieckich nastrojów w postaci napisów na murach, pomieszczeniach pracowniczych, ulotek, hasel, listów do władz czy radia, np. popularnej „Fali 49”. Ten antysowiecki bunt został nie tylko zauważony, lecz także stanowił jeden z pretekstów do utracenia przez Kreml wracającego do władzy w Polsce Władysława Gomułki w październiku 1956 r. Stąd wizyta Nikity Chruszczowa, przywódcy KPZR w Polsce, i niezwykle emocjonalna rozmowa delegacji sowieckiej i polskiej.

18 października ambasador ZSRS w Polsce Pantalejmon K. Ponomarenko poinformował ówczesnego pierwszego sekretarza KC PZPR Edwarda Ochaba (dogadanego już z Gomułką w sprawie jego powrotu do władzy), że następnego dnia delegacja sowiecka przybędzie do Polski. Powodem tej nagłej wizyty miały być poważna sytuacja w PRL oraz wzrost nastrojów antysowieckich. Ponieważ trwało VIII Plenum KC PZPR, po dyskusji poproszono o przekazanie Sowietom propozycji przyjazdu po jego zakończeniu. Sowietci nie zamierzali jednak zmieniać planów i następnego dnia delegacja sowiecka przyleciała na Okęcie.

Jak wynika z relacji Gomułki i Ochaba, schodzący z trupu Chruszczow z daleka wymachiwał w ich kierunku pięścią i krzyczał. Po zejściu ze schodów nie przywitał się z polską delegacją, lecz generalicją z sowieckim marszałkiem Polski Konstantinem Rokossowskim na czele. Dopiero potem podszedł do delegacji partyjnej i odezwał się do niej wzburzony: „Ujawniła się zdradziecka rola tow. Ochaba. Ten numer Wam się nie uda”. Następnie doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy Chruszczowem a Gomułką, który odrzucił zarzut Chruszczowa o próbie podważenia

kieruje wychowanek kacapskiej szkoły, Konstantin Rokossowski». Nie ulega wątpliwości, że bunt przeciwko sowieckiej dominacji w Polsce stanowił spoiwo w działalności wielu grup młodzieżowych.

Członkowie hrubieszowskiej Polskiej Młodzieży Walczącej pisali: »Uwaga! Uwaga! Polacy, Bracia i Siostry! W tym miesiącu mija[ją] 32 lata, jak gad czerwonego faszyzmu rozpoczął swój rozwój. Popatrzmy, gdy Polska pod wodzą Piłsudskiego walczyła o wolność, ci sami bolszewicy pod batutą Stalina wpadli na naszych braci i pchali nóż z tyłu nas.



Zdemolowany konsulat ZSRS w Szczecinie, 10 grudnia 1956 r. FOT. IPN

■ sojuszu polsko-sowieckiego. Chruszczow odezwał się do Gomułki: „Ten numer Wam się nie uda, jesteście gotowi do aktywnej interwencji”. Na posiedzeniu Biura Politycznego Gomułka relacjonował: „Rozmowy takiej nigdy nie przeprowadzałem z towarzyszami partyjnymi, nie rozumiem, jak można takim tonem, z takimi epitetami zwracać się do ludzi, którzy w dobrej wierze się do nich zwracają”.

Delegacja polska przekazała członkom sowieckiego politbiura, że ich wizyta jest niepożądana, nie będą mogli uczestniczyć w obradach VIII Plenum i powinni natychmiast wrócić do Moskwy. W końcu stanęło jednak na tym, że obie delegacje wspólnie udadzą się do Belwederu na dalsze rozmowy. Warto pamiętać, że cała dyskusja odbywała się w niezwykle dramatycznych okolicznościach – wydano rozkaz podciągnięcia pod Warszawę dwóch sowieckich jednostek z Dolnego Śląska i ze Szczecina, które stanęły 70 km od Warszawy. Rokossowski zaś wydał rozkaz przegrupowania jednostek polskich w Warszawie. W stolicy zaś wiecowano i wznoszono antysowieckie hasła.

Po informacji, że robotnicy z Żerania zamierzają wyjść na ulice i zatrzymać sowieckie czołgi zbliżające się do Warszawy, Chruszczow oskarżył Gomułkę o zaognianie sytuacji i nieuzasadnione podniesienie sprawy przyjazdu sowieckiej delegacji jako ingerencji w polskie sprawy. Gomułka jednoznacznie stwierdził, że jest to ingerencja, Chruszczow zaś ponownie oskarżył go o wiarołomstwo, stwierdzając, że z jednej strony mówi on o przyjaźni, a z drugiej podburza naród przeciwko ZSRS. W końcu Chruszczow

skapitulował i delegacja sowiecka opuściła Belweder ok. godz. 1 w nocy i rano 20 października 1956 r. odleciała do Moskwy. Dwa miesiące później, 10 grudnia 1956 r., w Szczecinie tłum ludzi zaatakował budynek konsulatu ZSRS w tym mieście, wdzierając się do jego wnętrza i zrzucając ze ścian znienawidzone portrety przywódców Wielkiego Brata.

WYGANIAJĄC SOWIECKIE WOJSKO

Przez następne lata hasło „Sowieci do domu” pojawiało się przy tzw. przełomach politycznych w Polsce. Wznoszono je i w roku 1970, i w 1976. W czasie wyborów do Sejmu PRL Służba Bezpieczeństwa niejednokrotnie odnotowywała dopiski na kartach wyborczych żądające usunięcia wojsk sowieckich z Polski. Skrupulatnie zbierano informacje dotyczące sprawców napisów na murach, np. zrównujące znaki swastyki i sierpa i młota, oraz masowe odwołania do Katynia, w których za zbrodnię słusznie obwiniano ZSRS. O ZSRS oraz wojskach sowieckich pisano także w łamach prasy drugoobiegowej.

Największy jednak protest artykułowany na ulicach miał miejsce w 1989 r. i był pokłosiem zachodzących w Polsce zmian politycznych. W Krakowie 15 maja 1989 r. o godz. 13 na Rynku Głównym Ruch Wolność i Pokój zorganizował wiec pod hasłem „Sowieci do domu”. Na początku głos zabrał Radosław Huget, student relogowany z Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1968 r., który odczytał oświadczenie przeciwko dalszemu stacjonowaniu w Polsce wojsk sowieckich i uznające obecność tej armii za dalszą okupację kraju. Po następnych przemó-

wieniach grupa ok. 200 osób przemaszewowała pod konsulat sowiecki. Budynek ten obrzucono monetami, wznosząc okrzyki: „To jest na bilet!”. Następnie protestujący zablokowali bramę wejściową do budynku, urządzając tzw. sitting oraz malując na bramie konsulatu hasła „Soviet go home”, „Soviet no future”. Milicja usunęła blokadę, zatrzymując 45 osób, które zresztą po pewnym czasie zwolniono.

17 maja krakowska młodzież z WiP i NZS ponownie zebrała się na Rynku Głównym, protestując przeciwko zatrzymaniu dzień wcześniej ich kolegów oraz eksponując hasła „Sowieci do domu”. Po blisko 20 minutach ok. 300 osób ponownie udało się pod konsulat, gdzie doszło do zorganizowania kolejnego sittingu. Tym razem jednak demonstracja nie zakończyła się tak spokojnie. Przeciw gromadzącym się w rejonie Plant manifestantom, którzy rozpoczęli budowanie barykad oraz obrzucali milicjantów kamieniami, wysłano armatkę wodną. Sytuację opanowano tylko chwilowo, po kilku minutach doszło do gwałtownych starć. Zakończyły je dopiero mediacje, które podjęli działacze małopolskiej Solidarności. W walkach rannych zostało siedmiu manifestantów, zatrzymano 14 osób, w tym siedmiu studentów, czterech uczniów, trzech pracowników z krakowskich zakładów pracy. Rannych zostało też 27 funkcjonariuszy (dwóch hospitalizowano), uszkodzono 19 pojazdów milicyjnych i 49 tarcz.

Wydarzenia z 17 maja miały bezpośredni wpływ na najostrzejsze walki, do których doszło w Krakowie 18 maja, w czasie wiecu wyborczego KPN i po nim. Manifestanci po raz kolejny udający się w stronę konsulatu ZSRS zostali zatrzymani przez siły porządkowe. Doszło do starć z milicją, która użyła armatek wodnych. Nie powstrzymało to jednak walk, a młodzież zaczęła wznosić barykady, równocześnie atakując milicjantów butelkami z benzyną i denaturatem, kamieniami, cegłami, płytami chodnikowymi, prętami. Około godz. 21 jeszcze ok. 1 tys. osób uczestniczyło w walkach, które trwały do godz. 23. Funkcjonariusze SB relacjonowali o dwóch delegacjach działaczy opozycji, w tym Solidarności, które o godz. 19 i 22 spotkały się z szefostwem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych (szefem był gen. Jerzy Gruba „zasłużony” w tłumieniu strajku w kopalni Wujek 16 grudnia

1981 r.). W obu przypadkach szefostwo groziło surowymi konsekwencjami uczestnikom walk oraz wzywało do ich natychmiastowego zakończenia oraz udania się do domów. Dopiero drugiej delegacji udało się namówić protestujących do opuszczenia barykad. Warto w tym miejscu odnotować, że krakowskie starcia były szeroko omawiane podczas posiedzeń Biura Politycznego KC PZPR, a w dzienniku M.F. Rakowskiego znalazła się niezwykle intrygująca notatka dotycząca rozmowy Jerzego Urbana z gen. Jerzym Grubą o ewentualnym, prowokacyjnym wpuszczeniu demonstrantów na teren konsulatu ZSRS.

16 czerwca doszło do demonstracji w Warszawie pod hasłem „Sowieci do domu”, której organizatorami były PPS, PPS-RD, Ruch Wolność i Pokój oraz Międzymiastówka Anarchistyczna. Według raportów SB demonstracja zaczęła się „około godz. 16.00 przy pomniku Mikołaja Kopernika w Warszawie, gdzie zgromadziło się ok. 50 młodych ludzi posiadających transparenty z napisami: »Sowieci do domu«, »Jeśli ci powiedzą: głową muru nie przebijesz – nie wierz im«, »Precz z sowiecką okupacją«, »Pały,

czołgi, karabiny to przyznanie się do winy«, »Organizacja Wolna Polska« [...]. Z grupy demonstrantów wyrzucono w kierunku interweniujących funkcjonariuszy i przejeżdżających pojazdów służbowych MO 6 butelek z benzyną i kilka petard. [...] Petardy i kamienie rzucono również z okien pomieszczeń Uniwersytetu Warszawskiego zajmowanych przez NZS. Około godz. 17.00 na schodach kościoła rozwinięto kolejny transparent o treści: »Władza musi być wybrana z woli narodu – KPN«. Do demonstrantów dwukrotnie zwracał się miejscowy ksiądz, bezskutecznie apelując o zachowanie spokoju i opuszczenie rejonu kościoła. Około godz. 17.40 w obrębie kościoła i pomnika Kopernika przywrócono spokój. Zatrzymano 11 najbardziej agresywnie zachowujących się manifestantów”.

20 sierpnia 1989 r. w Krakowie na Rynku Głównym wiec zorganizowała Konfederacja Polski Niepodległej. Wzięło w nim udział ok. 250 osób. Uczestnicy mieli transparenty m.in. „Praga – Kraków – wspólna sprawa”, „Czechosłowację przepraszamy – FMW”, „Sowieci do domu”. W przemówieniach potępiono

agresję w 1968 r. oraz – jak napisano w raportach SB – „atakowano resort spraw wewnętrznych”. Można rzec, że już tradycyjnie w Krakowie (w nawiązaniu do majowych manifestacji A.D. 1989) uczestnicy wiecu pomaszerowali pod konsulat generalny ZSRS, gdzie przez 15 minut wznosili antysowieckie okrzyki, po czym rozeszli się.

Do kolejnej manifestacji doszło 23 sierpnia 1989 r., w 50. rocznicę podpisania sowiecko-niemieckiego paktu o nie-agresji, czyli paktu Ribbentrop-Mołotow (wraz z tajnym protokołem dodatkowym, którego konsekwencją był IV rozbiór Polski), gdzie również doszło do starć z milicją. Kolejne manifestacje miały miejsce na przełomie lat 1989 i 1990, a ich celem było zawsze wyrzucenie armii sowieckiej z Polski.

Z perspektywy czasu trzeba docenić, że rozpoczęta 9 kwietnia 1991 r. operacja wycofywania wojsk sowieckich z Polski została zakończona sukcesem 28 października 1992 r. Długa walka o wyrugowanie ZSRS z Polski okazała się wielkim zwycięstwem Polaków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.

REKLAMA

HISTORIA PUKA DO DRZWI





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polak w łagrze

Gdy latem 1940 r. ZSRS zajął państwa bałtyckie, w łapska bolszewików wpadło wielu polskich oficerów i przedstawicieli elit. Ludzie ci zostali od razu aresztowani przez NKWD.

Część z nich miała „szczęście w nieszczęściu”. Do zbrodni katyńskiej doszło bowiem w kwietniu 1940 r. Większość aresztowanych trafiła więc do łagrow. A potem – jeżeli dotrwali do lata 1941 r. – mogli liczyć na zwolnienie w ramach amnestii ogłoszonej po zawarciu paktu Sikorski-Stalin.

IPN wydał właśnie wspomnienia jednego z tych ludzi – Piotra Dąbrowskiego. Był to pracownik policji z Lidy, który we wrześniu 1939 r. uciekł na teren Litwy kowieńskiej. Został tam internowany w obozie dla uchodźców wojennych. Niestety, po zajęciu Litwy przez Sowieców kontrola nad obozem została przejęta przez bolszewickie organy bezpieczeństwa.

Dąbrowski – wraz z innymi Polakami – został wywieziony do Kozielska. Obozu, w którym wcześniej więzieni byli oficerowie zgładzeni w ramach zbrodni katyńskiej. Życie nowo przybyłych Polaków – jak pisze w przedmowie Janusz Wróbel – zawisło na włosku. Kierownictwo sowieckiej bezpieki rozważało bowiem ich wymordowanie. Ostatecznie jednak podjęło inną decyzję.

Piotr Dąbrowski został wywieziony do łagru nad rzekę Ponoj na Półwyspie Kolskim. Sowieci zawieźli tam polskich więźniów na pokładzie statku „Stalingrad”. „Teraźniejszość jest szara, ponura i beznadziejna – wspominał Dąbrowski. – Czerwiec tu można porównać z październikiem, a może z marcem. Z każdego z nas przebiega krańcowe wyczerpanie sił fizycznych, nie mówiąc już o stanie psychicznym. Obecna mą sytuację przyjmuję jako pokutę, którą przyjąć trzeba. Prycze głośno skrzypią, skarżąc się na dźwigany ciężar stu sześćdziesięciu trzech ciał. Na dworze zimny tusz w szybkim tempie przemaka na wylot fufajkę, wiatr zaś świdruje przez zwiotczałe mięśnie i kości”.

Gdy następnego dnia Polacy się obudzili, dowiedzieli się, że racja żywnościowa została obcięta do... 400 g chleba.

Nieludzka ziemia. ©©



★★★★★
PIOTR
DĄBROWSKI
„TULACZKA
PO OBEJ ZIEMI”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Awantura o „Wesele”

Trudno sobie wyobrazić szanującego się artystę bez alkoholu lub innych środków wspomagających. Epoka Młodej Polski pod tym względem nie odbiegała od normy, a ówcześni twórcy intensywnie pracowali na swój dekadenski wizerunek. Tymczasem Stanisław Wyspiański organicznie nie cierpiał alkoholu i wprawdzie nie unikał wizyt w lokalach, ale zadowalał się tam wyłącz- nie kawą.

Lucjan Rydel zabronił żonie oglądać jej własne wesele na scenie

„Nie znosił alkoholowej podniety towarzyskiej – wspominał Adam Grzymała-Siedlecki. – Razu pewnego podpite grono zmuszało go do wychylenia kielicha: »Zobacz pan, ile to panu da fantazji«. »Być może, że wódka daje wam fantazję, ale ja po wódce fantazję tracę”.

Bezalkoholowo spędził też słynne wesele Lucjana Rydla w Bronowicach (impreza trwała trzy dni), a dokonane wówczas obserwacje zaowocowały niebawem jego najsłynniejszym dramatem.

„Szczelnie zapięty w swój czarny tużurek – relacjonował Tadeusz Żeleński-Boy – stał całą noc oparty o futrynę drzwi, patrząc swoimi stalowymi, niesamowitymi oczyma. Obok wrzało weselisko, huczały tańce, a tu do tej izby raz po raz wchodziło po parę

osób, raz po raz dolatywał jego uszu strzęp rozmowy. I tam ujrzał i usłyszał swoją sztukę”.

Niebawem po imprezie Wyspiański zaczął bowiem pisać dramaty i wkrótce przeczytał go w salonie ówczesnego dyrektora Teatru Miejskiego w Krakowie, Józefa Kotarbińskiego. Reakcja była pomyślna i sztuka została przeznaczona do wystawienia. Znaczna część obsady kompletnie nie rozumiała utworu, a sytuacji nie ułatwiał sam autor. Na pytanie: „Co się kryje za słowami?” – odpowiadał spokojnie, że to, co „zostało napisane”, a jeżeli aktor tego nie rozumie, to „nie powinien w takim razie być artystą”. Premiera (16 marca 1901 r.) wzbudziła ogromne zainteresowanie, a po scenie z hetmanem Branickim ostentacyjnie opuścił swoją łóżę przywódca krakowskich konserwatystów, hrabia Stanisław Tarnowski. Był żonaty z prawnuczką Branickiego i przedstawienie hetmana jako zdrajcy bardzo mu nie odpowiadało.

Inna sprawa, że zapewne niewiele zrozumiał z dramatu, w czym zresztą nie był odosobniony. Gdy Henryk Sienkiewicz, ciesząc się już wówczas ogromną sławą pisarską, obejrzał jedno z przedstawień, stwierdził, że albo sam jest grafomanem, „albo to jest grafoman”.

Niebawem zaczęły się kłopoty towarzyskie. Włodzimierz Tetmajer, w którego chałupie odbyła się impreza, i Lucjan Rydel napisali do niego listy z wymówkami. Rydel poszedł tak daleko, że zabronił swojej żonie oglądać jej własne wesele na scenie. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



NUMER SPECJALNY NA 80. ROCZNICĘ POWSTANIA ARMII KRAJOWEJ!

Wojciech Königsberg – Śmierć wrogom AK!

Tomasz Stańczyk – Zdrada Kalksteina

Piotr Włoczyk – Brawurowa likwidacja Kutschery

Krzysztof Masłoń – Wyrok na Józefa Mackiewicza

Marzena Ożarek-Szilke – Mumia z embrionem

Jacek Bartosiak – Klęska w Afganistanie

Piotr Zychowicz – Marynarze U.S. Navy pożarci przez rekiny

Arkadiusz Karbowski – Czeskie zbrodnie

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

Białoruś jeszcze na Ukrainę nie napadła, ale bierze udział w agresji. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Według rezolucji ONZ państwo, które zezwala innemu państwu na wykorzystanie swojego terytorium do napaści na państwo trzecie, samo jest państwem agresorem. Dokładnie z takim przypadkiem mamy do czynienia. Prawdopodobnie gdyby nie uległość Aleksandra Łukaszenki wobec Władimira Putina, nie doszłoby do pełnowymiarowej inwazji na Ukrainę. To właśnie gościnność „ostatniego dyktatora Europy” sprawiła, że władca Kremla mógł poważnie zacząć myśleć o szybkim zajęciu Kijowa i zmianie władzy nad Dnieprem. Wystarczy spojrzeć na mapę. Granicę rosyjsko-ukraińską od Kijowa dzieli prawie 400 km. Od granicy z Białorusią do stolicy Ukrainy jest niecałe 150 km. Łukaszenka wyświadczył ogromną geopolityczną przysługę Putinowi. I umożliwił Rosji otoczenie Ukrainy nie tylko od południa i wschodu, lecz także od północy. Ponadto tylko w ciągu pierwszych pięciu dni inwazji z terenu Białorusi wystrzelono 180 rakietowych pocisków operacyjno-taktycznych. Stamtąd również startowały rosyjskie bombowce strategiczne.

Inna sprawa, że jak dotąd Moskwa tej geograficznej przewagi nie potrafi skutecznie wykorzystać. W chwili, gdy piszę te słowa, minęły równo trzy tygodnie od rozpoczęcia „operacji specjalnej”, Wołodymyr Zełenski nadal żyje, a Kijów nawet nie został okrażony. Właśnie na północnym odcinku frontu Rosjanie mają od początku konfliktu największe problemy. Stąd też może dziwić, dlaczego wciąż jeszcze Moskwa nie skorzystała z bezpośredniej pomocy militarnej swojego mińskiego wasala. Wasala, ponieważ co do niemal pełnej zależności Łukaszenki od Putina nie może być większych wątpliwości. Kilkakrotnie już pojawiały się informacje, że teraz to już na pewno oddziały białoruskiej armii wtargną na terytorium Ukrainy. Tego typu sygnały słychać było głównie z Kijowa. W piątek 11 marca portal Ukraińska Prawda, powołując się na swoje źródła w armii i rządzie, obwieścił, że Białoruś przygotowuje się do wojny i może zaatakować jeszcze tego samego dnia. O planowanej agresji wojsk Łukaszenki powiadomiło też Centrum Komunikacji Strategicznej



Maciej Pieczyński

Mińsk jednoznacznie poparł inwazję Rosji na Ukrainę, ale najwyraźniej nie zamierza wziąć w niej czynnego udziału. Łukaszenka stoi po stronie Putina i jednocześnie próbuje odgrywać rolę rozjemcy. Prawdopodobnie nie ma ochoty nadstawiać karku za swojego patrona

Łukaszenka boi się wojny



tę podali nie Ukraińcy, lecz sami świadkowie. Oficjalnie Mińsk uspokajał, że to tylko ćwiczenia wojskowe.

PLAN PUTINA

Łukaszenka wobec inwazji zajął dwuznaczne stanowisko. Udostępnił terytorium do ataku, ale sam nie zaatakował. Czy dlatego, że nie chciał, czy może dlatego, że nie było jak dotąd takiej potrzeby? Być może po części i jedno, i drugie. Plan Putina zapewne nie zakładał czynnego udziału wojsk białoruskich. Przecież Rosjanie mieli w kilka dni doprowadzić do rozpadu państwa ukraińskiego i zmiany władz w Kijowie. Bezpośrednia pomoc o wiele słabszego sojusznika nie była potrzebna. Wystarczy, że udostępniając swoje terytorium, umożliwił szybki atak na stolicę. Z pewnością jednak pomoc wojskowa Białorusi była i jest jednym z wariantów w zależności od rozwoju sytuacji. Ponadto po trzech tygodniach wojny sytuacja wciąż wydaje się niezadowalająca dla Putina, a jednak z pomocy Łukaszenki wciąż jeszcze – w momencie, gdy piszę te słowa – nie skorzystał. Jednocześnie to właśnie na terenie Białorusi prowadzone są rozmowy rosyjsko-ukraińskie. Być może Mińsk odgrywa rolę swego rodzaju politycznego odwodu dla Moskwy i zarazem pośrednika. Białoruś praktycznie jest niemal w pełni zależna od Rosji, ale teoretycznie może stwarzać pozory neutralności. Jeśli ktoś nie będzie chciał rozmawiać z Putinem, to może zawsze zadzwonić do Łukaszenki. To jednocześnie wygodna pozycja dla tego ostatniego. Łukaszenka jest Putinowi potrzebny.

Armia białoruska jest mocno zintegrowana z rosyjską, niedługo przed inwazją zakończyły się wspólne manewry pod wiele mówiącą nazwą „Sojusznicy Zdecydowanie”. Nie oznacza to jednak, że była gotowa do wzięcia w inwazji czynnego udziału. Białoruś jest państwem policyjnym bardziej niż wojskowym. Wyćwiczonym raczej w pacyfikacji protestów ulicznych i prześladowaniach opozycji niż w operacjach militarnych na obcym terenie. Na obronność wydaje mniej niż 1 proc. swojego PKB. Tylko ok. 3 proc. Białorusinów deklaruje gotowość przystąpienia do wojny. Armia Łukaszenki dysponuje 48 tys. żołnierzy. Skoro o wiele lepiej przygotowane do działań zaczepnych wojska rosyjskie na odcinku kijowskim w pierwszych

i Bezpieczeństwa Informacji przy Ministerstwie Kultury i Polityki Informacyjnej Ukrainy. Rzecznik Pentagonu stwierdził wówczas, że amerykański wywiad nie zauważył żadnych niepokojących ruchów wojsk. I miał rację. Łukaszenka nie zaatakował.

Wcześniej dowództwo ukraińskich sił powietrznych poinformowało, że rosyjskie lotnictwo ostrzelało białoruską miejscowość przy granicy z Ukrainą po to, aby zmusić Mińsk do militarnej odpowiedzi. Czyli, de facto, wciągnąć Białoruś do wojny. Nikt poza Kijowem tych rewelacji nie potwierdził. Ani Moskwa, ani Mińsk, ani zachodnie służby wywiadowcze,

ani nawet białoruska opozycja, której przecież nie sposób podejrzewać o działanie na rzecz Łukaszenki czy Putina. Najprawdopodobniej zarówno straszenie białoruską inwazją, jak i rosyjskimi nalotami na białoruskie wioski to elementy – dodajmy, sprawiedliwe – wojny informacyjnej Kijowa. W tym wypadku jej celem jest wbicie klina pomiędzy Mińsk a Moskwę oraz przekonanie Zachodu, że wobec wiszącej nad Ukrainą groźby wejścia Białorusi do wojny tym pilniejsza jest pomoc militarna dla broniącego się państwa. Z kolei wieczorem 16 marca w kilku białoruskich miastach słychać było wybuchy. Tym razem informację

FOT. SERGEI SHILEGA/TASS/FORUM

dnia wojny poniosły dotkliwe straty, to oddziały białoruskie mogłyby zostać zdziesiątkowane. Na rzecz tej tezy przemawiają nie tylko względy czysto militarne, lecz także ideowe czy psychologiczne. Wiele od początku konfliktu mówi się o słabym morale żołnierzy rosyjskich. A cóż dopiero mówić o ewentualnym morale żołnierzy białoruskich?! Pojawiło się już wiele nieoficjalnych doniesień o tym, że w szeregach armii Łukaszenki panują buntownicze nastroje. Żołnierze ponoć kategorycznie odmawiają ewentualnego udziału w wojnie. Oczywiście „ostatni (teraz, uwzględniając Putina, chyba jednak przedostatni) dyktator Europy” ma swoje wypróbowane sposoby radzenia sobie ze sprzeciwem. Jednak, po pierwsze, żołnierzy trudniej spacyfikować niż pokojowych demonstrantów. Zmuszanie ich do udziału w inwazji mogłoby doprowadzić do o wiele poważniejszych protestów niż te z lata i jesieni 2020 r. Tym razem trudniej byłoby liczyć na równie efektywną pomoc Putina, który przecież ma swoje problemy na Ukrainie. Z tego też powodu być może sam Putin na razie nie zamierza wymuszać wejścia Białorusi do wojny. Po drugie, bardzo prawdopodobne, że Łukaszenka sam nie chce w wojnie wziąć udziału. I nawet jeśli Putin będzie tego od niego oczekiwać, to białoruski przywódca znajdzie mnóstwo technicznych pretekstów, aby jeszcze nie wkroczyć do działań. Rosjanie, zajęci trudami „operacji specjalnej”, mogą nie mieć wystarczających sił ani żeby wesprzeć „Baćkę” w przypadku buntu jego żołnierzy, ani żeby „Baćkę” zmusić do wejścia do wojny, w przypadku gdyby się opierał.

PROPAGANDA MIŃSKA

Wojna na Ukrainie jest wojną w interesie Rosji, nie Białorusi. Mińsk wspierał i wspiera propagandowo Moskwę, ale sam interesu w podbijaniu południowego sąsiada nie ma. Łukaszenka bardzo długo zresztą starał się pozycjonować jako rozjemca między Rosją a Ukrainą. W końcu to on był gospodarzem porozumień mińskich. Pomimo ścisłych związków z Moskwą nie uznawał aneksji Krymu i donbaskich republik. Jego postawa zmieniła się dopiero po protestach w 2020 r., gdy stało się jasne, że Putin jest jedynym gwarantem jego władzy

i osobistego bezpieczeństwa. Retoryka Łukaszenki powoli, ale stawała się coraz bardziej antyukraińska. A jednak w wywiadach udzielanych kremlowskim propagandystom robił wiele, aby uniknąć jednoznacznej deklaracji w sprawie Krymu. Będąc wasalem Moskwy, długo starał się utrzymać kontakt z Kijowem. To swoją drogą też związane było z pozycją wasala – próbując pośredniczyć między Ukrainą a Rosją, Łukaszenka mógł czuć się potrzebny Putinowi.

Łukaszenka usilnie przekonuje, że Rosja nie potrzebuje i nie będzie potrzebować militarnego bezpośredniego udziału Mińska w wojnie

Białoruska propaganda od początku inwazji forsuje dość specyficzną narrację. Z jednej strony, „operacja specjalna” traktowana jest jako wojna sprawiedliwa. Mińsk całkowicie popiera Moskwę w szczytnym dziele denazyfikacji Ukrainy. Media białoruskie przepełnione są nienawiścią do banderowców, nazistów, powtarzają opowieści o tym, jak to reżim kijowski planował atak na Rosję. Wspominają też Ukraincom, że nie poparli Łukaszenki w sierpniu 2020 r. Jednocześnie białoruski dyktator nieustannie zarzeka się, że jego kraj w wojnie udziału nie bierze. A jedynie ubezpiecza tyły Rosji od strony zachodniej, północnej i południowej. Broni sojusznika przed ewentualną agresją ze strony Polski, Litwy czy Ukrainy.

1 marca, niecały tydzień po napaści Rosji na Ukrainę, odbyło się posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Białorusi. Uczestnicy omawiali sposoby zwalczania „fałszywych informacji”, jakoby Mińsk szykował się do wzięcia czynnego udziału w wojnie. Posiedzenie miało charakter rozszerzony. Oprócz przedstawicieli resortów siłowych wzięli w nim udział dziennikarze mediów państwowych, których Łukaszenka wprost przedstawił jako „naszych ekspertów od walki informacyjnej”, których zadaniem jest obrona Białorusi przed oskarżeniami o szykowanie się napaści na Ukrainę.

„Rosja nigdy nawet nie podejmowała tematu naszego ewentualnego udziału w operacji specjalnej” – zapewnił

Łukaszenka. Jedynym zadaniem oddziałów białoruskich sił zbrojnych, stacjonujących przy granicy z Ukrainą, jest – zgodnie z oficjalną wersją – obrona kraju przed „radykałami”. A konkretniej: przed „grupami dywersyjnymi”, które rzekomo próbują się przedzierać na Białoruś. Mińsk podniósł w stan gotowości obronę przeciwlotniczą, żeby „uniemożliwić cios w plecy wojsk rosyjskich”. „Armia białoruska żadnego udziału w działaniach wojennych nie brała i nie bierze. Możemy to udowodnić każdemu” – stwierdził publicznie Łukaszenka. Dodał przy tym, że w zasadzie to udowadniać już nic nikomu nie trzeba, bo nawet Amerykanie przyznali, że nie zauważyli, żeby wojska białoruskie przygotowywały się do konfliktu zbrojnego. Podczas wystąpienia wyraźnie podenerwowany Łukaszenka oburzał się na tych, którzy takie „fejki” rozpowszechniają. Czyli na „naszych zbiegłych zbirów”, jak dyktator nazywa białoruskich opozycjonistów przebywających na Zachodzie. To właśnie oni, wedle słów Łukaszenki, „rozpętali kampanię po całej Białorusi”, opowiadając, że oto już jutro, już za chwilę takie a takie oddziały zostaną wprowadzone na terytorium Ukrainy.

Dyktator usilnie próbował przekonać swoich odbiorców, że Rosja nigdy nie potrzebowała, nie potrzebuje i nie będzie potrzebować militarnego bezpośredniego udziału Mińska w wojnie. Białoruś jest bez wątpienia stroną konfliktu. Oficjalnie jednak wmawia światu, że nie tylko nie bierze udziału w wojnie, lecz także odgrywa rolę mediatora. Propaganda Mińska przekonuje, że „Białoruś robi wszystko, aby skonfliktowane strony porozumiały się ze sobą”. Po pierwszych rozmowach rosyjsko-ukraińskich Łukaszenka pochwalił negocjatorów z obu stron za umiejętność dążenia do kompromisu. Zaznaczył jednak, że powodzenie rozmów zależy wyłącznie od Ukraińców. „Jeśli nie będą słuchać tego, co im podpowiada Zachód i Amerykanie, wojna się zakończy” – stwierdził Łukaszenka. Czyli – pisząc wprost – jedyne możliwe rozwiązanie konfliktu białoruski dyktator widzi w kapitulacji Kijowa. Nie może być zatem żadnych wątpliwości, po czyjej stronie w tej wojnie stoi Łukaszenka. Jedyna wątpliwość dotyczy skali jego zaangażowania w inwazję rosyjską. Wciąż ograniczonej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEMCY PROSZĄ O MNIJE UCHODźCÓW

Gdy liczba uchodźców z Ukrainy wjeżdżających do Polski zbliżała się do 2 mln, polskie MSWiA otrzymało prośbę z Niemiec. Tamtejsze władze prosiły o wstrzymanie pociągów, którymi część Ukraińców wyjeżdżała z Polski do Berlina. Niemcy stwierdzili, że w związku z tym zrobiło się u nich „wąskie gardło”. Tymczasem do Berlina w trzy dni wyjechało pociągami zaledwie 27 tys. uchodźców.

FOT. LUTZ JARBEZ/ANSA/EP



ZŁOTY POCIĄG ODNALEZIONY

Jakiś czas temu w Polsce gorączkowo poszukiwano zakopanego złotego pociągu. Okazało się, że złoty pociąg był na Ukrainie. Tam właśnie znaleźli go ukraińscy dziennikarze, którzy weszli na teren posiadłości oligarchy Wiktora Medwedczuka (oskarżany o współpracę z Rosją uciekł niedawno z aresztu domowego). Bogacz miał na terenie posesji zamaskowany cały peron kolejowy z zaparkowanym przy nim wagonem – ociekającym w środku złotem

i wykończonym najdroższymi materiałami. Żona Medwedczuka kupiła mu replikę wagonu Pullman na urodziny.

PAULO COELHO PRZECIW RUSOFOBII

Brazylijski znany pisarz i poeta postanowił powiedzieć coś publicznie o napaści Rosji na Ukrainę. „Kryzys na Ukrainie jest wymówką dla rusofobii” – napisał na Twitterze. I dodał: „Byłem we Lwowie, w Kijowie, Odessie, Jałcie, Czarnobylu (Ukraina). Przejechałem 10 tys. km pociągiem

z Moskwy do Władywostoku. Tak, trwa wojna – ale nie obwiniamy zwykłych ludzi”.

KAMAZA POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Federacja Rosyjska tak bardzo chciała wrócić do czasów ZSRS, że w niektórych obszarach ma już taką możliwość – dzięki sankcjom gospodarczym rodzima fabryka samochodów ciężarowych Kamaz musiała porzucić montowanie najnowszych modeli pojazdów. Ponieważ z firmy wycofały się niemieckie koncerny, Rosjanie wracają do montowania ciężarówek z kabinami zaprojektowanymi jeszcze w 1979 r.

PRZYKUTY DO MCDONALD'S

W ubiegłym tygodniu sieć restauracji McDonald's wyprzedawała w Rosji ostatnie zapasy i zawiesiła działalność. Przeciw zamknięciu lokali protestował rosyjski pianista Luka Safronow. Przykuł się kajdankami do drzwi restauracji w Moskwie przy placu Puszkina. „Karmili nas tym jedzeniem przez 30 lat, mówili, że je kochają i że my też powinniśmy je pokochać, a teraz nas opuszczają” – żalił się przechodniom na filmie, który upubliczniono w sieci. Od drzwi oderwała go rosyjska policja. ©©

Lukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rewolucja kupujących

Wskaźnik inflacji rośnie i osiąga rekordowe poziomy. Z miesiąca na miesiąc w szybkim tempie biedniej nie tylko Polacy (a zdaniem ekonomistów rekordowa inflacja dopiero przed nami), lecz także mieszkańcy państw należących do strefy euro czy Stanów Zjednoczonych (w lutym wyniosła 7,9 proc. rok do roku, czego Amerykanie nie zaznali od 40 lat).

Chociaż konsumenci solidarnie tracą po obu stronach oceanu, to przedsiębiorcy – jeszcze niedawno tak ochoczo ratowani bezzwrotnymi dotacjami z pieniędzy podatkowych – w wielu krajach notują

rekordowe zyski, podnosząc marże do dawno niewidzianych poziomów. Wskaźniki zyskowności średnich i dużych firm w Polsce już w listopadzie ubiegłego roku były bliskie rekordowych poziomów. Świetne wyniki odnotowuje też wiele amerykańskich firm.

Konsumenci za oceanem coraz częściej zaczynają się jednak buntować. Jak zauważył „The Wall Street Journal”, jeden z producentów T-shirtów próbował podnieść niedawno ceny o 20 dol. Efekt? Sprzedaż spadła tak znacząco, że producent musiał grzecznie wrócić do starych cen. „To była rewolucja” – oznajmił reprezentant

firmy, przyznając, że gdy jego marka próbuje jeszcze choć trochę podnieść cenę, sprzedaż spada o połowę. „The Wall Street Journal” zauważa, że podobnie zareagowali amerykańscy konsumenci na próbę podwyższenia przez jedną z dużych sieci handlowych cen materaców aż o 100 dol. Po buncie kupujących cena spadła. Oczywiście nie da się zbuntować i nie kupować chleba czy paliwa, ale już zakup kolejnych zabawek, mebli czy sportowych gadżetów można często odłożyć na później z korzyścią dla napiętego budżetu. Spadek sprzedaży może zaś przywrócić handlowcom trochę zdrowego rozsądku. ©©

U schyłku pontyfikatu Jana Pawła II członkowie grupy z Sankt Gallen zaproponowali swojemu nieformalnemu liderowi, kard. Carlo Marii Martiniemu, by na najbliższym konklawe postawić na kandydaturę Jorgego Maria Bergoglia. Włoch był początkowo sceptyczny. Wprawdzie słyszał o arcybiskupie Buenos Aires wiele dobrego, ale niektórzy oceniali go jako konserwatystę. Ostatecznie Martini dał się przekonać i sanktgallenccy zaangażowali się w kampanię na rzecz Argentyńczyka. Praktyka pokazała, że początkowy sceptycyzm Martiniego nie był od rzeczy: choć Franciszek realizuje agendę Sankt Gallen, to nieco opornie i nie na taką skalę, o jakiej marzyli jej autorzy. Papież dopuścił do Komunii rozwodników, wykonał wiele gestów na rzecz LGBT – ale nie przeprowadził gruntownej rewizji nauczania moralnego na temat seksualności. Zgodził się na Eucharystię dla niektórych protestantów – ale o interkomunii wciąż nie ma mowy. Dopuścił kobiety do nowych posług, zaproponował refleksję nad sposobem przeżywania kapłaństwa – ale żeński diakonat i żonaci księży pozostają w sferze marzeń postępców. Na tle dwóch poprzednich papieży dokonał, oczywiście, wielu „postępów”, ale z perspektywy rewolucyjnej niewątpliwie mogłoby być lepiej.

I tak by najpewniej było, gdyby następcą papieża Franciszka został rodowity Luksemburczyk, kard. Jean-Claude Hollerich. Ten relatywnie młody purpurat – ma dopiero 63 lata – nie podziela skrupułów Bergoglia. Mówi otwarcie, że doktrynę i dyscyplinę Kościoła należy gruntownie przekształcić, bo żyjemy w czasach zmiany – i tak, jak jest, dłużej być nie może. Dlatego w styczniu 2022 r. zaproponował odejście od nauki Kościoła na temat homoseksualizmu, tak by relacje jednopłciowe mogły cieszyć się w katolicyzmie szerszą akceptacją. Już wcześniej bardzo otwarcie mówił o zniesieniu obowiązku celibatu: sądzi, że byłoby właściwe, gdyby jedynie zakonnicy żyli bezżennie, księża niech mają żony. Jest też zdecydowany poprzeć diakonat kobiet: z dobrą podbudową teologiczną i prawną, uważa, nie będzie to problemem. Sprzeciwia się zabijaniu dzieci nienarodzonych, ale uważa, że „dawne argumenty” Kościoła już nie działają i w obliczu współczesnego ideału „godności kobiet” potrzebne są „nowe drogi” dialogu.

BŁYSKOTLIWA KARIERA

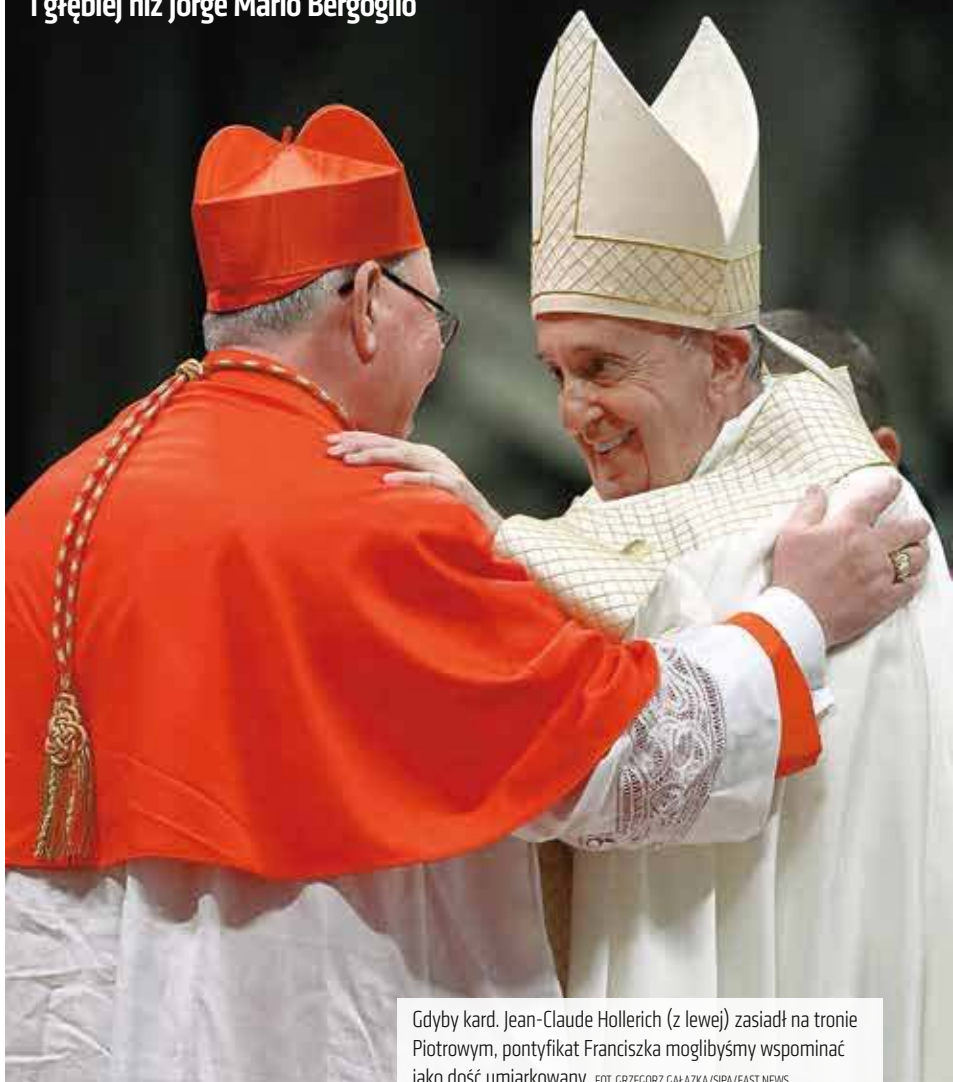
Hollerich urodził się i wychował w Luksemburgu. Studiował w Rzy-

Papabile z Luksemburga



Paweł Chmielewski

Jean-Claude Hollerich, arcybiskup Luksemburga, kardynał i pełnokrwisty modernista – to właśnie on wyrasta dziś na najważniejszego człowieka Franciszka w Europie. Watykańscy sądzą, że może zostać następcą papieża. Z perspektywy progresywnej rewolucji jest rzeczywiście wymarzoną kandydatem. Jako papież mógłby przebudować Kościół jeszcze szybciej i głębiej niż Jorge Mario Bergoglio



Gdyby kard. Jean-Claude Hollerich (z lewej) zasiadł na tronie Piotrowym, pontyfikat Franciszka moglibyśmy wspominać jako dość umiarkowany

FOT. GRZEGORZ GAŁĄŻKA/SIPA/EAST NEWS

mie, Belgii, Japonii i przede wszystkim w Niemczech. To tam został intelektualnie uformowany. We Frankfurcie otrzymał licencjat, uczył się w Bonn, był doktorantem w Monachium. W efekcie to właśnie powojenna niemiecka teologia stanowi jego fundament myślowy. W jednym z wywiadów wyznał, że gdy w 1985 r. leciał na studia do Tokio, miał ze sobą tylko kilka powieści oraz „Podstawowy wykład wiary” Karla Rahnera. Nie jest jednak intelektualistą: opublikował wprawdzie kilka artykułów naukowych, ale ostatni kilkanaście lat temu.

Podróż do Japonii nie była w życiu Hollericha epizodem. Do Kraju Kwitnącej Wiśni skierowało go Towarzystwo Jezusowe (wstąpił w jego szeregi w 1981 r.). Uczył się na założonym przez jezuitów tokijskim Uniwersytecie Sophia. Poznał język i kulturę japońską. To w Tokio złożył śluby zakonne. Pracował przez kilka lat w niemieckiej parafii w tym mieście; wykładał też na wspomnianej uczelni francuski i niemiecki. Dziś określa się jako „biskup z Japonii”. Chętnie odwołuje się do sposobu myślenia, który określa jako dalekowschodni, a który ma – to jego własne słowa – zasadzać się na porzuceniu zachodniej logiki.

Ze wschodu do Europy sprowadził go na powrót papież Benedykt XVI, oferując mu w roku 2011 urząd arcybiskupa Luksemburga. Na nowy etap jego kariery weszła za pontyfikatu Franciszka. W roku 2018 powierzono mu funkcję przewodniczącego Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej, ComECE, organizacji bardzo prestiżowej, która ułatwia budowę dużej sieci kontaktów. Ta funkcja stanowiła dla Hollericha duże wyróżnienie. Dość powiedzieć, że jego poprzednikiem w ComECE był arcybiskup Monachium, kard. Reinhard Marx, bliski doradca papieża i były przewodniczący niemieckiego episkopatu, człowiek o wyjątkowo mocnej pozycji w Kościele powszechnym.

W roku 2019 Hollerich został przez papieża kreowany kardynałem. Otrzymał też wkrótce stanowisko przewodniczącego Coetus Internationalis Ministrantium, międzynarodowej organizacji zajmującej się koordynacją kontaktów między ministrantami.

Wreszcie, w tym samym roku, został wiceprzewodniczącym CCEE, Rady Konferencji Episkopatów Europy. W przeszłości Rada odgrywała niekiedy rolę rozsądnika sprzeciwu wobec konserwatywnego nauczania papieża. Kierowali nią między

innymi kardynałowie Basil Hume z Anglii i sam Carlo Maria Martini. Obecnie przewodniczącym CCEE jest arcybiskup Wilna, Gintaras Grušas, znany głównie w swoim kraju. To hierarcha, który bardzo rzadko zabiera głos w najważniejszych sprawach dla przyszłości Kościoła. Tymczasem CCEE otrzymała od Franciszka ogromne zadanie: to właśnie ta organizacja pokieruje europejskim szczeblem Synodu o Synodalności, procesu, który w zamyśle papieża ma doprowadzić do całkowitego przekształcenia Kościoła. Wygląda na to, że z ramienia CCEE sprawami Synodu będzie zajmować się właśnie kard. Hollerich: papież uczynił go w roku 2021 jedną z trzech osób, które odpowiadają za przeprowadzenie całego Synodu w ogóle. Luksemburczyk został relatorem generalnym Synodu i jako taki będzie współdecydował o przebiegu procesu razem z Sekretariatem Synodu oraz sekretarzem specjalnym zgromadzenia. Papież powierzył mu tym samym dużą władzę i obdarzył ogromnym zaufaniem: bez cienia przesady można powiedzieć, że dzisiaj Jean-Claude Hollerich należy do ścisłego grona najważniejszych ludzi Kościoła na świecie.

KAMPANIA TRWA?

Purpurat ma też dobre notowania poza Kościołem. W styczniu 2022 r. został uhonorowany prestiżową Nagrodą Abrahama Geigera (wcześniej otrzymali ją między innymi kanclerz Angela Merkel, ks. Hans Küng czy kard. Karl Lehmann). Laudację na cześć Hollericha wygłosił prezydent Portugalii Marcelo Rebelo de Sousa. Kolegium Geigera jest pierwszym w powojennych Niemczech seminarium rabinicznym. Odwołuje się do liberalnego judaizmu, a nagrodę przyznaje za zasługi na rzecz tzw. tolerancji, otwartości czy pluralizmu.

To wszystko sprawia, że kard. Hollerich znajduje się w bardzo dobrym punkcie startu do wyścigu o następstwo na tronie św. Piotra. Wydaje się, że kampania wyborcza już ruszyła. Na początku 2022 r. ukazał się wywiad rzeka, który z kardynałem przeprowadzili dziennikarz z Niemiec i włosko-francuski uczoney. Jej tytuł brzmi: „O co toczy się gra. Przyszłość chrześcijaństwa w sekularnym świecie”. Tę publikację trzeba czytać w kluczu chęci oficjalnego zaprezentowania postaci Hollericha szerokiej publiczności. Tak pracuje się nad kolejnym konklawe: przy okazji różnych spotkań i rozmów główni rozgrywający spośród kardynałów mogą podeprzeć się

tym wywiadem, polecając kandydata mniej zorientowanemu purpuratom ze światowych peryferii.

A to właśnie ich głosy będą kluczowe. Po zmianach, które wprowadził papież Franciszek, wielu hierarchów z odległych krajów nie zna się nawzajem; nie wiedzą też nic o Kurii Rzymskiej. Ktoś musi podsunąć im atrakcyjną opcję. Już w 2013 r. sanktgałlencykom udało się zmobilizować na rzecz Bergoglia wielu kardynałów spoza Europy i USA. Kolejnym razem może być tak samo, tym bardziej że Jean-Claude Hollerich ma niewątpliwie dużą zaletę, jaką stanowi jego znajomość realiów Dalekiego Wschodu. Przy nim inny czołowy papabile, filipiński kard. Luis Antonio Tagle, traci część swojej wyjątkowości.

Poza tym Luksemburczyk ma jeszcze jedną ważną cechę: jego modernizm nie jest malowany czy koniunkturalny. Pokazuje to ciekawa historia, którą kardynał sam przytoczył. Chodzi o Komunię Świętą dla protestantów. Hollerich powiedział, że będąc w Tokio, udzielał Eucharystii każdemu. Wychodził z założenia, że jeżeli protestant przyjmuje Komunię, to na pewno wierzy w nią po katolicku. Wyznał też, że przeżył duży szok, gdy pewnego razu uczestniczył w protestanckiej wieczerzy: zobaczył, że protestanci po nabożeństwie wylali pozostałe wino i wyrzucili chleb. Uderzyło go, bo on, jako katolik, wierzy w realną obecność. Problem w tym, że... wówczas pod postaciami chleba i wina Pana Jezusa realnie nie było, przecież liturgii przewodniczył protestancki pastor. Jeżeli Hollerich z jednej strony uważa, że protestant może wierzyć w Eucharystię po katolicku, a z drugiej dziwi się, że protestanci postępują w taki sposób z pozostałościami po wieczerzy, to – być może – wyznaje eucharystyczny symbolizm, co z kolei implikuje subiektywizm.

CZŁOWIEK REWOLUCJI

Takiego właśnie człowieka potrzebuje rewolucja: ten nie zawaha się w kluczowych momentach, tak jak niekiedy waha się Franciszek. Jeżeli Hollerich w najbliższych latach nie zrazi większości Kolegium Kardynałów jakimiś wyjątkowo skrajnymi wypowiedziami, to może odegrać na kolejnym konklawe bardzo ważną rolę.

A gdyby rzeczywiście został wybrany, to sądzę, że wspominalibyśmy pontyfikat Franciszka jako dosyć umiarkowany.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Małgorzata Wołczyk

Zmieniony kodeks karny w Hispanii uznawać będzie, że modlitwa przed kliniką aborcyjną to przestępstwo

W naszym egzotycznym, nadwiślańskim kraju, gdzie zupełnie wbrew europejskim standardom lud wciąż ochoczo składa ręce do modlitwy, trudno będzie zrozumieć, że katolik odmawiający pacierz może w ten sposób „nękać” niewinne ofiary i tym samym zasłużyć na karę więzienia z paragrafu kodeksu karnego. Skoro jednak kolejne odłony zachodniej oświeceniowej myśli, której najbardziej szalone wykwyty każe nam się już implementować i wdrażać pod groźbą, prośbą czy karą sankcji, lepiej, abyśmy zawczasu wiedzieli, co nas czeka, i przygotowali się mentalnie. Tym bardziej że to znów arcykatolicka do niedawna Hiszpania idzie niezmordowanie na czele światowej awangardy postępu, a jej wysłannicy z ramienia PE domagają się, abyśmy ich naśladowali.

NOWA HISTORIA

„Dziś tworzymy historię parlamentarną! – powiedziała w Kongresie posłanka rządzącej Socjalistycznej Partii Robotniczej Hiszpanii. – Właśnie w naszym kraju po raz pierwszy utrudnianie prawa do aborcji będzie przestępstwem w kodeksie karnym”. W ten sposób Laura Berja odnosiła się do zaaprobowanego projektu prawa, które przewiduje kary więzienia dla „każdego, kto nęka kobietę, która udaje się do przychodni w celu skorzystania z prawa do dobrowolnego przerwania ciąży”. Przy czym, jak powszechnie wiadomo, prześladowcami nękającymi kobiety są katolicy i stowarzyszenia pro-life obecne także modlitewnie pod drzwiami ponad 200 klinik aborcyjnych Hiszpanii. To są zdaniem socjalistów i komunistów głosujących za przyjęciem tego prawa „brutale i napastnicy”, którzy nękają kobiety cieszące się swym naturalnym prawem do aborcji „poprzez irytujące, obraźliwe, zastraszające lub przymusowe działania”, do



Więzienie za modlitwę

których wliczyć trzeba także głośną modlitwę.

„Ta socjalistyczna inicjatywa jest sukcesem całego parlamentu. To wygrana walka ze skrajną prawicą w obronie praw kobiet” – cieszyła się uszczęśliwiona posłanka Berja, podkreślając, że prawa wywalczone przez kobiety nie podlegają żadnym negocjacjom. Nie inaczej zachowywał się koalicjant rządowy, czyli komuniści z Unidas Podemos, którzy podkreślali wagę tego projektu w ochronie kobiet „przed absolutnym okrucieństwem ze strony hordy fundamentalistów”.

Przy czym, aby było jasne: modlitwa przed klinikami aborcyjnymi nijak nie może być rozpatrywana w ramach prawa do wolności wypowiedzi, ponieważ jej celem jest „wskazywanie i wymuszanie”. A to już zdaniem komunistów hiszpańskich przekracza próg swobody wypowiedzi.

Gdy spojrzeć w rządowy projekt ustawy organicznej, a dokładnie jej uzasadnienie, można się dowiedzieć, że w Hiszpanii „nękanie placówek, w których kobiety dobrowolnie przerywają

ciężę, było stałym elementem od czasu zatwierdzenia Ustawy Organicznej 9/1985 z 5 lipca, która dekryminalizowała aborcję w trzech przypadkach. [...] Raport wykazał, że 89 proc. kobiet, które szły przeprowadzić aborcję, czuło się nękanie, a 66 proc. zagrożone. Te zorganizowane grupy podchodzą do kobiet ze zdjęciami, zabawkowymi płodami i wezwaniami antyaborcyjnymi w celu zmiany ich decyzji poprzez zastraszanie i nękanie. ACAI (stowarzyszenie klinik aborcyjnych) wystąpiło z wnioskiem o wprowadzenie rozporządzenia, które uzna nękanie przed klinikami za przestępstwo utrudniania aborcji”.

W świecie na opak, który z wolna opanowuje Hiszpanię za sprawą rządzącej koalicji socjalistów z komunistami, trudno naprawdę nadażyć za rewolucyjnymi zmianami, które wprowadzają, wykorzystując także zamęt wokół pandemii. W głosowaniu nad ustawą sprzeciwiły się partie PP (Partia Ludowa) i VOX, ale projekt i tak miał większościowe poparcie. Czekają go jeszcze głosowanie w Senacie, ale to będzie raczej formalność z uwagi na dominację lewicy.



„Modlitwa przed kliniką aborcyjną jest wspólna” – plakat katolickiej organizacji ACdP na przystanku autobusowym w Madrycie

FOT. EUROPA PRESS NEWS/GETTY IMAGES

jak ten, który tu mamy. To prawo służy do wyeliminowania dysydentów, którzy opierają się waszej cywilizacji śmierci i protestują pokojowo wobec niesprawiedliwego, a wciąż obowiązującego prawa do aborcji. Skutkiem jego straszliwych konsekwencji jest także zupełne zaniechanie samotnych ciężarnych kobiet, ponieważ budżet państwa przeznacza ogromne kwoty na finansowanie klinik aborcyjnych, ale pozostawia na pastwę losu kobiety szukające pomocy. Jeśli ciężarna matka w trudnej sytuacji zgłosi się do pomocy społecznej, to jedyna pomoc, która zostaje jej zaoferowana, to propozycja aborcji”.

NAJWIĘCEJ ABORCJI W EUROPIE

Rzeczywiście, trudno uwierzyć, ale w Hiszpanii w przestrzeni publicznej nie istnieje niemal prawo do głosu dla środowisk pro-vida (poza niszowymi mediami), a natarczywa edukacja seksualna i niemal nieograniczony dostęp do aborcji sprawiają, że jest w europejskiej czołówce krajów o najwyższej rocznej liczbie aborcji, i to pomimo nieograniczonego dostępu do antykoncepcji i tabletek „dzień po”. Dla porównania: w Polsce w roku 2020 wykonano 1076 legalnych aborcji, a w Hiszpanii w tym samym czasie 88 269 i to był wyjątkowy rok, ponieważ w poprzednich latach saldo oscylowało wokół 100 tys. zabitych nienarodzonych.

Przywołana posłanka VOX, Mendez Monasterio, zarzucała też kłamstwo rządowym ekspertom, ponieważ nie istnieje żaden rejestr skarg kobiet doświadczających rzekomej przemocy czy napastowania przez modlących się. To są wyłącznie skargi pracowników i właścicieli prywatnych klinik, którym aktywiści pro-life „psują interes”, odwodząc kobiety od decyzji propozycjami konkretnej pomocy i porady. Tak więc to oni, zrzeszeni w lobby nacisku beneficjenci „przemysłu śmierci”, doprowadzili do przegłosowania tego niebywałego projektu prawa kryminalizującego osoby modlące się przed klinikami. Tymczasem udział nowych „przestępców” w ratowaniu kobiet i ich dzieci jest nieoceniony. Zważywszy na to, że kliniki aborcyjne są obficie dotowane przez państwo, a centra planowania rodziny współpracują z klinikami aborcyjnymi, tym ważniejszy – w zalewie propagandy proaborcyjnej – staje się aktywizm wolontariuszy ostrzegających kobiety i uświadamiających o możliwych

powikłaniach czy syndromie postaborcyjnym.

Planowany nowy 172. artykuł kodeksu karnego będzie miał następujący zapis:

1. Każdy, kto nęka lub ogranicza wolność kobiety, która zamierza skorzystać z prawa do dobrowolnego przerwania ciąży, poprzez promowanie, faworyzowanie lub uczestniczenie w zgromadzeniu osób w pobliżu miejsc uprawnionych do przerywania ciąży, powodując naruszenie wolności lub prawa do prywatności tejże, zostanie skazany na karę pozbawienia wolności od trzech miesięcy do jednego roku lub pracę na rzecz społeczności od 31 do 80 dni.

2. Biorąc pod uwagę powagę sytuacji osobistej sprawcy i osób zaangażowanych w popełniony czyn, sąd może również orzec zakaz zbliżania się do określonych miejsc na okres od sześciu miesięcy do trzech lat.

„Dzięki tej reformie kodeksu karnego Hiszpania dorówna innym krajom w obronie prawa do dobrowolnego przerwania ciąży, takim jak Niemcy, Austria, Wielka Brytania i Francja – cieszą się publiczności socjalistycznego »Publico«. – Na tym ostatnim terytorium obowiązują podobna klasyfikacja, choć z różnymi karami. Francuskie prawo z 2017 r. przewiduje dwa lata więzienia i do 30 tys. euro grzywny w przypadku zapobiegania aborcji, w tym uzyskania informacji na jej temat”.

Cieszą się zresztą wszyscy szczerze nienawidzący katolików, konserwatystów i prawicy. Ponoć projekt przyszedł w samą porę, gdy Hiszpańskie Stowarzyszenie Katolickie Ewangelizatorów (ACdP) zaczęło właśnie planować szeroko zakrojone akcje, rozstawiając namioty pod klinikami aborcyjnymi. Kilkanaście samorządów już zdolało usunąć namioty, choć prawo jeszcze nie weszło w życie.

Z kolei założycielka organizacji Ratownicy Jana Pawła II, Marta Velarde, zapewniła, że nawet zatwierdzenie tego prawa nie zatrzyma działań przed ośrodkami aborcyjnymi.

Cóż, pozostaje nam bronić się rękami i nogami przed taką praworządnością, pluralizmem i demokracją. Im więcej Europa pochyla się nad „prawami kobiet” i właścicieli klinik aborcyjnych, tym większy tor przeszkód dla przyszłego człowieka i tym większe jego szczęście, że w ogóle zdołał się urodzić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W poszukiwaniu bezpiecznej przystani



FOT. ADRIAN STOK



Jakub Wozinski

Rosyjska agresja na Ukrainę przyczyniła się do wzrostu niepewności i jeszcze bardziej ożywiła poszukiwania bezpiecznej przystani dla naszego majątku

O tym, że czeka nas co najmniej kilkuletni okres z podwyższoną inflacją, nie ma wątpliwości już chyba nikt. Nawet w przedstawionym niedawno przez Narodowy Bank Polski raporcie mowa jest o tym, że w obecnym roku wyniesie ok. 10,8 proc. (w III kwartale nawet 12 proc.), a do w miarę bezpiecznego poziomu szansę powrócić dopiero za dwa lata. Biorąc jednak pod uwagę to, że jak dotąd bank centralny przedstawiał dość optymistyczne prognozy, trzeba się liczyć z tym, że powrót do dawnych, mniej spektakularnych wartości zajmie zdecydowanie dłużej.

WOJNA U BRAM

Do tej pory Polacy obawiali się o swoje oszczędności przede wszystkim w kontekście inflacji. Prowadzona kilkaset kilometrów od naszych granic wojna wprowadziła dodatkowe czynniki ryzyka, które dotąd wydawały się dość abstrakcyjne. Skoro kilka milionów Ukraińców zostało zmuszonych do nagłego porzucenia dorobku całego życia i panicznej ucieczki poza granice własnego kraju, to nie powinno dziwić, że wiele osób w Polsce zdecydowało się jeszcze bardziej zabezpieczyć swój majątek.

Co prawda, Polsce jako krajowi członkowskiemu NATO wojna zdaje się szybko nie grozić, lecz po 24 lutego nic nie wydaje się już takie pewne. Już w dniu rosyjskiej agresji przed bankami w Polsce zaczęły się ustawiać kolejki po gotówkę. Kolejki pojawiły się także u pośredników obracających metalami szlachetnymi. – Wybuch wojny wywołuje także reakcje bardziej nerwowe. W indywidualnych przypadkach zdarza się, że ktoś wypłaca z banku większość swoich oszczędności i lokuje je np. w złocie. W takich sytuacjach, których doświadczamy zapewne pierwszy raz w życiu, a czymś takim jest wybuch wojny tuż przy naszej granicy, występują niekiedy nerwowość i napływ inwestorów. Przed naszymi oddziałami mieliśmy nawet kolejki. Efekt wojenny z pewnością daje się zauważyć. Było tak

jednak w całej historii ludzkości, że ludzie uciekają ze swoimi oszczędnościami w płynne i mobilne aktywa – przynajmniej prezes Mennicy Skarbowej Jarosław Żołędowski,

Pomimo tego, że przez ostatnie dwa lata inwestycyjne metale szlachetne nie spełniały na ogół wiązanych z nimi nadziei, wśród Polaków zainteresowanie nimi nie słabnie. Nie zraziła ich nawet rosnąca szybko przez cały luty cena. – Wybuch wojny na Ukrainie spowodował, że zainteresowanie złotem jest wysokie. Nie jest to oczywiście jedyny wpływający na to czynnik. On jedynie podtrzymuje to zainteresowanie, które obserwujemy już od dwóch lat. W szczególności w 2021 r. firmy handlujące złotem odnotowywały w końcowych miesiącach rekordowe wyniki sprzedaży. Wówczas wojny oczywiście jeszcze nie było, ale czynniki makroekonomiczne, takie jak wysoka inflacja i realnie ujemne stopy procentowe czy duża niepewność, przyczyniały się do zwiększonego zainteresowania złotem inwestycyjnym. Zainteresowanie metalami szlachetnymi w ogóle jest wysokie, ale złoto pozostaje numerem jeden – dodaje Żołędowski.

12 proc.

NAWET TYLE MOŻE WYNIĘĆ INFLACJA
W III KWARTALE OBECNEGO ROKU

Znamienne jest to, że gdy tylko świat obiegała wieść o wybuchu wojny, ostre spadki zanotowały kryptowaluty i akcje, a zdrożały właśnie złoto czy dolar. Rosyjska agresja przeciwko Ukrainie dostarczyła tym samym bardzo ważnego argumentu w zakresie trwającej od lat dyskusji na temat tego, na ile kryptowaluty mogą stanowić odpowiednie zabezpieczenie przed inflacją. Najbardziej znany i popularny bitcoin stracił w ciągu ostatniego roku już prawie

35 proc. swojej wartości i nie stanowi niestety w swoim segmencie wielkiego wyjątku. Nie przesądając oczywiście jego przyszłych losów, warto wziąć pod uwagę to, że przy okazji obecnej wojny nie zdał ważnego stress testu.

AKCJE BEZ POLOTU

Wojna osłabiła także nieco wiarę w rynek akcji. Na nowojorskiej giełdzie pierwszy dzień wojny zaczął się bardzo źle i choć przewidując szybki sukces Rosji, do wieczora nadrobiono większość strat, to sytuacja jest nadal mało optymistyczna. Indeks Nasdaq stracił od początku roku prawie 20 proc., a podobne spadki odnotował również warszawski WIG, na którym wojna błyskawicznie zlikwidowała odbicie po covidowym dołku. Wobec eskalacji konfliktu gospodarczego z Rosją (i Chinami) oraz związanymi z nim zawirowaniami w zakresie zerwania łańcuchów dostaw, trudnościami na rynkach energetycznym czy też żywnościowym inwestowanie w akcje spółek staje się dużo bardziej skomplikowane i wymagające niż w normalnych czasach.

W tych okolicznościach nową gwiazdą światowych rynków stać się mogą surowce. Wielkie gospodarcze starcie Zachodu z Rosją już na samym początku doprowadziło do prawdziwej eksplozji cen na rynkach. Już w ubiegłym roku ceny surowców wzrosły o 50 proc., a w pierwszych dniach wojny cena wydobywanego m.in. na zachodniej Syberii niklu osiągnęła najwyższy poziom w historii. Wzrosty dotyczą także ze zrozumiałych względów cen ropy, gazu czy aluminium. Nie dziwi więc, że polski KGHM to jedna z niewielu spółek, która od czasu wybuchu wojny radzi sobie na warszawskim parkiecie relatywnie dobrze. Miedziowy potentat zamierza wykorzystać szansę, jakie otwierają się przed nim dzięki posiadanym koncesjom na wydobycie srebra czy niklu w Kana-dzie i Chile.

Zdaniem pragnącego zachować anonimowość eksperta do spraw rynków surowcowych rosyjska agresja na Ukrainie zmieniła przede wszystkim percepcję osób niezajmujących się na co dzień inwestycjami: – Rola tych rynków zawsze była duża. Media nie zwracały na to uwagi, bo pszenica czy węgiel nie wydają się zbyt atrakcyjne w porównaniu z wieloma nowoczesnymi instrumentami inwestycyjnymi. Wojna na Ukrainie lub wcześniejsze wydarzenia związane z pandemią

■ unaocznili większej liczbie ludzi, że makaron na półce w Biedronce nie bierze się znikąd. Co do samej mechaniki giełd surowcowych, wiele obszarów zostało wytraconych z równowagi i względnego zbalansowania. Pamiętajmy, że rynki surowcowe to rynki, na których transakcje są opłacane w momencie ich zawierania plus gigantyczny rynek terminowy. Panujące na nich dotychczas zależności zostały obecnie zaburzone. Surowce energetyczne z dostawą na najbliższe miesiące handlowane są z premiami nienotowanymi w tym stuleciu. Na rynku jest płytko, bo nikt nie jest w stanie dokładnie oszacować potencjalnego ryzyka, a to generuje duże dzienne zmiany cen.

SUROWCE NIE DLA KOWALSKIEGO

Medialne doniesienia na temat niesłychanych wzrostów cen wybranych surowców mogą pobudzać wyobraźnię bardzo wielu osób. W praktyce jednak jedynie wąskie grono specjalistów jest w stanie odpowiednio wykorzystać ruchy cenowe do tego, aby wypracować zysk. Jeśli ktoś do tej pory nie interesował się rynkiem surowcowym, to lepiej, żeby starał się wykorzystać obserwowaną na nim w ostatnim czasie dynamikę w nieco inny sposób. – Zdecydowanie odradzam zwykłemu Kowalskiemu interesowanie się produktami typu nikiel czy pallad, szczególnie opartymi na dźwigniach finansowych. Proszę pamiętać, że obecnie spready pomiędzy ofertą kupna a sprzedaży są rozszerzone, część największych brokerów odeszła z rynku, a część zmniejszyła zaangażowanie. Nie jest trudno w coś zainwestować, trzeba jeszcze pomyśleć, jak i kiedy z danej inwestycji wyjść. Wielkie zmiany procentowe na niszowych metalach przemysłowych (np. te związane z kłopotami chińskiej firmy Tsingshan Group) mogą robić wrażenie, ale nie jest to sytuacja, która premiuje i daje przewagę informacyjną zwykłemu Kowalskiemu. Najprostszym i najtańszym sposobem ekspozycji na metale szlachetne lub przemysłowe jest posiadanie waluty kraju produkującego lub wydobywającego surowiec. Kolejną formą ekspozycji na rynek surowcowy jest posiadanie akcji firm wydobywczych i tę formę jak najbardziej polecam, przy założeniu, że wiemy, co robimy, i uwzględniamy ryzyko polityczne, geograficzne i prawne – mówi „Do Rzeczy” pragnący zachować anonimowość ekspert do spraw rynków surowcowych.

Okazuje się tym samym, że jedna z najbardziej niezawodnych metod ratowania majątku przed gospodarczą zawieruchą pozostaje niezmiennie posiadanie dewiz. Mimo że część ekspertów interpretuje obecne wydarzenia jako wielkie przesilenie polityczne, które za jakiś czas na trwałe zdetronizuje dolara z pozycji dominującej światowej waluty rezerwowej, ostatnie tygodnie pokazują jednoznacznie, że w razie trwogi świat ucieka wciąż właśnie do amerykańskiej waluty. Dolar umocnił się ostatnio w stosunku praktycznie do wszystkich najważniejszych walut świata, nie wspominając oczywiście o złotówce. Jednocześnie zaś od lat osłabia się w stosunku do złota, na które popyt wzrósł w ostatnim czasie właściwie na całym świecie.

Nie brak osób, które obawiają się, że światowa wojna gospodarcza i niesłabnący popyt sprawia, że za jakiś czas nabycie złota może być bardzo utrudnione. Zdaniem Jarosława Żołędowskiego obawy te są jednak nieuzasadnione: – W mojej ocenie, jeśli chodzi o metale inwestycyjne takie jak złoto, wojna gospodarcza nie wpłynie za bardzo na ich dostępność. Złoto inwestycyjne jest wydobywane również przez rosyjskich producentów, ale na światowym rynku sprzedaży Rosja nie jest dostawcą tych produktów. My nie sprzedajemy złota rosyjskich czy chińskich producentów, a Chiny są głównym rynkiem kupującego. Na rynku złota inwestycyjnego sankcje związane z Rosją czy Chinami nie będą więc miały większego znaczenia.

Według danych Światowej Rady Złota w ubiegłym roku na całym świecie zakupiono 1124 tony złota inwestycyjnego w sztabkach i monetach, co stanowiło najlepszy wynik niemal od dekady (z tego w Polsce kupiono 14,2 tony). Biorąc pod uwagę znaczący wzrost zainteresowania po wybuchu wojny na Ukrainie, obecny rok będzie w tym względzie równie intensywny.

NIERUCHOMOŚCI ZAWSZE W CENIE

Sprawdzoną od lat metodą lokowania majątku jest oczywiście również zakup nieruchomości. Ich ceny rosną jednak wciąż w szybkim tempie. W Warszawie w III kwartale cena za 1 mkw. przekroczyła już nawet 14 tys. zł, a mimo to chętnych nie brakuje. Tym bardziej że w ciągu ostatnich dni stolica i inne duże miasta w Polsce skokowo zwiększyły liczbę mieszkańców, co z pew-

nością zwiększy zapotrzebowanie na powierzchnię mieszkaniową. W 2021 r. w całej Polsce sprzedano rekordową liczbę nowych mieszkań (w sześciu największych ośrodkach miejskich 64,5 tys. lokali), a i w bieżącym roku pomimo rosnących stóp procentowych na rynku dzieje się wciąż bardzo dużo.

Oprócz mieszkań Polacy inwestują także sporo w grunty, w szczególności te podmiejskie. W przeciwieństwie do mieszkań ilość dostępnej ziemi jest oczywiście niezmienna i dlatego, myśląc w naprawdę długiej perspektywie czasowej, warto nabyć ją nawet pomimo wysokich w ostatnim czasie cen. O ile bowiem ceny mieszkań rosły w minionych latach o kilka, kilkanaście procent rocznie, o tyle w przypadku działek budowlanych

14 tys. zł za mkw.

**TEN POZIOM CEN NIERUCHOMOŚCI
W WARSZAWIE PRZEKROCZYŁ JUŻ W 2021 R.**

wzrosty wynosiły nawet kilkadziesiąt procent. Zgodnie z wizją ekologizacyjnych utopistów przyszłością cywilizacji mają być inteligentnie zaprojektowane, zeroemisyjne i bazujące na recyklingu miasta, natomiast w następstwie pandemii Polacy (i nie tylko) zapragnęli domu pod miastem. Życie w sanitarnym koszmarze jest dużo znośniejsze, gdy posiada się choć własny ogródek.

Po wielu relatywnie spokojnych latach przyszło nam wszystkim mierzyć się z problemami, które wymagają myślenia w bardzo odległej perspektywie czasowej. Polacy ze zrozumiałych względów nie dorównują wciąż pod względem majątkowym mieszkańcom zachodnich krajów, lecz nawet posiadając mniej, można zawsze przynajmniej nauczyć się mądrze oszczędzać. Według danych Eurostatu Polacy oszczędzają mniej nawet niż mieszkańcy krajów o porównywalnych dochodach, a rozpędzająca się inflacja zapewne nie pozwoli im szybko zmienić nawyków. Warto więc pomyśleć, czy środków finansowych, które w ostatnich latach polskie państwo tak hojnie rozdaje obywatelom na rozmaite cele, nie przeznaczyć na coś, co pozwoli przetrwać czarną godzinę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Gdańsk

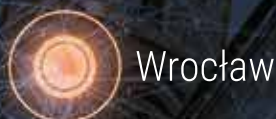
Już teraz **Telewizja Republika**

dostępna w Gdańsku!

MUX DVBT-2 na kanale 31



Warszawa



Wrocław



Katowice

Telewizję Republika odbierać także można
drogą satelitarną, za pośrednictwem
Internetu oraz drogą naziemną w systemie
DVB-T (Katowice i bliska okolica),
a także w systemie DVB-T2
(Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Mamy górników, a węgiel z Rosji

Premier Morawiecki ogłosił, że jest za pilną rezygnacją z importu węgla z Rosji, dodając przy tym, że już w tej sprawie – dostaw węgla do Polski – rozmawiał z premierem Australii. A – przepraszam, że się wtrącę – czy premier Morawiecki nie mógł w sprawie dostaw węgla, zamiast dzwonić aż na drugą półkulę, na antypody, zadzwonić do Katowic albo do Zabrza, no... dokądkolwiek na Śląsk i porozmawiać o tym z polskimi górnikami?

Nie tylko dlatego, że – jak mi się wydaje, ale może to jakaś moja fanaberia – węgiel Polakom powinni dostarczać górnicy polscy, skoro wciąż aż tylu (i wciąż za dużo) ich mamy, a nie australijscy ani tym bardziej rosyjscy, i to nie „od dziś”, lecz „od zawsze”. A ponadto telefon premiera Morawieckiego na Śląsk byłby tym bardziej uzasadniony, że od dawna nie mamy u nas do czynienia ze zwykłymi górnika-
kami, którzy po prostu fedrują węgiel, a kopalnie, w których pracują, sprzedają go na wolnym rynku i za pieniądze otrzymywane z jego sprzedaży utrzymują swych pracowników, w tym górników, a także inwestują w rozwój. O nie! Polscy górnicy od całych dekad – w niemałym stopniu – są utrzymankami nas, podatników, czyli są „pracownikami budżetówki”, a ta przecież „podlega premierowi”.

Jak wiadomo, „od zawsze” szantażowane przez górników rządy Polski zmuszają nas, podatników, do dopłacania im co roku gór pieniędzy; w latach 1990–2016 – na różne sposoby: dokładając do

wysokich emerytur, spłacając za nich zaległe składki do ZUS i wprost dotując kopalnie – musieliśmy im zapłacić aż 230 mld zł, czyli co roku średnio po 8,5 mld zł (ponad 200 zł rocznie od każdego, bez względu na wiek, Polaka). A po 2016 r. górnicy wymuszają na podatnikach jeszcze większe wsparcie – o co nietrudno, zważywszy na to, że o ile w całym polskim przemyśle udział płac w kosztach firm stanowi niecałe 15 proc., o tyle w kopalniach węgla kamiennego aż... 43 proc.!

W tym samym czasie górnicy – dostarczając polskim podatnikom coraz wyższe rachunki – polskim konsumentom dostarczają coraz mniej potrzebnego im węgla – dobrej jakości i w akceptowalnej cenie – i to właśnie sprawia, że Polska jest tak żałośnie uzależniona od węgla z Rosji. W 2015 r. sprowadzi-
liśmy stamtąd 6,5 mln ton węgla, w najgorszym pod tym względem 2018 r. – aż 13 mln ton, a ubiegłym roku – 8,2 mln ton, czyli aż 65 proc. importowanego węgla.

A dzieje się tak, bo w ostatnich latach ponad 80 tys. polskich górników „z budżetówki” wydobywało co roku mniej niż 60 mln ton węgla, podczas gdy np. 32 tys. amerykańskich górników z kopalni głębinowych np. w 2018 r. wydobyło... 346 mln ton węgla. Albowiem polski górnik „z budżetówki” wydobywa rocznie średnio nieco ponad 800 ton węgla, a amerykański – w kopalniach głębinowych – ponad 10 tys. ton. I przy tym nie domaga się od podatników ani centa dotacji. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ryzyko na cudzy rachunek

Modne stało się dzisiaj zarzucanie tchórzostwa tym, którzy próbują tonować rozbuchane nastroje. „Czego się pan tak boi?” – pytają mnie w mediach społecznościowych. Odpowiadam: boję się widoku zrujnowanego atakiem rakietowym zamku lubelskiego i pogrzebania pod gruzami jego cennych zbiorów. Boję się, że ludzie będą się musieli kryć po piwnicach w Białymstoku. Boję się wreszcie jądrowej pustyni wokół placu Defilad w Warszawie. I nie wstydzę

że kończy się jego czas, to nierzadko niestety pojawia się skłonność do hazardu, w którym stawką jest całe państwo. Wówczas robi się groźnie. Cnotą przywódców nie jest brawura, a nawet nie jest nią odwaga. Cnotą przywódców jest roztropność, oznaczająca między innymi to, że zawsze ma się w tyle głowy to, że decyduje się o losach milionów obywateli.

Rządzący mieli w ciągu ostatnich tygodni moment wielkiej roztropności, gdy nie pozwolili wpuścić Polski w kanał w sprawie przekazania Ukrainie myśliwców MiG-29. Niestety, wiele wskazuje na to, że wówczas cały zapas tej cnoty na dłuższy czas został wyczerpany.

W obozie władzy nieustannie ścierają się frakcje: wojny i ostrożności. Można odnieść wrażenie, że przekaz jest różny w zależności od tego, której z nich przedstawiciel akurat się wypowiada. Niektóre głosy sprawiają, że włos się jeży na głowie, jak choćby niejasna sugestia rzecznika rządu, że mgliście zarysowany przez Jarosława Kaczyńskiego pomysł „misji pokojowej NATO” mógłby być indywidualną inicjatywą kilku państw, a nie całego sojuszu.

Pozostaje ufać, że frakcja ostrożności będzie ostatecznie wygrywać, wspierana przez naszych poważnych zagranicznych partnerów. Wołałbym jednak nie musić pokładać nadziei w takich rachubach, ale mieć szczere przekonanie, że polska elita zachowuje zdrowy rozsądek przez nikogo niepilnowana. ©©

Cnotą przywódców nie jest brawura, a nawet nie jest nią odwaga. Cnotą przywódców jest roztropność

się tego strachu. To jest zdrowy strach, a jeśli komuś go brakuje, to znaczy, że ma jakieś intelektualne deficyty.

Jest zasadnicza różnica między odwagą prywatną a odwagą przywódcy. Jeśli ryzykujemy prywatnie, to mamy do tego pełne prawo. Najwyżej ucierpimy sami, może ewentualnie nasza rodzina. Jeśli podejmujemy ryzyko w imieniu naszego państwa, to ucierpieć mogą miliony ludzi. I to już nie jest prywatna sprawa.

Jeśli lider chce się zapisać w historii, bo sądzi,



Lokale usługowe

ZAINWESTUJ LUB WYNAJMIJ!



Poznań,
ul. Stefana Czarnieckiego



Termin zakończenia budowy
III kwartał 2022 roku

www.wilda-corner.pl
+48 882 818 848

Wynajem

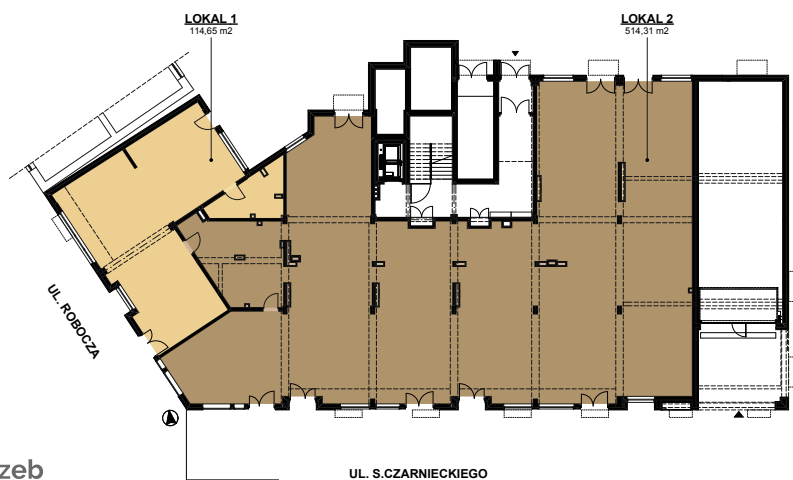
Powierzchnia 44 – 515 m²,
stawka od 59 zł/m² netto*

Sprzedaż

Powierzchnia 130 – 200 m²,
stawka od 9 900 zł/m² netto*

*w przypadku zakupu lub wynajmu całkowitej powierzchni lokalu ~630 m², cena podlega indywidualnej negocjacji

Możliwość aranżacji lokalu do Twoich potrzeb



eprasa.pl a0556657ee



JACEK KOMUDA

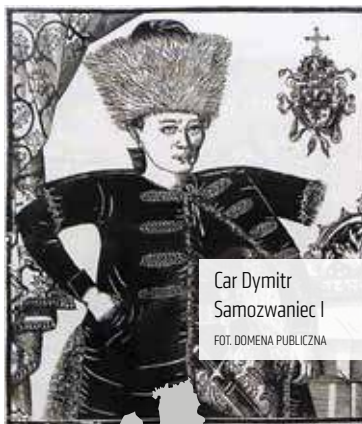
PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Początek wielkiej smuty

Morawsk, niegdyś miasto i gródek, dziś wieś, był na początku XVII w. świadkiem wydarzeń, które mogą być dla nas lekcją historycznej roztropności. Było to wówczas solidnie ufortyfikowane miasteczko z kreml, położone w zakolu rzeki, obsadzone załogą 500 strzelców i z kilkoma działami.

Morawsk był pierwszym miastem w Wielkim Księstwie Moskiewskim, które napotkał na swojej drodze Dymitr Samozwaniec w trakcie marszu na Moskwę. Trzeba przyznać, że chociaż w 1604 r. towarzyszyły mu liczne chorągwie szlachty polskiej, ruskiej i Kozaków, to ciągnął na wyprawę, która wydawała się szaleństwem. Człowiek, który objawił się w Rzeczypospolitej, ogłaszając się synem Iwana Groźnego i legalnym spadkobiercą tronu w Moskwie, wyruszał na czele prywatnej wyprawy polskich i ruskich panów, aby walczyć z carem Borysem Godunowem dysponującym potężnymi armiami, twierdzami i zbrojowniami. Dlatego wojsko Samozwańca liczące zaledwie kilka tysięcy jazdy z prywatnych zaciągów, drugie tyle uciekinierów z Moskwy i Kozaków zaporoskich, z wielką nieufnością przekraczało granicę między państwami.

Jednak już 27 października do przygranicznego Żukina przybyli wysłannicy z miasteczka, składając Dymitrowi przysięgę na wierność. Podniesiony na duchu Samozwaniec wysłał do cara list, w którym proponował, aby dobrowolnie ustąpił z tronu; w zamian oferował łaskę i dożywocie w klasztorze. 31 października armia przekroczyła rzekę i podeszła pod Morawsk niepewna, co będzie dalej. Pod drewniane parkany miasteczka wysłano gońca, który na ostrzu szabli podał pismo z wezwaniem do buntu przeciwko Godunowowi. Jednak dowódcy carscy odrzucili taką możliwość.



Wyglądało na to, że Samozwaniec już na samym początku wyprawy zmuszony będzie oblegać gródek i ponieść straty, nie mówiąc już o opóźnieniu w marszu. A jednak tak się nie stało! W Morawsku wybuchł bunt – mieszkańcy błyskawicznie schwytali carskich wojewodów – Borysa Ładygina, Michaiła Tołoczanowa i Jelizara Biezobrazowa, po czym rzucili ich pod nogi Samozwańcowi, prosząc, by wkroczył do miasta. Dymitr z pozoru odmówił, wysłał Jerzego Mniszcha, aby przekonał pozostałych opornych, a kiedy to się stało, wjechał do Morawska, gdzie witano go chlebem i solą, wręczono klucze do miasta i składano – jak to zwykle w Moskwie – czołobitne hołdy.

Armia Dymitra ruszyła na północ – do Czernihowa, który wkrótce również poddał się wojskom carewicza. Prawdziwy opór napotkano jedynie w Nowogrodzie Siewierskim na północy. Poza tym cała Siewierszczyzna spieszyła, by paść do nóg Dymitra i całować

chrest na jego imię. Tak rozpoczęła się wielka smuta.

Dlaczego tak się stało? To proste – mieszkańcy XVII-wiecznej Moskwy mieli już dość głodu i kryzysu, Hołomoru, który wybuchł w 1601 r. i ciągnął się przez następny rok, wywołując śmierć tysięcy chłopów i mieszkańców grodów. Można przyjąć, że jego skutki ekonomiczne będą porównywalne z dzisiejszymi sankcjami. Nikt już nie pamiętał roztropnych gramot Borysa Godunowa, budowy pierwszego przytułku dla starców w Moskwie, umocnienia Kitajgorodu w stolicy i wzniesienia zamku w Smoleńsku. Rozlicznych przywilejów dla kupców i pomocy dla głodujących chłopów. Jak to zwykle w azjatyckiej tyranii, kiedy przekroczona została granica wytrzymałości, za wszystkie klęski i niepowodzenia zaczęto obwiniać tyrana. Dawni Moskale znosili cierpienia długo i cierpliwie, jednak kiedy nie starczało im sił, wybuchał bunt.

Morawsk daje nam przykład na dziś – jeśli Rosja zostanie zmiażdżona w żelaznych cęgach sankcji, nadejdzie moment, kiedy jej mieszkańcy przekroczą czerwoną linię. Dymitr Samozwaniec wkroczył w idealnym momencie, kiedy nastał czas przełomu, a władza cara okazała się tak podminowana, że ani potężne armie, ani carscy wojewodowie nie ocaliły jego władzy. Te pierwsze rozpierzchły się i poddały jak armia Federacji na Ukrainie, ci drudzy okazali nieudolni... jak moskiewscy generałowie pod Charkowem i Kijowem. Miejmy nadzieję, że zbliża się czas przełomu w Rosji, kiedy powszechny bunt ogarnie jej mieszkańców, w XVII w. trzymaną pod knutem wojewodów i starostów, a dziś – pod okiem specyjałów i presją medialnej propagandy. Wtedy pozostanie tylko znaleźć nowego Samozwańca i... wkroczyć do Morawska, rozpoczynając pochód na Moskwę. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Prewencyjna wojna epidemiologiczna?

Tematy epidemiologiczne nie omijają wojny. Właśnie wybuchła afera wzajemnych oskarżeń pomiędzy Rosją i USA. Rosjanie chcą zwołania Rady Bezpieczeństwa ONZ, by omówić tam zagrożenie biologiczne, jakie mają sprowadzać amerykańskie laboratoria umiejscowione na Ukrainie. Z drugiej strony Amerykanie ostrzegają, że może to być maskirowka Rosjan do użycia broni biologicznej przeciwko Ukraińcom pod pretekstem tego, że różne świństwa wydostały się na zewnątrz z amerykańskich instalacji.

Obie strony oskarżają się wzajemnie o podłe intencje i wojna, tym razem biologiczna, zawisła na włosku. Dla Rosjan to dość duża okazja z taką narracją. Będzie można i eskalować konflikt, i rzucić wszystko na nazistowski rząd Ukrainy, która naraziła świat na powrót nowej odmiany patogenów. No bo jeśli pojawi się jakaś nowa zaraza i da się oskarżyć o nią bohaterską Ukrainę, to cały czar prysnie. Do tego większość pójdzie na konto Amerykanów, na co z ochotą przystanie naród rosyjski, który w 60 proc. uważa, że za konflikt Rosji z Ukrainą odpowiadają Stany.

To nowa, a właściwie odgrzewana narracja Rosjan. Przypomnę, że kiedyś Putin wspominał, przy którymś z żydowskich wzmożeń narracyjnych, że „wojna wyzwolenicza”, zwana gdzieniedzie drugą wojną światową, była pochodem Armii Czerwonej,

która chciała wyzwolić Europę z pęt antysemityzmu. Tylko się potem sowieccy trochę tu i ówdzie zasiedzieli.

Teraz mamy zastępczy casus belli. Gdy świat nie kupił dwóch argumentów Putina, że trzeba zdenazyfikować i zdemilitaryzować Ukrainę, pojawił się ratunkowy pretekst. Rosja napadła na Ukrainę w celach prewencyjnych. Mielibyśmy więc do czynienia pierwszy raz w historii z prewencyjną wojną epidemiologiczną. Temat to nośny, szczególnie po ostatnich dwóch covidowych latach. Może wrócić szybko i natrafi na gotowe tory do kontynuowania.

Ponadto to absurd. Rosja-agresor pozywa przed oblicze ONZ inne kraje, by obwinić je o rzeczy straszne i uzasadnić swoje działania na poziomie zbrodni wojennych tym, że chce zapobiec biologicznej hekatombie i obronić ludzkość przed nową falą jakiejś epidemii. A przecież sama powinna stanąć w prawdzie przed międzynarodowymi instytucjami, z trybunałem w Hadze włącznie. Widać straszenie tym, że w wyniku wojny Ukraińcy rozwalą swoje elektrownie atomowe, by oskarżyć o to Rosjan, które już zostało zamienione na straszenie choróbskiem. W końcu miliony przeżyły COVID i wiedzą, co może się dziać. Istnieje więc społeczne doświadczenie w tym względzie i jest się do czego odwołać. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Grzmią armaty, karawana jedzie dalej

Wojna, ofiary, brutalność najeźdźców, bohaterska postawa obrońców, pomoc uchodźcom bez reszty zawładnęły wyobraźnią i tak angażują uwagę, że na nic innego już nie zostaje miejsca. Choć wiemy, że od przebiegu wojny zależeć będą losy świata, to obok, a może w jej cieniu, rozgrywają się sprawy, o których nie można milczeć.

Restrykcje sanitarne w wielu krajach, w tym w Polsce, nie zostały zniesione. Nie uchylono też dyskryminującego rozporządzenia obowiązku szczepień medyków. Docierają już informacje o zwolnieniach niezaszczepionych, jakbyśmy w kraju mieli nadmiar lekarzy i personelu medycznego. Jednocześnie słyszymy o ofercie zatrudnienia lekarzy z Ukrainy. W pomyśle zatrudnienia ukraińskich lekarzy jakoś nie wspomina się o wymogu szczepień.

Nadal pacjenci z objawami COVID-19 nie są przyjmowani w przychodniach, bo powszechną praktyką są teleporady. Po tym, jak na łamach „Do Rzeczy” opublikowałem informację o tym, że mając objawy COVID-19, zostałem przez lekarza przyjęty i przebadany, wciąż docierają do mnie bliżsi i dalsi znajomi, prosząc o kontakt, ponieważ z podejrzeniem koronawirusa nikt nie chce ich przyjąć.

Maskarada z zasłanianiem twarzy trwa i mimo że już chyba nikt normalny nie wie-

rzy w jakąkolwiek ochronną funkcję i sens maskowania, a Internet jest pełen zdjęć najważniejszych osób w państwie, na tych samych spotkaniach, w maskach i za chwilę bez masek, resort zdrowia nie wycofał się z absurdalnych zarządzeń.

Cały czas trwają też represje wobec lekarzy, którzy kwestionowali covidowe dogmaty. W chwili, gdy oddaję tekst, nie wiem, jak zakończyła się rozprawa przed Sądem Okręgowym Izby Lekarskiej w Bydgoszczy o odebranie uprawnień dr Katarzynie Ratkowskiej. Jej podstawowym „przestępstwem” jest doprowadzenie do ujawnienia listy ośrodków, gdzie za zgodą prezesa URPL Grzegorza Cessaka Pfizer prowadził eksperymentalne szczepienia na dzieciach poniżej 12. roku życia. Wśród poddanych eksperymentalnym szczepieniom miały być dzieci do pierwszego roku życia.

Ani na chwilę nie zostały też zatrzymane prace nad dokumentem WHO dotyczącym globalnego i centralnego zarządzania polityką zdrowotną w sytuacji pojawienia się nowej pandemii. Skoro pandemię można zadekretować nie na podstawie liczby zgonów i strasznych objawów, ale na podstawie liczby pozytywnych testów, to łatwo przewidzieć, jakie narzędzia dostaną do rąk różni dziwni ludzie i do czego mogą być zdolni, oczywiście... w trosce o nasze zdrowie. ©©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

FOT. ADBESTOCK



SIOSTRY GOTUJĄ

Kanapka

zaną chustą z powodu bólu zęba, z niemowlęciem ssącym lewą pierś i trzymającą w lewej ręce równocześnie paletę i dużą kanapkę, którą podjadała. Portretowała właśnie modela".

Tak o niebywale zdolnej i wybitnie

pracowitej malarce pisze Jerzy Miśkowiak w przedmowie do pięknego albumu poświęconemu jej malarstwu. Elisabeth urodziła dziewięć dzieci i pozostawiła po sobie kilkadziesiąt przepięknych portretów, z których słynęła, i obrazów.

Ale wracając do kanapki – często jest to właśnie danie ludzi pracy i ludzi idei, którzy nie mają czasu na celebrowanie posiłków, a muszą mieć siłę do działania.

Kanapka może być prosta: chleb, smarowidło i coś do środka – wędlina, ser, warzywo.

Ale można się postarać i przygotować coś pysznego, co dodatkowo będzie także wabić oko swoim wyglądem.

Kanapki z kozim serem takiej, jak proponujemy, Elisabeth na pewno by sobie nie przyrządziła – szkoda by jej było czasu, prędzej by ją namalowała. Ale nie każdy z nas jest tak ekstremalnie skupiony na działaniu, jak była ona. Na szczęście są wśród nas także smakosze, którzy docenią ten prosty, a smaczny posiłek.

Chleb podpiekamy w tosterze i na taką grzanek nakładamy ser kozi – może być twarożek albo rolada. Na to układamy świeżą figę i polewamy delikatnie miodem. Można też posypać prażonymi orzechami.

Smacznego! ©©

Ponoć kanapka pojawiła się w annałach kulinarnych w 1762 r., kiedy to uwielbiający wielogodzinną grę w karty John Montague, czwarty lord Sandwich, zażądał od swego służącego dania, które będzie mógł spożyć, nie odrywając rąk od gry. Ten podał mu dwa kawałki chleba, pomiędzy które włożył kawałek smażonej wołowiny. Danie spełniło oczekiwania – głód przestał doskwierać, a gra toczyła się dalej.

Sto lat później, w drugiej połowie wieku XIX, kanapka chyba już się upowszechniła, a na pewno dotarła do Danii, gdzie mieszkała i pracowała nasza rodaczka Elisabeth Jerichau-Baumann. Urodzona na Żoliborzu w polsko-niemieckiej rodzinie wyjechała za mężem do Danii i tam podbiła kręgi monarchii i arystokracji swoim wdziękiem, zdolnościami językowymi i talentem malarskim. Bardzo intensywnie przy tym pracowała. Jak bardzo? Niech zaświadczy ten oto obrazek – otóż pewnego dnia profesor malarstwa, dyrektor Akademii Sztuk Pięknych w Kopenhadze Wilhelm Marstrand, przyszedł do skromnego mieszkania, w którym Elisabeth miała pracownię, aby ją nakłonić do przeprowadzki do bardziej reprezentacyjnego lokum.

„Zobaczył ją stojącą na drabinie przed wielkim płótnem z pędzlem w prawej ręce, z głową przewią-



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Niepoprawny Jerry

Czas nie jest specjalnie do żartów. Wszyscy jesteśmy w tym samym, niezbyt wesołym temacie i nic nie zapowiada, żeby to się szybko miało zmienić. Ale przyznam, że my, w osobie mojej oraz pana Bojańczyka, wieczorami fundujemy sobie porcję zmiany nastroju. Oglądamy dwa odcinki amerykańskiego sitcomu „Kroniki Seinfelda”. Nigdy nie sądziłam, że będę oglądać sitcom, w dodatku amerykański, i jeszcze że będę się z tego śmiała.

Otóż okazało się, że Jerry Seinfeld jest człowiekiem, którego nie sposób nie polubić. Ma dziś dobrze po sześćdziesiątce, ale w „Kronikach...” wyświełanych w Stanach przez 10 lat na przełomie lat 80. i 90. był 40-latkim. Publiczność uwielbiała jego program i jego samego. Kroniki dostały trzy Złote Globy, mnóstwo innych nagród, ponad setkę nominacji do nagród. Sam Seinfeld, współautor scenariusza, razem z Larrym otrzymał liczne nominacje do Grammy i Emmy.

Są to ponad 20-minutowe historyjki obyczajowe z życia czworga przyjaciół mieszkających na dolnym Manhattanie. To się nazywa „komedią obserwacyjną”. Bohaterowie: trzech facetów i dziewczyna (świetne role). Jerry, główny bohater, ma przed każdym odcinkiem stand-upowy komentarz, rodzaj przedmowy. Te stand-upy są pokazem

błyskotliwości, nieoczekiwanej i zabawnej obserwacji. Dotyczą rzeczy banalnych: pralnia, wynajęcie samochodu, picie kawy, lot samolotem.

Drzwi mieszkania Jerry'ego się nie zamykają: przychodzą i wychodzą, raczej wpadają George, Kramer i Elaine, single koło trzydziestki, którzy szukają życiowej drogi. Każdy przynosi swoje problemy. Prowadzą liberalne życie seksualne, a jednak w żadnym momencie „Kroniki...” nie popadają w wulgarność. Cała kompania żeruje na Jerry'ym, który jako jedyny ma regularne dochody. Przyjmuje pasażerów na nim przyjaciel z życzliwością i humorem, ale gdy przeginają, powie im parę słów do słuchu. Sytuacje są absurdalne, gagów mnóstwo, logicznych rozwiązań nikt się nie spodziewa, ale w tej groteskowo-realistycznej opowieści znajdujemy masę prawdy o życiu.

Wszystko to bardzo amerykańskie. Pewnych sytuacji polski widz nie rozumie do końca, to kontekst lokalny. Ale nie jest to konieczne, Jerry'emu wszystko się wybacza. A w dodatku w serialu – co dzisiaj istotne – zero poprawności politycznej. Żartuje się z gejów, Żydów, nawet niepełnosprawnych, ale życzliwie. Diversity rasowa też nikła. Dzisiaj by to nie przeszło. Jak Netflix przeoczył? ©©

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



DO RZECZY TYGODNIK LIŚCIKOWY

NASZ TEST: iROBOT ROOMBA J7+

Minimalistyczny design, łatwość obsługi, wysoka skuteczność sprzątania, możliwość programowania czasu sprzątania konkretnych pokoi oraz znakomicie sprawdzająca się funkcja rozpoznawania przeszkód i omijania zwierzęcych odchodów – to największe zalety jednego z najnowszych robotów odkurzających renomowanej amerykańskiej marki iRobot.

W polskich domach sprząta już ponad pół miliona robotów tej marki. Czy więc nowy model różni się od poprzedników? Po pierwsze, J7+ jest wyposażony w system nawigacji PrecisionVision, który dobrze sprawdza się podczas sprzątania domu lub mieszkania, w których domownicy notorycznie zostawiają na podłodze przewody od ładowarek, a koty nie zawsze zdążają do kuwety. Roomba J7+ bardzo dobrze radzi sobie z omijaniem tego typu przeszkód, podobnie jak z pokonywaniem progów, klocków, kredek etc. Robot może nawet robić zdjęcia przedmiotów, które odnalazł na swej drodze, i przysyłać je do użytkownika. Dzięki temu Roomba J7+ rzadko gdzieś się zawiesza i naprawdę sporadycznie wymaga pilnej interwencji użytkownika.

Urządzenie jest stosunkowo niskie (8,5 cm), dzięki czemu potrafi posprzątać pod wieloma różnymi meblami. Wbudowana sztuczna



inteligencja sprawia, że odkurzacz uczy się danego mieszkania i z każdym sprzątaniem odkurzanie idzie mu coraz lepiej. Dzięki temu nie ma już potrzeby ustawiania w różnych kątach tzw. wirtualnych ścian. Aplikacja pozwala również na śledzenie robota w czasie rzeczywistym, co jest zaskakująco przydatną funkcją.

Robota można również zaprogramować tak, aby w ciągu tygodnia sprzątał o konkretnych porach konkretne pomieszczenia. Roomba J7+ może działać także z wykorzystaniem asystentów głosowych, takich jak Amazon Alexa czy Asystent Google.

Jakość samego sprzątania jest podobna jak w przypadku wcześniejszych modeli tego producenta. Fajny jest też tryb cichego dojeżdżania do wskazanego obszaru wymagającego sprzątania.

Bardzo przydatna w testowanym modelu jest również stacja bazowa, która nie tylko służy do ładowania robota, lecz także wyposażona jest w funkcję automatycznego opróżniania pojemnika po każdym sprzątaniu. To wygodne rozwiązanie, zwłaszcza w domach zamieszkałych przez alergików.

Cały brud trafia bowiem automatycznie do worka AllergenLock, który – według informacji producenta – zatrzymuje 99 proc. pyłków oraz pleśni. Wystarczy raz na miesiąc czy dwa miesiące wyrzucić worek, raz w tygodniu przetrzeć samo urządzenie z kurzu oraz przeczścić gumowe szczotki zbierające brud, sierść etc. i to już koniec obowiązków związanych ze sprzątaniem po robocie.

Wady? Poza wysoką ceną akurat ten model nie ma ich zbyt wiele. Oczywiście moc ssania mogłaby być większa (taką oferuje choćby model S9+). Posiadacze dużych mieszkań lub domów ucieszyliby się też zapewne z bardziej pojemnego akumulatora. Bateria w testowanym modelu ma jednak 1800 mAh pojemności, co pozwala na ok. 85 minut pracy. I tak jest więc naprawdę nieźle.

Za robota odkurzającego wraz ze stacją bazową z funkcją automatycznego opróżniania pojemnika na śmieci trzeba obecnie zapłacić 3599 zł. ©©

Jacek Przybylski

ZEGAREK MOŻE URATOWAĆ ŻYCIE

O-Boy. Tak nazywa się zegarek stworzony z myślą o podróżnikach, miłośnikach sportów ekstremalnych i... ich ratownikach. Odporne na kurz i wodę urządzenie (IP 68) zazwyczaj po prostu pokazuje czas. W sytuacji zagrożenia pozwala zaś wysłać czterem wybranym wcześniej kontaktom oraz odpowiednim służbom informację o dokładnym położeniu użytkownika i to nawet na terenach, gdzie zwyczajnie sieci telefonii komórkowej nie mają żadnego zasięgu. Zegarek korzysta bowiem z prywatnej sieci satelitarnej. O-Boy na jednym z portali crowdfundingowych kosztuje 265 euro (równowartość ok. 1,3 tys. zł). Do tego należy wykupić abonament za



korzystanie z usług – opcja „Rescue Me” kosztuje w przeliczeniu ok. 130 zł miesięcznie. Premiera zapowiadana jest na lipiec 2022 r.

GRAMOFON W WERSJI SMART

CoolGeek CS-01 to nowoczesny gramofon, który umożliwia zarówno odtwarzanie klasycznych płyt winylowych, jak i utworów ze smartfonów, tabletów czy komputerów (w tym przypadku treści strumieniowane są przesyłane bezprzewodowo za pośrednictwem modułu Bluetooth 5.0). Odtwarzacz wyposażony został w cztery głośniki, dzięki którym dobrze mają brzmieć zarówno niskie, jak i wysokie tony. Podobać może się też stylizowany na retro design urządzenia. Producent zapowiada premierę urządze-

nia na maj obecnego roku.

Cena na jednym z portali crowdfundingowych wynosi 349 dol. (równowartość ok. 1530 zł). ©©

Jacek Przybylski



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kropla z botoksu

Suma różnych czynników, małych, średnich, dużych, poważnych i mniej poważnych, ta suma ma zadziałać. Tak są pomyślane sankcje przeciw Rosji. Nie wiadomo, która kropla przeleje antyputińską czarę. Jakąż ironią losu byłoby, gdyby była to kropla z botoksu... Twitterowski profil Nexia podał, że „z powodu wojny na Ukrainie amerykańska firma biofarmaceutyczna AbbVie zawiesiła dostawy botoksu i innych najpopularniejszych produktów rosyjskiej medycyny estetycznej”. I ruszyły, proszę Państwa, figle. Że oprócz dobrze „dopompowanych” rosyjskich influencerek, zwanych – nie wiedzieć czemu – „glonojadami”, ucieprieć może wizerunek samego zbrodniarza Putina, który mając 70 lat, wydaje się być nazbyt wypełniony. Może jeszcze nie tak wypełniony jak polegający sobie Lenin, ale pewne podobieństwo zostało jednak zauważone. Zaroilo się od pytań, czy marszczący się Putin będzie posiadał powab przywódcy. A nawet czy po kilku tygodniach bez zastrzyków z policzkowych nadmuchów pomarszczuch zostanie rozpoznany przez swoich. Być może wtedy przewrót kremlowski nie musiałby być brany pod uwagę. Ochrona wygoniłaby nierozpoznanego dziada prośalnego z ciepłego na zimne i świat byłby lepszy. Zobaczymy.

Tymczasem Radosław Sikorski dał się poznać jako człowiek zdyscyplinowany i umiejący grać zespołowo. Poproszony o komentarz

w sprawie wizyty na Ukrainie premierów Polski, Czech, Słowenii i Jarosława Kaczyńskiego były minister spraw zagranicznych powiedział: „Kaczyński nie jest jedynym politykiem, który rozważał podróż do Kijowa, ja też to zaproponowałem, chociażby Parlamentowi Europejskiemu, ale ja czekam na zgodę, żeby to zrobić w imieniu Unii Europejskiej”.

Oczywiście doceniłem i doceniam wszystkie pozytywy płynące z tej wypowiedzi, pokazujące, że jesteśmy jednak częścią pewnej większej rodziny europejskiej i musimy czekać w przedpokoju na zgodę, żeby cokolwiek zrobić, ale mój wredny umysł przypominał mi natychmiast pewien dowcip: „– W tym roku znowu rozważam spędzenie wakacji na Zanzibarze. – O! Byłeś w zeszłym roku na Zanzibarze? – Nie, ale też rozważałem”.

Słynny rosyjski pianista Borys Berezowski zabrał głos w sprawie wojny: „Rozumiem, że nam tych ludzi żal, że jesteśmy wobec nich delikatni. Ale może powinniśmy przestać się z nimi cackać, domknąć obłężenie i po prostu odciąć ich od energii”. Ta jego wypowiedź o cackaniu zbiegła się w czasie ze zrzuceniem bomby na teatr w Mariupolu, w którym ukrywali się zwykli ludzie z dziećmi. Zamordowano co najmniej kilkuset cywili. Teza, że ruska propaganda robi wodę z mózgu tylko ludziom prostym, jest fałszywa. Na koniec Kukiz: „Kacapa można tylko za ryj i do gleby”. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Z rewolwerem w torebce

Małgośka, mówią mi, to już nie będzie felietonów z cyklu „Piórkiem i pistoletem”? Ano tak się porobiło, że za sprawą Władimira Groźnego a Nieobliczalnego wstąpiłam do klubu strzeleckiego. Od pewnego czasu przyświecała mi myśl ks. Twardowskiego, że „ze Złem trzeba walczyć, bo Zło nie tylko może uderzyć w prawy i lewy policzek, ale nawet całą głowę z policzkami oderwać”. No więc ja właśnie w kolejce po patent strzelecki, gotowa zdać wszystkie egzaminy, zaliczyć wszystkie zawody, byle tylko móc w świetle prawa się dobroić i precyzyjnie Złu łeb odstrzelić, jeśli po Ukrainie wejdzie też do Polski. Mnie akurat nie trzeba przypominać, jakie są moje powinności względem rodziny i kraju, bo ja nawet do ołtarza poszłam z oficerem Wojska Polskiego, aby wszystko było także „Ku chwale Ojczyzny!”.

Nigdy nie przeszłoby mi przez gardło śpiewać: „Sorry, Polsko, nie każ walczyć, nie każ ginąć / Nie chciej Polsko mojej krwi”. No ale ja nie jestem artystką Peszek, tylko dziennikarką Wołczyk, która uważa, że już czas, aby Polacy sami ruszyli w pospolitym ruszeniu do WOT i na strzelnice. Inna rzecz, że w tych nadzwyczajnych okolicznościach rząd powinien poluzować surowe przepisy w dostępie do broni. Ja rozumiem, że

zima zawsze zaskakuje drogowców, ale lepiej dla nas, żeby przynajmniej wojna nas nie zaskoczyła. Nie da się tak po prostu tkwić przed telewizorem, pocieszając się wielce głębokim filozoficznie stwierdzeniem, że „jakoś to będzie”. Mój śp. Dziadek całe życie powtarzał: „Bolszewicy wrócą” lub wymiennie: „Ruscy wrócą” (bo dla niego to były synonimy). I nikt mu nie był w stanie przetłumaczyć, łącznie z Fukuyamą z telewizora, że oto nastąpił koniec historii. „Taka ich natura, że zawsze wracają! Wspomnicie moje słowa!” – powtarzał aż do śmierci. I mimo pobłażliwych uśmiechów, jakie wysyłała mu wtedy cała rodzina, były dni, w których wyjmował wiatrówkę i zarządzał zawody strzeleckie, bo jego wnuczki musiały umieć strzelać. Później na strzelnicę zabierał mnie mąż i też zawsze szłam w podskokach, pomna dziadkowego zaklęcia, że „oni wrócą”, nawet jeśli wydawało się to wtedy kompletnie absurdalne.

Dziś zachęcam, by stare powiedzenie: „Si vis pacem, para bellum” stało się dla nas przykazaniem. Choć oczywiście cały czas mam nadzieję, że wojna szybko się skończy, nie obejmie Polski, a ja, jak przystało na rezolutną damę, będę nosić w stylowej torebce jeszcze bardziej stylowy rewolwer Smith & Wesson 37 i wyjmować go tylko na zawodach. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kręgi piekielne

Pamiętaj, że dwóch mamy wrogów: jednego z piekła niegodziwości, drugiego z piekła głupstwa rodem. Pierwszy to Azja, co nas przysięgła pochłoniąć, bo my jedni bronimy jej wstępu do Hesperydowych ogrodów zachodnich. Drugi to nasi krzykacze, małpy 93 roku, pedanty, układacze mimiki teatralnej mordów i rzezi na przyszłość; nic w nich jedno małpiarstwo, naśladowanie, a zatem głupstwo, lecz i głupstwo w danej chwili potężnym bywa". Tak pisał Zygmunt Krasiński do Bronisława Trentowskiego w styczniu 1847 r., tuż przed ogólnoeuropejską Wiosną Ludów.

Już kiedyś przytaczałem na tych łamach ten cytat, ale wiesz – analiza przypominała mi się, gdy w pierwszych dniach rosyj-

„reprodukcyjnych praw kobiet” – zamartwiał się o to, czy nakładane przez Rosję sankcje nie sprawią, że Putin wycofa się ze współpracy z Zachodem w realizacji „wspólnej polityki klimatycznej”. Martwił się senator Kerry, że wojna doprowadzi do „wzrostu emisyjności” i w ten sposób przyczyni się do niekorzystnych zmian klimatycznych. Oto „piekło z głupstwa rodem” i jeden z jego mieszkańców, przebywający w „ogrodach zachodnich” szturmowanych przez Azję.

Ten sam facet, który w ramach walki z emisyjnością gazów własnym odrzutowcem polecał na Islandię, by odebrać nagrodę dla zasłużonego w walce ze zmianami klimatycznymi, był szefem amerykańskiej dyplomacji, gdy Barack Obama

Rok Romantyzmu, który zbiega się z wojną rozpętaną przez Rosję – to opatrnościowa wręcz wskazówka.

Bliższy naszym czasom Książę Poetów pisał w „Potędzie smaku” o „włóknach duszy i chrząstkach sumienia”. Tych organów zupełnie jest pozbawiony moskiewski patriarcha Cyryl, który nie tylko nie zaapelował do Putina o zaprzestanie wojny, lecz także wręcz ją pochwalał. Pochwalał wojnę przeciw kobietom i dzieciom, przeciw rosyjskim mieszkańcom Charkowa bezlitośnie bombardowanym przez „oswobodzicieli”.

A coż powiedzieć o „włóknach i chrząstkach” papieża Franciszka, który nie podniósł jednoznacznego głosu sprzeciwu wobec agresora napadającego na sąsiedni kraj? Tym bardziej należą się słowa szacunku dla abp. Stanisława Gądeckiego za jego list do moskiewskiego patriarchy z apelem o sprzeciw wobec najezdniczej wojny rozpętanej przez Putina.

Taki jest wymóg zachowania się jak trzeba. Bez większej nadziei, że apel odniesie skutek. Nie mamy złudzeń. Ktoś, kto wysadza wieżowce we własnym kraju, by usprawiedliwić napaść na inny kraj, ktoś, kto gazuje ludzi w kinie i każe strzelać do dzieci w szkole, by „dopaść terrorystów nawet w wychodku”, ktoś, kto doszedł do wysokiego stopnia oficerskiego w KGB – ten nie będzie miał litości dla Ukraińców czy Rosjan w Charkowie, Kijowie czy Odessie. Tym mniej będzie miał litości dla nas czy dla Bałtów.

Czysto i wyraźnie, jak srebrne dzwony, brzmia dziś głosy dochodzące z wawelskiej krypty. Jeden mówi: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a potem może i mój kraj – Polska”, a drugi: „W czasie kryzysów strzeżcie się agentury”. Agentury z piekła głupstwa i niegodziwości. ©©

Ten sam facet, który własnym odrzutowcem polecał na Islandię, by odebrać nagrodę za walkę ze zmianami klimatu, był szefem dyplomacji USA, gdy Barack Obama realizował politykę resetu z putinowską Rosją

skiej agresji na Ukrainę przeczytałem w Internecie wypowiedź zatroskanego Johna Kerry'ego – senatora, sekretarza stanu w administracji Baracka Obamy i kandydata demokratów na urząd prezydenta USA w 2004 r. O co się troszczył człowiek, który przez jakiś czas kierował amerykańską polityką zagraniczną? O ofiary rosyjskiego bestialstwa? O tysiące kobiet i dzieci poddanych na Ukrainie całkiem realnej przemocy ze strony rosyjskich „oswobodzicieli”? O zbombardowane przez Rosjan szkoły, przedszkola i szpitale?

Otóż nie. John Kerry – jak przystało na katolika optymalizującego rozciągłość swojego sumienia aż do pełnej akceptacji

ogłaszał i realizował politykę resetu z putinowską Rosją. Takie to przedziwne korytarze między „piekłem z głupstwa” i „piekłem z niegodziwości rodem”.

A wiesz – już w 1849 r. pisał o „nitkach i niteczkach” zarzucających na Zachodzie przez „szpiegów moskiewskich”: „Mikołaj a komunizm jedno, zupełnie to samo – z Mikołaja wyjdzie komunizm, tak jak z komunizmu wyjdzie Mikołaj. Po całej Europie Mikołaj płaci komunistów i podżęga. Zawsze brzmiały w uszach słowa Apokalipsy. O dwóch bestiach, z których jedna wiecznie drugiej świadczy!”.

Jakże pilnie trzeba wracać do analiz Rosji czynionych przez tego ciągle zapomnianego wieszczka.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJARDZAW.SŁOŃSKI

The Explorers Club ma siedzibę na Manhattanie. Przy Central Parku, niedaleko domu Trumpa i Muzeum Historii Naturalnej. Gdy w Nowym Jorku umawiam się z kimś, by pogadać, to mnie często proszą, czy możemy iść do Explorers Clubu. Sami nie wejdą, bo nie są członkami – ja mogę wprowadzić, bo jestem u siebie.

Explorers Club ma bardzo reprezentacyjne wnętrza – czujesz się jak w XIX-wiecznej powieści o odkrywca, jak na okręcie kapitana Cooka lub w książce „W 80 dni dookoła świata”. Siadamy w skórzanym fotelach, zapraszam moich gości na kawę, koniak, cygara lub fajkę (nie palę, ale lubię wachać, gdy ktoś pali fajkę). Dokoła trofea z dawnych wypraw, kły słonia przy kominku, na ścianach poroża i wypchane głowy zwierząt upolowanych na safari. Przy każdym ekspozycji mośiężna tabliczka z nazwiskiem ofiarodawcy i to są NAZWISKA. Teodor Roosevelt (czyli ten lepszy z dwóch prezydentów Rooseveltów – ten, który budował, a nie niszczył Amerykę) ofiarował swoje trofea i wiszą. Jeszcze wiszą.

W poczet członków Explorers Clubu przyjął mnie oddział nowojorski, czyli centrala, i tam należę. W Polsce (gdzie istnieje Oddział Polski EC) miałem kłopoty, nazwijmy to, „towarzyskie” – wygłaszałem „oburzające” opinie i poglądy i to mnie wykluczało. Sytuacja w Polsce poprawiła się, gdy po latach zaczęto dostrzegać mój dorobek z dzungli, a nie tylko poglądy.

Niestety, w Nowym Jorku za chwilę złączą wywalczyć niektórych wybitnych odkrywców właśnie za poglądy. Cancel culture w natarciu.

Redaktor naczelny „National Geographic Polska”, któremu 20 lat temu przyniosłem do publikacji mój pierwszy bestseller, powiedział mi coś takiego: „Ta twoja książka jest wybitna, ale zanim ci ją wydamy, musisz się zdecydować, czy jesteś podróżnikiem czy komentujesz politykę”. Wstałem i wyszedłem. Nie wiem, czy zrozumiał, co mówię, gdy wychodząc, rzuciłem: „A Paderewski też musiał wybierać, czy jest światowy pianista czy polski dyplomata?”.

To jeden z wielu przykładów. Takie traktowanie nigdy mnie w Polsce nie dziwiło, choć zawsze wnerwiało. Za komuny dorobek był mniej ważny od poglądów i pochodzenia, miałem więc czas oswoić się ze zjawiskiem. Liczyłem jednak, że kiedyś zjawisko zniknie, gdy tymczasem...

Cancel culture, czyli kaszowanie ludzi ze względu na ich poglądy (często zmyślone), stało się zjawiskiem światowym, a centrum tego zjawiska są Stany Zjednoczone – niegdyś kraina wolności słowa, poglądów i wyznania.

Moja koleżanka z Explorers Clubu – Monika Rogozińska – przysłała mi prywatny list. Poprosiłem o zezwolenie na publikację. Oto, co napisała: „20 stycznia 2022 r. w Nowym Jorku usunięto pomnik prezydenta Theodore’a Roosevelta, laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Uznano, że pomnik »komunikuje hierarchię rasową«. Stał przed amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej od ponad 80 lat. Theodore Roosevelt był jednym z fundatorów muzeum, wzbogacał jego zbiory.

Był też członkiem The Explorers Club, czym Klub się szczylił, umieszczając w Trophy Room nowojorskiej siedziby upolowane przez niego zwierzęta. Ciekawa jestem, czy złączą się czystki w budynku Centrali?

Czy dobiórą się do innego słynnego członka Klubu, którego popiersie zdobi Centralę – Roberta Peary’ego? Mój ulubiony fragment dziennika tego polarnika to jego przepis na idealny zespół w arktycznych wyprawach:

»Jeden inteligentny biały człowiek będzie głową, dwaj inni biali mężczyźni, wybrani wyłącznie ze względu na odwagę, determinację i siłę fizyczną oraz oddanie osobie przywódcy, będą ramionami, a poganicze i tubylcy ciałem i nogami. Obecność kobiet jest absolutnie konieczna, aby mężczyźni byli zadowoleni, co więcej – są one prawie tak użyteczne jak mężczyźni, a jeśli chodzi o siłę i wytrzymałość, to prawie im dorównują».

Czy nie okaże się, że postać Roberta Peary’ego »komunikuje hierarchię genderową«?

Monika Rogozińska – polecam jej teksty. Są wybitne. Pierwszy artykuł M.R. przeczytałem w dzienniku „Rzeczpospolita” dawno temu („Do Rzeczy” jest kontynuacją tego, co w „Rzeczpospolitej” było najlepsze). Był to tekst o Majach, czyli mój teren, moja specjalizacja, MOJA domena, i nagle ktoś napisał o Majach coś lepszego niż ja.

Środowisk, które kasują ludzi ze względu na poglądy, nie da się nigdy obłaskawić

ani przekonać. Nie wysilaj się. Nigdy nie przepraszaj, nie tłumacz ze swoich poglądów. Jeżeli raz cię wykluczili, to już nigdy cię nie „włączą”. Za Stalina seanse samokrytyki nie poprawiały sytuacji osoby wykluczanej – nadal trafiało się do łagru, a wyrok był tak samo długi jak wobec osób, które postanowiły nie wypierać się siebie i nie liczyć władzy butów. Dziś w Chinach złożenie samokrytyki do kamer nie powoduje, że partia komunistyczna wybacz. W USA to samo i w Polsce bez zmian.

Zieloni gryzą mnie za „Boso przez świat” nakręcone w Wenezueli. Jest tam scenka, gdy stoję na żółtciu. Żółcie mają skorupę po to, by ktoś mógł na nie nadepnąć – na przykład bawół na sawannie – a jednocześnie, by im nie zrobił krzywdy (wiedza na poziomie podstawówki). Ten konkretny żółw to gatunek odporny do tego stopnia, że stanowi zagrożenie dla samochodów terenowych – najedziesz takiego jeepem i ty masz urwane koło, a żółw idzie sobie dalej.

Stanąłem więc na żółtciu i pokazałem do kamery, jaką ma wytrzymałość. Potem żółw został ugotowany i zjedzony, bo na wenezuelskiej sawannie stanowi pożywienie jak kura czy gęś. Zielonym tego tłumaczył nie będę, bo „nie zrozumiałem”. Złożyli doniesienie do prokuratury o znęcanie się nad zwierzętami. W ten sposób każdy rosół czy kielbaska jest wynikiem „znęcania się”, gdyż trzeba było zabić zwierzątko, zanim się zjadło obiad.

Odcinek powstał w roku 2009, czyli moja „zbrodnia” jest przedawniona. Kręciłem w kraju, gdzie żółcie stanowią codzienne pożywienie ludzi na wsi i nie są pod ochroną. Ale nawet jeżeli zieloni nie mają mnie jak skaza, to i tak należy mi się kancelacja – za prezentację naukową niezgodną z linią partii zielonych komunistów. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~577~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TERESA KOWALIK
I PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„WIELKIE DZIEDZICTWO POLAKÓW”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

233,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 344 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a0556657ee



#PomocDlaUkrainy

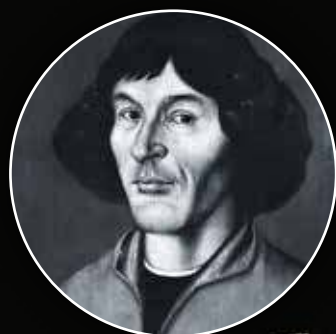
TY TEŻ MOŻESZ POMÓC, WPŁACAJĄC DOWOLNĄ,
NAJMNIEJSZĄ NAWET KWOTĘ.

Fundacja PKO Banku Polskiego uruchomiła specjalne konto do wpłat,
na rzecz pomocy dla Ukrainy. Środki trafią do organizacji bezpośrednio
zajmujących się wsparciem i opieką nad uchodźcami w Polsce.

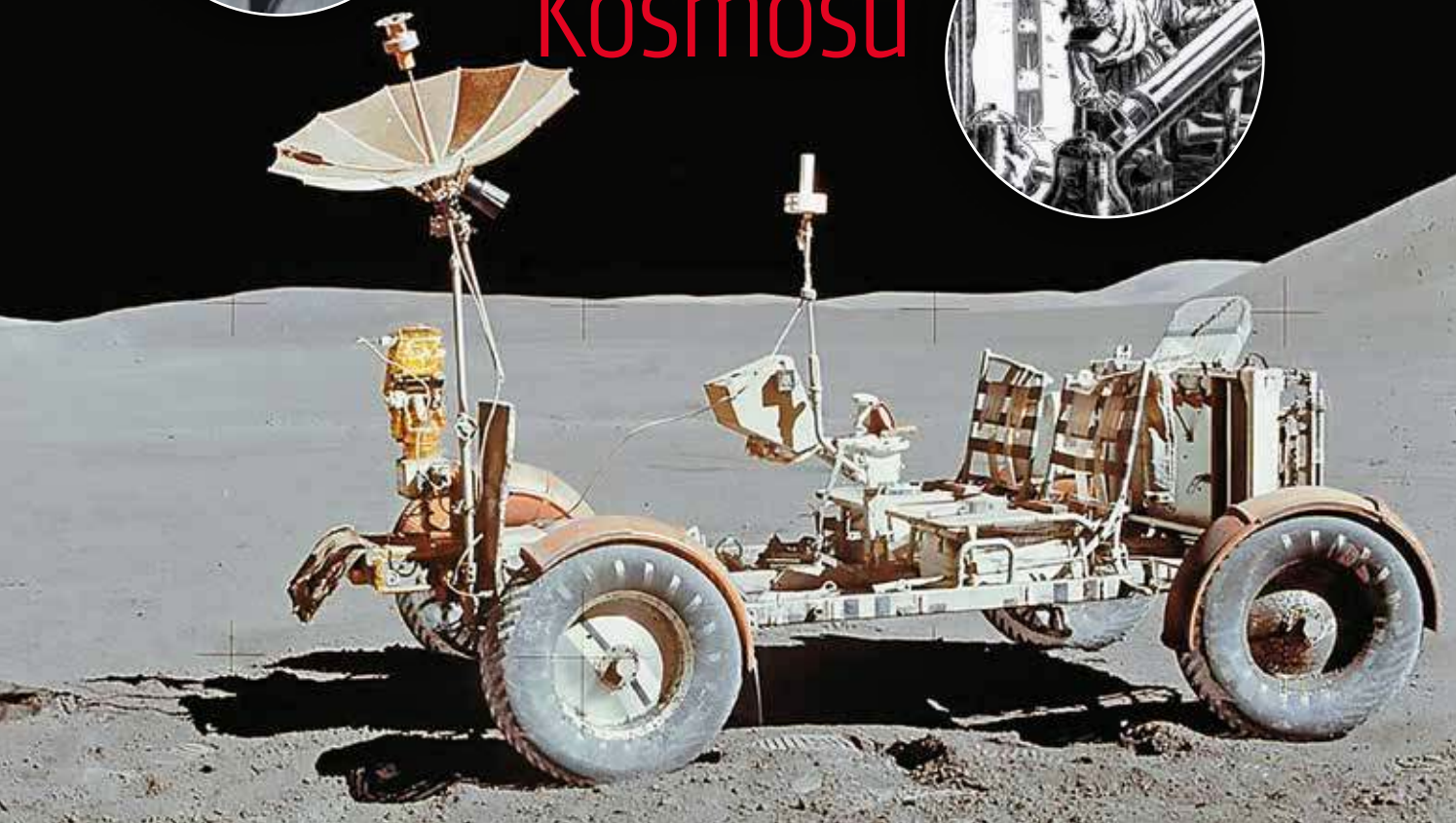
Dowiedz się więcej na temat akcji na stronie www.pkobp.pl.



Bank Polski



Polski podbój Kosmosu



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl a0556657ee

Polska – astronomiczne



Z dr. hab. Maciejem Mikołajewskim, astronomem, redaktorem naczelnym pisma „Urania – Postępy Astronomii” rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Jak ważne miejsce zajmuje Polska na światowej mapie badań kosmicznych?

DR HAB. MACIEJ MIKOŁAJEWSKI: Nasz wkład jest w tej dziedzinie olbrzymi, zwłaszcza w ostatnich dekadach. Osiągnięcia polskich astronomów są absolutnie nieproporcjonalne do wielkości naszego kraju.

To brzmi tak, jakbyśmy byli astronomicznym mocarstwem.

Myślę, że takie określenie nie będzie na wyrost. W ogromnej mierze zawdzięczamy to osiągnięciom tzw. warszawskiej szkoły astronomicznej, specjalizującej się w gwiazdach podwójnych i znanej na całym świecie. Zapoczątkował ją w latach 50. XX w. Profesor Stefan Ludwik Piotrowski, wybitny astronom, autor pionierskich prac w dziedzinie ewolucji układów podwójnych oraz ich dynamiki. Profesor Piotrowski „wychował” całą plejadę gwiazd polskiej astronomii,

m.in. Grzegorza Sitarskiego, Sławomira Rucińskiego, Krzysztofa Ziolkowskiego czy Krzysztofa Serkowskiego. Ci astrofizycy, mechanicy nieba, kontynuowali badania zapoczątkowane przez Piotrowskiego. Niektórzy z jego uczniów zdobyli światowy rozgłos i dokonali absolutnie fundamentalnych odkryć.

Wyjaśnijmy może najpierw, czym są gwiazdy podwójne.

Co najmniej połowa gwiazd na naszym niebie to właśnie gwiazdy podwójne. Na pewnym etapie ewolucji gwiazdy te znajdują się tak blisko siebie, że wymieniają się między sobą materią. To ma ogromny wpływ na przebieg ewolucji gwiazd, ich zachowania.

Gdybyśmy polecili raketą głęboko w naszą Galaktykę, to najpiękniejszymi obiektami, jakie zobaczylibyśmy przez okna, byłyby właśnie ciasne układy

podwójne, w których dochodzi do spektakularnych wybuchów. Można powiedzieć, że są to najbardziej artystyczne perły Drogi Mlecznej.

Jednak najwybitniejszym przedstawicielem polskiej astronomii i naukowym „ojcem” nas wszystkich – polskich astronomów – jest równoletek wymienionych przeze mnie naukowców, nieżyjący już Profesor Bohdan Paczyński, który również zajmował się gwiazdami podwójnymi. Był on istną kopalnią pomysłów. Profesor Paczyński inicjował kolejne projekty badawcze, które okazywały się niezwykle owocnymi pomysłami. Naukowiec ten dokonał również fundamentalnych badań w dziedzinie ewolucji gwiazd pojedynczych. To właśnie on określił, że jasność gwiazdy, w której wewnątrz znajduje się wypalone, tzw. zdegenerowane jądro, czyli biały karzeł, zależy od masy tego ostatniego.

mocarstwo



Polski teleskop w obserwatorium
w Chile. FOT. YURI BELETSKY/FNP.ORG.PL

To było przełomowe ustalenie?

Tak i do dziś jest to kanon wiedzy astronomicznej. Podobnie do astronomicznego kanonu przeszło wiele ustaleń Bohdana Paczyńskiego na temat ewolucji gwiazd podwójnych. To był człowiek o niezwyklej wyobraźni i intuicji, szczególnie w kontekście badania obrazów odległego Wszechświata.

O jakich odległościach tu mówimy?

O miliardach lat świetlnych, czyli są to odległości międzygalaktyczne. W tle Wszechświata zaczęto dostrzegać dziwne łuki, wyglądające jak połączenia między galaktykami. Bohdan Paczyński był jednym z pierwszych badaczy, którzy zrozumieli, że w istocie mamy tu do czynienia z soczewkami grawitacyjnymi. Dzieje się tak, gdy promienie zakrzywiane są przez pola grawitacyjne olbrzymich ciał niebie-

skich. Badania Bohdana Paczyńskiego na tym polu są nie do przecenienia.

Zanim przyjrzymy się bliżej najważniejszym osiągnięciom Polaków w dziedzinie badań kosmosu w XX i XXI w., przypomnijmy kilka ważnych wydarzeń z poprzednich stuleci. Kiedy Mikołaj Kopernik w 1491 r. rozpoczął studia na Akademii Krakowskiej, wykładano tam już astronomię. Jaką wartość miały wówczas takie studia?

Obawiam się, że była to bardziej szkoła astrologiczna niż astronomiczna w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Dzisiaj każdy zawodowy astronom uważa astrologię – przewidywanie przyszłości z układów planet – za pseudonaukę. Jednak przez długie stulecia astronomia i astrologia były w zasadzie tożsame. Umiejętność przewidywania położenia ruchomych ciał niebieskich potrzebna była np. do tego, by „stwierdzić”, czy król powinien rozpocząć wyprawę wojenną.

Jednak musimy pamiętać, że fundamentalne znaczenie dla Kopernika miał jego pobyt we Włoszech. Ówczesna Italia była na przełomie wieków XV i XVI istnym tygłem renesansu. Kopernik znalazł się w intelektualnym centrum ówczesnego świata. Miał wówczas dostęp do wszelkiej literatury, przede wszystkim jednak, jak sądzę, do zdobyczy astronomii arabskiej. Co ważne w tym kontekście, właściwie całą naukę starożytną do czasów renesansu przechowali naukowcy arabscy. Jednym z nich był Ibn asz-Szafir, który stworzył absolutnie wspaniały pod względem matematycznym model ruchu Księżyca. Kopernik prawdopodobnie miał dostęp do dzieł tego astronoma.

Czyli nasz genialny astronom dokonał swojego przewrotu właśnie dzięki inspiracji, którą znalazł na południu Europy?

Bez wątpienia tak właśnie było.

Do czego można byłoby dziś porównać jego ustalenia?

Myślę, że odkryciami na podobną skalę co heliocentryzm były odkrycia ekspansji Wszechświata oraz reliktoowego promieniowania tła. To dwa najważniejsze odkrycia XX w., które pokazały nam, że choć Wszechświat jest ogromny, to jednak jest skończony.

Nawiasem mówiąc, w XIX w. wydano wszystkie dzieła Kopernika, przede wszystkim „De revolutionibus orbium coelestium” w tłumaczeniu Jana Baranowskiego. To unikatowe tłumaczenie, jedyne na świecie na język nowożytny, które – co ważne – zostało dokonane przez astronoma. W tamtych czasach każdy wykształcony człowiek znał łacinę. Wszystkie późniejsze tłumaczenia są o wiele mniej wiarygodne. Wraz z kolegą Robertem Szajem z Fundacji Nicolaus Copernicus wydaliśmy reprint tłumaczenia Baranowskiego i właśnie przygotowujemy kolejną edycję.

Żyjący 100 lat później Jan Heweliusz zasłynął głównie z map Księżyca.

Były one bardzo dobrej jakości i użytkowano je jeszcze przez ponad 100 lat po jego śmierci. Heweliusz zasłynął też z wytyczania gwiazdozbiorów. Część nadanych przez niego nazw przetrwała zresztą do dziś.

Jednym z takich gwiazdozbiorów jest Tarcza. Chociaż jeszcze niedawno znany był on jako Tarcza Sobieskiego.



Mikołaj Kopernik wśród innych astronomów świata – rycina autorstwa Jana Styiego FOT. WELLCOME IMAGES

■ Międzynarodowa Unia Astronomiczna nie dopuszcza umieszczania nazwisk na sferze niebieskiej i dlatego usunięte zostały z nieba wszystkie „królewskie” nazwy gwiazdozbiorów, a było ich całkiem sporo.

Nawiasem mówiąc, obserwacje Heweliusza łączą się w ciekawy sposób z badaniami Profesora Romualda Tylandy, który stworzył teorię tzw. czerwonych nowych. Jedną z obserwowanych przez niego gwiazd stała się w pewnym momencie najbardziej czerwoną gwiazdą na niebie. Była to V838 Monocerotis. Tylanda wykazał, że musiało to być zderzenie dwóch gwiazd. Spotykał się on początkowo ze sceptycyzmem ze strony innych astronomów, do czasu, gdy odkrył gwiazdę podwójną, która na naszych oczach zlała się w jedną i doszło do wybuchu charakterystycznego dla czerwonej nowej. To samo stało się w przypadku V838 Monocerotis, a także tzw. nowej Heweliusza, czyli CK Vulpeculae, której dziwne zachowanie stało się w tym kontekście zrozumiałe. Heweliusz obserwował po prostu czerwoną nową.

Czy jest sens porównywać Kopernika i Heweliusza?

Nie, to są zupełnie inne „ligi”, jeżeli chodzi o badanie Kosmosu. Chociaż niewykluczone, że gdyby Heweliusz nie musiał zajmować się równolegle handlem i warzeniem piwa, a także gdyby miał tak wielkie szczęście jak Kopernik

i znalazł się w miejscu bardziej sprzyjającym rozwojowi jego intelektu, to mógłby osiągnąć o wiele więcej. Nie sposób mu bowiem odmówić ogromnych talentów.

Nawiasem mówiąc, bardzo pomagała mu w badaniach astronomicznych druga żona – Elżbieta Koopman. To była niezwykle uzdolniona astronomka. To właśnie ona spisała i przygotowała do druku ostatnie dzieło Heweliusza.

W czasie zaborów polska astronomia znajdowała się chyba na peryferiach tej nauki?

Raczej tak, chociaż nawet pod zaborami Polacy nie przestawali interesować się niebem. Spośród badaczy z przełomu wieków XVIII i XIX na pewno należy wymienić Jana Śniadeckiego. Pod zaborami powstały obserwatoria w Krakowie, Warszawie i Wilnie, ale musimy też pamiętać, że pełniły one głównie funkcję użytkową. Obserwatoria dbały o precyzyjne odmierzanie czasu oraz badania meteorologiczne.

Wiek XIX oraz znaczna część XX w. to okres wielkich sukcesów mechaniki nieba, gdy rozwijano umiejętność obliczania orbit planetoid i komet. Duży nacisk kładziono wówczas na poszukiwanie komet. Z takim wyobrażeniem o astronomii nasi naukowcy weszli w polską niepodległość. Co ciekawe, u zarania niepodległej Polski nasza astronomia żyła antagonizmem dwóch wybitnych badaczy. Ich konflikt to według mnie idealna inspiracja dla jakiegoś zdolnego pisarza.

Z jednej strony mamy tu Tadeusza Banachiewicza z Krakowa, który był astronomem „klasycznym”. Liczyły się dla niego tylko obliczenia ruchu komet czy planetoid. Z drugiej strony, w Wilnie pracował Władysław Dziwulski. Rozumiał on, że przyszłość astronomii to astrofizyka, czyli badanie Wszechświata metodami fizycznymi. W tym samym czasie takie podejście zyskiwało coraz większe uznanie wśród badaczy z prestiżowego Harvard College Observatory, więc Polska była w awangardzie zmian. Nawiasem mówiąc, to właśnie dzięki Dziwulskiemu i jego uczniom, Wilhelminie Iwanowskiej, tak dobrze rozwinęła się w Toruniu radioastronomia.

W cyklu dokumentalnym „Astronomia niepodległa”, w którym odpowiadał pan za scenariusz, pojawia się temat dwóch niezwykle filmów dokumentalnych z lat 20. Nawet największy laik musi przyznać, że już 100 lat temu polscy naukowcy w bardzo zajmujący sposób potrafili opowiadać o Kosmosie.

Te dwa filmy to absolutne białe kruki. Najpewniej są to najstarsze polskie filmy naukowe i jedne z najstarszych na świecie.

W jednym z filmów pojawia się chronokinematograf. Co to za urządzenie?

To wynalazek doc. Kazimierza Kordylewskiego służący do obserwacji zaćmień Słońca. Powstały cztery takie urządzenia. Chodziło o to, by na taśmie filmowej oprócz obrazu przedstawiającego zaćmienie zanotować jednocześnie sygnał czasowy emitowany z chronometru. Gdyby nie te filmy, nawet nie wiedzielibyśmy, jak działały te urządzenia.

Dwudziestolecie międzywojenne to też powstanie pisma, którym kieruje – „Uranii”. Stworzyło je trzech warszawskich maturzystów – Stefan Kaliński, Jan Mergentaler i Stanisław Mrozowski. Po wydaniu trzeciego numeru musieli jednak zawiesić działalność wydawniczą i iść na wojnę z bolszewikami.

Jeżeli rozmawiamy o astronomii w II RP, to nie sposób nie wymienić tu dr Heleny Kazimierczak-Połońskiej, wybitnej przedstawicielki klasycznej szkoły astronomicznej. Można podejrzewać, że gdyby nie wojna, Połońska osiągnęłaby wielkie rzeczy. Astronomia nie była jednak najważniejszą kwestią w jej życiu – była to głęboko wierząca osoba. 8 maja 1945 r. wsiadła do jedyne- go repatriacyjnego pociągu do Moskwy



Gwiazda zmienna V838 Monocerotis

FOT. NASA AND THE HUBBLE HERITAGE TEAM

i pojechała do Sowietów ratować tam... prawosławie. Skończyło się to dla niej zesłaniem, a potem pracą w charakterze nauczycielki na prowincji. To wyjątkowa postać wśród polskich astronomów. Gdy po śmierci Stalina znalazła się w Lenin-gradzie, w swoim mieszkaniu prowadziła coś w rodzaju azylu dla wizytujących Związek Sowiecki polskich artystów i uczonych. Polska Cerkiew prawosławna czyni starania o kanonizację Matuszki Heleny Połońskiej.

Po wojnie rozpoczyna się nowy rozdział w badaniu Kosmosu przez Polaków.

Najpierw jednak polska astronomia musiała się odrodzić ze zgliszczy. Proszę przy tym pamiętać, że była to druga odbudowa w ciągu zaledwie ćwierćwiecza. Szczególnie prezentuje się w tym kontekście historia obserwatorium na górze Pop Iwan, zbudowanego na wysokości ponad 2 tys. m n.p.m. Dziś to tereny należące do Ukrainy. To bardzo bogato wyposażone obserwatorium ze świetnym sprzętem nie miało szczęścia w polskich rękach – zostało otwarte tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej i wkrótce zniszczyli je Sowieci.

W tak biednym kraju jak Polska odradzanie się astronomii było ogromnym wyzwaniem, ale za każdym razem nasi naukowcy nadzwyczaj szybko odtwarzali konieczną infrastrukturę.

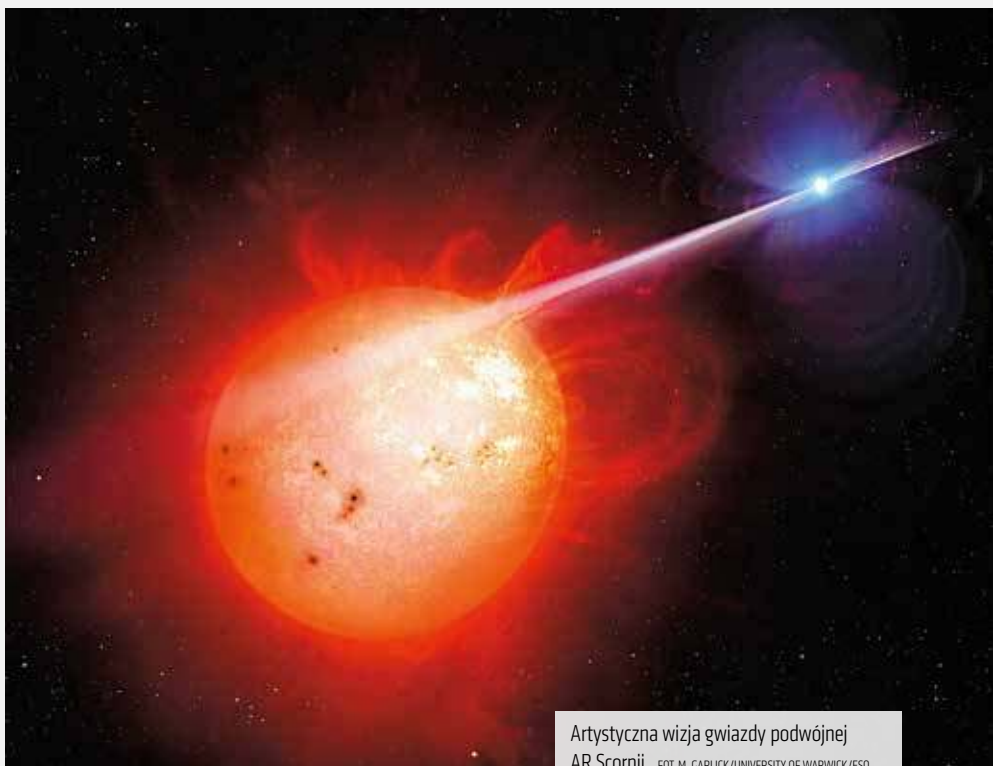
Astronomowie z Wilna przenieśli się do Torunia (gdzie zresztą wykładałem przez ponad 40 lat). W tej grupie był m.in. Władysław Dziewulski. Przed wojną zorganizował on dla obserwatorium wileńskiego półmetrowy teleskop z pierwszym w Polsce spektrografem. Nawiasem mówiąc, Litwini do dziś

używają tego instrumentu. Otwartość uczniów Dziewulskiego na nowe dziedziny badań zaowocowała po latach budową 32-metrowego radioteleskopu w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Piwnicach. Dziś to największe takie urządzenie w naszej części Europy.

Które odkrycia w powojennej historii polskiej astronomii zasługują na szczególną uwagę?

Na początku naszej rozmowy wspominałem o wkładzie Polaków w badanie ewolucji układów podwójnych. Kolejnym ważnym polem badawczym są tzw. dyski akrecyjne. Śmiało można powiedzieć, że teoria i obserwacje dysków akrecyjnych stały się specjalnością polskich astrofizyków. Dyski akrecyjne to po prostu wirujące pyły i gazy, które tworzą się wokół jednej z gwiazd podczas wymiany materii między składnikami układu podwójnego. Materia opadająca poprzez dysk na zwarty centralny obiekt rozgrzewa się i świeci mocnym światłem. Okazało się, że podobne dyski, na nieporównywalnie większą skalę, mogą się tworzyć również wokół supermasywnych czarnych dziur. Tracą wtedy wygląd standardowego dysku i „pęcznieją”. W środowisku astronomów, z uwagi na wkład Marka Abramowicza i innych Polaków w badanie tego zjawiska, nazywa się je „Polish doughnuts” („polskie pączki”).

Źródłem inspiracji dla większości tych badań był Bohdan Paczyński, ale



Artystyczna wizja gwiazdy podwójnej

AR Scorpii

FOT. M. GARLICK/UNIVERSITY OF WARWICK/ESO

ogromne zasługi mają jego liczni koledzy. Józef Smak wyjaśnił naturę tzw. nowych karłowatych. Fundamentalne badania podwójnych gwiazd kontaktowych, przypominających wyglądem kosmiczne hantle, prowadzili Sławomir Ruciński i Kazimierz Stępień. Koniecznie trzeba też wspomnieć o pracy Krzysztofa Serkowskiego, który w latach 60. dokonał w USA fundamentalnych obserwacji polaryzacji światła gwiazd. W ten sposób potwierdzone zostało istnienie chmur pyłu międzygwiazdowego.

Opowiadając o historii polskich odkryć astronomicznych, nie możemy zapomnieć o tzw. księżycach Kordylewskiego. Co kryje się za tą intrygującą nazwą?

To pewnego rodzaju ciekawostka. Docent Kazimierz Kordylewski zapisał się w historii polskiej astronomii odkryciem tzw. pyłowych księżyców Ziemi. Są to olbrzymie zgęszczenia pyłu, które obiegają Ziemię po tej samej orbicie co Księżyc. Kordylewski ogłosił to odkrycie w 1961 r., ale dopiero w 2018 r. węgierscy astronomowie jednoznacznie potwierdzili istnienie księżyców pyłowych.

Historia polskiej astronomii to też aparatura badawcza. Jakie sukcesy odnieśli na tym polu nasi naukowcy?

Najsłynniejszy jest w tym kontekście warszawski projekt OGLE (ang. The Optical Gravitational Lensing Experiment), którego celem jest badanie



Pomnik Mikołaja Kopernika w Toruniu
FOT. ADOBE STOCK

■ w Las Campanas Observatory w Chile soczewkowania grawitacyjnego. Początkowo projekt ten realizowany był za pomocą metrowego teleskopu wypożyczonego od Amerykanów. Polacy kupili jednak następnie teleskop o średnicy ok. 1,4 m. W ciągu 30 lat badań OGLE zaobserwowano bardzo wiele zjawisk mikrosoczewkowania grawitacyjnego, dokonano także milionów innych obserwacji i odkryć, np. gwiazd zmiennych.

Projekt OGLE to prekursor najbardziej współczesnej odsłony astronomii, w szczególności teleskopu „Vera Rubin” budowanego w Chile. Mowa o 10-metrowym teleskopie, którego zadaniem będzie przegląd całego nieba. Możemy być dumni, że pierwszym naprawdę znaczącym na świecie projektem kompleksowego przeglądu nieba, czyli obserwacji miliardów gwiazd, był właśnie projekt OGLE. To wciąż dla astronomów niezwykła kopalnia danych. Jednym z odkryć Polaków pracujących w Las Campanas było wspomniane przeze mnie wcześniej zderzanie się gwiazd, które uświadomiło nam czym są czerwone nowe.

Nie możemy też zapomnieć, że Polska ma swój udział w budowie potężnego teleskopu SALT (ang. Southern African Large Telescope) w południowej Afryce. W bardzo owocny sposób do badania kwazarów i ekspansji Wszechświata korzysta z niego Bożena Czerny. Ośmielę się powiedzieć, że to obecnie najwybitniejsza polska astronomka.

Widać, że Polacy są mocno skupieni na półkuli południowej.

Zgadza się. Największym wydarzeniem „aparaturowym” w polskiej astronomii było przystąpienie Polski do projektu ESO (Europejskie Obserwatorium Południowe – ang. European Southern Observatory) w Chile. Rocznie płacimy kilkadziesiąt milionów złotych składki na budowę największego teleskopu na świecie o średnicy 32 m. Ten projekt otwiera przed astronomami gigantyczne możliwości i wart jest każdych pieniędzy. Przystąpienie do ESO było strategicznym celem Polskiego Towarzystwa Astronomicznego, w którym przez kilkanaście lat pełniłem funkcję wiceprezesa. Warto jeszcze wspomnieć, że w 2012 r. Polska przystąpiła do ESA, czyli Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Rozmawiając o polskich badaniach Kosmosu w ostatnich dekadach, nie możemy nie wspomnieć o odkryciach Aleksandra Wolszczana, które na początku lat 90. zelektryzowały świat nauki.

W 1991 r. Aleksander Wolszczan odkrył wraz z kanadyjskim radioastronomem Dalem Frailem pierwsze planety pozasłoneczne. Otworzyło to jedną z najbardziej dynamicznie rozwijających się dziedzin astrofizyki. Poza poszukiwaniem samych planet pozasłonecznych poszukuje się też całych pozasłonecznych układów planetarnych. Dziś znamy ich już tysiące!

Jak widać, genialnych Polaków odkrywających Kosmos jest bardzo wielu, ale i tak pod względem rozgłosu żaden z nich nie może się równać z Miroslawem Hermaszewskim, pierwszym – i jedynym na razie – Polakiem w Kosmosie.

Hermaszewski to też fragment tej historii, choć jego przygoda z Kosmosem miała zupełnie inny charakter.

Może nie jesteśmy największą potęgą, jeżeli chodzi o budowanie rakiet, ale wkład Polaków w konstruowanie łazików – księżycowych i marsjańskich – zdaje się całkiem okazały.

Tak. Mieczysław Bekker nadzorował konstruowanie łazika księżycowego (Lunar Roving Vehicle), który brał udział w misjach Apollo. Pamiętajmy jednak, że pojazd ten skonstruowany został w USA.

W ostatnich latach Polacy dali się poznać jako specjaliści od budowania penetratorów służących do badania gleby na innych ciałach niebieskich. Jeden z nich poleciał nawet na Marsa.

Jeszcze zanim powstały nasze firmy z sektora kosmicznego, ważne osiągnięcia w budowie wysoko zaawansowanych instrumentów dla sond miało Centrum Badań Kosmicznych PAN. Pierwsza polska aparatura naukowa poleciała na pokładzie sowieckiego satelity „Kopernik 500”. Wspomniany wcześniej Profesor Ruciński zainicjował lot dwóch polskich miniteleskopów orbitalnych: „Lem” i „Heweliusz”.

Duży instrument badawczy buduje dziś w ramach Europejskiej Agencji Kosmicznej Agata Różańska. ATHENA to narzędzie do badania promieniowania rentgenowskiego. Ma ono pomóc rozstrzygnąć, czym tak naprawdę jest materia międzygalaktyczna. To ma kolosalne znaczenie dla wyjaśnienia ewolucji całego Wszechświata.

Polskie astronomiczne mocarstwo ma przyszłość?

Tak, starsze pokolenie polskich astronomów może spokojnie przekazać „pałeczkę” młodszemu. Nie brakuje w nim ogromnych talentów. Przykładowo nasza młoda badaczka, Aleksandra Hamanowicz, która ledwie kilka lat temu jako uczennica była laureatką olimpiady astronomicznej, dziś trzyma w swoich rękach joysticki do teleskopu Jamesa Webba, czyli jednego z najwspanialszych osiągnięć światowej astronomii.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor habilitowany Maciej Mikołajewski jest emerytowanym astronomem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, redaktorem naczelnym magazynu „Urania – Postępy Astronomii” oraz współautorem telewizyjnego serialu naukowego „Astronarium”.

Astrolabium arabskie z 1054 r. Dar
Marcina Bylicy FOT. MUZEUM UNIWERSYTETU
JAGIELLOŃSKIEGO



Przedkopernikańscy wizjonerzy



Radosław Wojtas

Polska astronomia ani nie kończy się, ani nie zaczyna na Mikołaju Koperniku. Przed tym najwybitniejszym z polskich astronomów działali inni naukowcy, których dokonania nie pozostały bez wpływu na przewrót w postrzeganiu i rozumieniu wszechświata, którego dokonał Kopernik

O początkach astronomii na ziemiach polskich niewiele wiadomo. Wiedza astronomiczna rolniczemu ludowi, który ani nie był ludem żeglarskim, ani koczowniczym, nie była zbyt potrzebna. Wystarczyły podstawy pozwalające zorientować się w porze dnia po pozycji Słońca, nocy po pozycji Księżyca i gwiazd oraz znajomość kilku konstelacji, których pojawianie się w określonych częściach nieba bywało sygnałem do rozpoczęcia określonych prac rolniczych.

Zaczął się to zmieniać po chrzcie Polski, bo wraz z nową religią zaczynała rozwijać się i nauka. Dotyczyło to także astrologii i astronomii, jednak – na co zwraca uwagę Feliks Kucharczyński w tekście „O astronomii w Polsce. Materiały do dziejów tej nauki w naszym kraju” z 1872 r. – „Po wprowadzeniu religii chrześcijańskiej, pomimo że przybyła wraz z nią oświata krzewić się w Polsce zaczęła, wiadomości jednak astronomiczne narodu naszego pozostały na tym samym co i poprzednio stopniu. Choć bowiem sprowadzeni do Polski benedyktyni zapewne znać musieli główne zasady; z powodu jednak, że Polska do ich przyjęcia nie była jeszcze dostatecznie przysposobiona, zupełnie ich poza obrębem murów klasztornych nie rozpowszechniali. [...] w owym czasie kwitły u nas inne nauki, mianowicie też matematyczne [...]”.

„Zdrowie i życie” astronomii zależy – zauważa z kolei Karol Libelt w artykule „O astronomii w Polsce” („Tygodnik Literacki Poznański”, 1849) – „od wzrostu nauk matematycznych, które Polacy zawsze chętnie u siebie uprawiali, z natury czując do nich wiele upodobania”.

Kiedy na ziemiach polskich narodziła się nauka zwana astronomią? – Uchwytaną cezurę stanowi ufundowanie ok. 1405 r. w odnowionej Akademii Krakowskiej katedry matematyki i astronomii, a co za tym idzie – systematyczne nauczanie studentów i wykładowcy, którzy byli również zobowiązani do tworzenia literatury astronomicznej – mówi „Do Rzeczy” prof. dr hab. Jarosław Włodarczyk, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk, Instytutu Historii Nauki PAN w Warszawie. – Wcześniej mamy do czynienia z fragmentarycznymi źródłami rękopiśmiennymi i ze sporadycznymi informacjami o uczonych, którzy w jakiś sposób identyfikowali się z ziemią

■ polskimi, ale często karierę robili na Zachodzie – dodaje.

ŚLĄSKI POLIMAT

Na dwa wieki przed tą datą, ok. roku 1230, na Śląsku, prawdopodobnie w Legnicy, w niezamożnej rodzinie plebejskiej przyszedł na świat chłopiec o nieprzeciętnym umyśle. Wileton (zm. pomiędzy 1280 a kwietniem 1314 r.), zwany też Witelo, Vitello, Vitellio, Vitelo lub Erazmem Ciołkiem (łac. Vitellus), żył w czasach rozbiicia dzielnicowego, ale bez wątpienia czuł się Polakiem. W swoich zapiskach nazywa siebie „Vitello filius Thuringorum et Polonorum” (Vitello syn Turyngów i Polaków), pisze też „in terra nostra, scilicet Poloniae” („w naszym kraju, Polsce”).

Edukację rozpoczął Wileton w przyklasztornej szkole w Legnicy, gdzie też wstąpił do zakonu. Szybko okazało się, że chłopak to polimat – późniejszy fizyk, matematyk, filozof, badacz zagadnień z dziedziny optyki, psychologii spostrzegania, astronomii i meteorologii – o dużym talencie, dla którego otworzyły się drzwi europejskich uczelni. Wyjechał do Paryża, gdzie studiował sztuki wyzwolone i gdzie miał możliwość zaznajomienia się z pracami uczonych arabskich. Następnie z księciem Władysławem (ur. ok. 1225, zm. 1281/1282), synem Henryka II Pobożnego, którego – ks. Władysława – był duchowym przewodnikiem, wyjechał Vitello na studia do Italii. W Padwie zgłębiał prawo kanoniczne, filozofię i nauki ścisłe. Przebywał też w okolicach Rzymu, gdzie poznał Wilhelma z Moerbeke (ur. ok. 1215, zm. ok. 1286) i zaprzyjaźnił się z nim. Ten filozof i teolog, ceniony tłumacz klasycznych dzieł z greki, zainspirował Polaka do zainteresowania się optyką. Dlatego też to jemu Wileton zadedykuje później swoje traktaty.

W dziedzinie optyki Polak prezentował nowatorskie poglądy, rozważając m.in. prostoliniowe rozchodzenie się światła, jego odbijanie, rozpraszanie, załamanie, świetlne zjawiska meteorologiczne. Do dziś zachowały się tylko dwa z co najmniej ośmiu napisanych przez Wiletona traktatów. Traktatów cenionych, studiowanych przez wieki. Dorobek jednego z pierwszych europejskiej sławy naukowców mówiących o sobie „ja – Polak” poznawali po latach



Strona tytułowa traktatu Wiletona o optyce FOT. DOMENA PUBLICZNA

tacy giganci jak Leonardo da Vinci czy Mikołaj Kopernik.

Pisma Wiletona taktujące o astronomii – „De partibus universi” („O częściach świata”) oraz „Scientia motuum caelestium” („Nauka o ruchach niebieskich”) – niestety nie zachowały się do naszych czasów. Ale wiemy, że Polak miał poglądy dość oryginalne. Podzielał on na przykład teorię, że świat składa się ze zniszczalnej sfery podksiężycowej oraz niezniszczalnej i wiecznej sfery nadksiężycowej. Zapewne zainteresowanie optyką Wiletona było powodem wysnucia przez niego wniosku, że najważniejszym zjawiskiem przenikającym obie strefy było światło.

Dorobek polskiego polimata został doceniony przez Międzynarodową Unię Astronomiczną, która na jego cześć nazwała w 1935 r. jeden z kraterów na Księżycu – Vitello.

FRANCO DE POLONIA

Nieco później, także na Śląsku, urodził się chłopiec, który dał się poznać światu jako Franco de Polonia. Nie wiemy o nim zbyt wiele, nie znamy daty jego urodzenia i śmierci, z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy jednak przyjąć, że studiował w Paryżu. W stolicy Francji z pewnością działał już jako magister sztuk wyzwolonych. Tam też przed 2 lipca 1284 r. popełnił Franko z Polski „Tractatus turketi” („Traktat o torkwetum”). Czym jest owo torkwetum/torquetum? To przyrząd do demonstracji zagadnień astronomii sferycznej. Umożliwiał pomiary współrzędnych ciał niebieskich w trzech układach: horyzontalnym, rów-

nikowym i ekliptycznym oraz konwersję pomiędzy tymi układami bez wykonywania dodatkowych obliczeń.

O innej działalności Franka nie wiemy w zasadzie nic. Ale torkwetum było przyrządem cenionym i wykorzystywanym przez astronomów przez stulecia, a sam traktat Polaka był wielokrotnie powielany. Konstrukcja przyrządu była rozważana jeszcze w pracach Johanna Regiomontana (ur. 1436, zm. 1476) i Petera Apianusa (ur. 1495, zm. 1552).

Do dziś zachowało się ledwie kilka oryginalnych torkwetów będących w codziennym użyciu przed wiekami. Jeden z ocalałych egzemplarzy znajduje się w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pochodzi z drugiej połowy XV w.

KRAKOWSKA SZKOŁA ASTRONOMII

Feliks Kucharzewski w cytowanym już tutaj opracowaniu „O astronomii w Polsce” pisze: „Z chlubą powiedzieć możemy, że w dziejach astronomii naród nasz w gronie innych zaszczytnie, bo jedno z pierwszych, zajmuje miejsce. Na niebie Uranii polskiej jaśniej niezaćmionym blaskiem imię Kopernika, którego narodowość polska przez nas dowiedziona, a przez ogół cudzoziemców uznana została; a otaczają je w koło, godny tworząc wieniec, imiona innych jeszcze astronomów naszych, którzy pracami swymi zdołali sobie zyskać w dziejach astronomii długotrwałą pamięć. Nauka ta kwitła u nas, a nawet przy końcu XVgo i na początku XVIgo stulecia żywiej niż w innych krajach”.

Rozkwit astronomii w Polsce w wieku XV zbiega się z rozkwitem Akademii Krakowskiej i bezpośrednio z niego wynika. To za sprawą uczonych spod Wawelu, którzy zainteresowali się astronomią, wyrósł Kraków – obok Wiednia, Norimbergi czy Erfurtu – na jeden z najważniejszych europejskich astronomicznych ośrodków naukowych.

To właśnie od pierwszych lat XV w., od ufundowania ok. 1405 r. w odnowionej Akademii Krakowskiej katedry matematyki i astronomii, notuje się rozwój polskiej astronomii w uchwytnej postaci. Dzięki temu już od połowy XV w. można mówić o istnieniu krakowskiej szkoły astronomii. W Krakowie objaśniano podstawowe traktaty i tablice astronomiczne, tworzone efemerydy zawierają-

ce informacje o mających się wydarzyć ciekawych zjawiskach astronomicznych, tworzone komentarze do współczesnych dzieł zachodnich uczonych i do traktatów antycznych, sporządzano i drukowano kalendarze, co stanowiło istotny zastrzyk pieniędzy pozwalających na rozwój akademii.

– Ówczesna astronomia opierała się na modelu geocentrycznym stworzonym przez Klaudiusza Ptolemeusza w II w. w Aleksandrii. Na tej podstawie w drugiej połowie XIII w. powstały w Europie tablice astronomiczne, tzw. tablice alfonsyńskie (od mecenasa króla Alfonsa X Mądrego), które były w powszechnym użyciu przez astronomów, astrologów i lekarzy aż do XVI w. Pozwalały one obliczać położenie planet według modelu Ptolemeusza na dowolny moment. Jedną z pierwszych książek, które Mikołaj Kopernik nabył, rozpoczynając studia w Krakowie, było czwarte wydanie tych tablic z 1492 r. Tak wyglądała ówczesna astronomia matematyczna – mówi prof. dr hab. Jarosław Włodarczyk. – Natomiast

filozofia przyrody debatowała nad realnością i naturą sfer niebieskich, mających unosić planety i gwiazdy krążące wokół Ziemi. Porządek był następujący: Księżyc, Merkury, Wenus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn i sfera gwiazd, wirująca w oszalałym tempie w ciągu 24 godzin. Zastanawiano się też, czy skomplikowane rozwiązania astronomii matematycznej można włączyć do tego systemu sfer, nie rujnując jego architektury – dodaje.

Renoma polskiego ośrodka rosła, zwołany w roku 1431 sobór bazylijski zwrócił się do Akademii Krakowskiej z propozycją opracowania reformy kalendarza. Kiedy Marcin Król (ur. ok. 1422, zm. 1460), wychowanek Akademii Krakowskiej (studiował również za granicą), który kierował później katedrą matematyki i astronomii tejże akademii, ufundował w Krakowie samodzielną katedrę astronomii, Kraków wyrósł na jeden z najważniejszych w tej części kontynentu ośrodków badań astronomicznych.

INSPIRATORZY KOPERNIKA

Marcin Król nie dożył 40. urodzin, ale w swoim niedługim życiu zdążył wypracować pozycję cenionego astronoma, matematyka i lekarza oraz wykształcić wybitnych następców. Jednym z jego uczniów był Marcin Bylica z Olkusza (ur. ok. 1433, zm. ok. 1493), uczony europejskiego formatu, który z Regiomontanusem (właśc. Johannesem Müllerem; ur. 6 czerwca 1436, zm. 6 lipca 1476) opracował tablice astronomiczne i z którym napisał „Disputationes inter Viennensem et Cracoviensem super

Cremonensia in planetarum theoriae deliramenta” („Dialog między wiedeńskim i krakowskimi na temat teorii planetarnych”) – głośną krytykę przestarzałego podręcznika astronomii. Marcin z Olkusza, przebywając w świecie, nie tracił kontaktu z Akademią Krakowską, wysyłając jej prace zachodnich badaczy

i cenne przyrządy astronomiczne, wśród nich wspomniane już tutaj, zachowane do

dziś torkwetum, astrolabia (przyrządy służące do wyznaczania położenia ciał niebieskich nad horyzontem) czy spiżowy globus nieba, ponoć jeden z najpiękniejszych w średniowieczu. W testamencie Marcin z Olkusza zapisał Akademii Krakowskiej całą swoją bogatą bibliotekę.

Krakowska akademia astronomiczna kwitła, osiągając apogeum swojego znaczenia w czasach działalności Jana z Głogowa (ur. ok. 1445, zm. 1507) oraz Wojciecha z Brudzewa (ur. 1445/1446, zm. 1495). Byli to badacze, których dokonania mogły mieć bezpośredni wpływ na Mikołaja Kopernika. Ten pierwszy w jednej z prac wzmiankował, że Słońce jest wyjątkową „planetą”, która ma wpływ na ruch wszystkich innych planet. Ten drugi przez dwie dekady wykładał na Akademii Krakowskiej, a wykładów profesora słuchał m.in. sam Mikołaj Kopernik. Także myśli Wojciecha z Brudzewa, choćby ta, że Słońce jest źródłem światła dla wszystkich innych planet, wywarły zapewne wpływ na młody umysł Kopernika. Wojciech z Brudzewa jako pierwszy wysunął hipotezę, że Księżyc krąży wokół Ziemi po elipsie i jest ciągle zwrócony jedną swoją stroną w kierunku naszej planety.

– Marcin Bylica z Olkusza, Jan z Głogowa i Wojciech z Brudzewa byli jednymi z najwybitniejszych przedstawicieli Akademii Krakowskiej w czasach, gdy zetknął się z nią Mikołaj Kopernik. Wszyscy oni byli znani w Europie i podejmowali w swoich pracach tematy nurtujące ówczesną astronomię. Krakowska szkoła astronomiczna dała Kopernikowi warsztat naukowy na najwyższym poziomie i wprowadziła w najważniejsze dysputy astronomiczno-kosmologiczne tamtej epoki. To był zaczyn, z którego zrodziła się nowa astronomia Kopernika – mówi prof. dr hab. Jarosław Włodarczyk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Birkenmajer Aleksander, „Astronowie i astrologowie śląscy w wiekach średnich”, Katowice 1937.
 Gadomski Jan, „Zarys historii astronomii w Polsce”, Warszawa–Kraków 1948.
 Kucharzewski Feliks, „O astronomii w Polsce. Materiały do dziejów tej nauki w naszym kraju” [w:] „Pamiętnik Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu” 1872, t. 2, s. 123–228.
 Libelt Karol, „O astronomii w Polsce” [w:] „Tygodnik Literacki Poznański” 1849.
 Markowski Mieczysław, „Historia astronomii w Polsce”, t. 1, red. E. Rybka, Wrocław 1975.
<http://kopernicus.torun.pl/rewolucja/rozwoj/5/>
<https://histmag.org/polska-astronomia-przed-kopernikiem-12275>



Torkwetum z 1487 r. Dar Marcina Bylicy

FOT. MUZEUM UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO



Mapa systemu słonecznego Mikołaja Kopernika pochodząca z dzieła „Atlas Coelestis”
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Mapa Księżyca autorstwa Jana Heweliusza z dzieła „Selenographia”
FOT. WIKIPEDIA



Kazimierz Siemienowicz swoją wiedzę o rakietach wyprzedził epokę
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rozmowy z Bogiem

W roku 1873 w Polsce hucznie obchodzono 400. rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika. Do niezwykłego wydarzenia przygotował się również Jan Matejko. Artysta nie tylko przedstawił polskiego astronoma z cyrklem w dłoni, lecz także na obrazie „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem” zadbał również o inne „rekwizyty” człowieka, którego odkrycia na zawsze zmieniły świat i który przeszedł do historii jako twórca heliocentrycznego modelu Układu Słonecznego i prawdopodobnie pierwszy heliocentryk w Europie od czasów starożytnej Grecji. U Matejki widać więc wyraźnie tablicę ze schematem Układu Słonecznego z czytelnie zaznaczonym na nim Słońcem oraz Ziemią krążącą wokół niego po orbicie. Nie zabrakło także trójkąta paralaktycznego, służącego astronomom do wyznaczania paralaksy Księżyca i obliczania jego odległości od Ziemi.

Miedzy innymi dzięki tego typu przyrządom (choć akurat tzw. cyrkul Galileusza wynaleziono dopiero po śmierci Kopernika) pochodzący z Torunia astronom stał się nie tylko najśłynniejszym polskim naukowcem wszech czasów, lecz także najbardziej znanym Polakiem w historii. Prawdziwy człowiek renesansu studiował na Wydziale Sztuk Wyzwolonych Akademii Krakowskiej, a także w Padwie i w Ferrarze. Astronom, matematyk, prawnik, tłumacz, lekarz i ekonomista zasłynął

Wojciech Simon

Chociaż amerykański „Explorer 1” oraz rosyjski „Sputnik 1” zostały wystrzelone w XX w., to konstruktorzy obu tych rakiet sięgnęli do koncepcji opublikowanej trzy wieki wcześniej przez... polskiego generała Siemienowicza. Przy konstruowaniu napędów kosmicznych do dziś bierze się pod uwagę koncepcję „Gwiazdolotu”. Rzetelne rozmowy o wszechświecie nie byłyby zaś w ogóle możliwe, gdyby nie teoria Mikołaja Kopernika

już w latach 20. XVI w. po wygłoszeniu 21 marca 1522 r. „Traktatu o monecie”, w którym postawił tezę o wypieraniu pieniądza „lepszego” przez pieniądz „gorszy”. Ta zasada ekonomii do dziś znana jest jako prawo Kopernika-Greshama.

Około 1512 r. Kopernik stworzył zarys swej teorii heliocentrycznej oraz podstaw astronomii w rozprawie znanej jako „Commentariolus”. W „Komentarzu” zawarł zarówno nowe rozwiązania geometryczne, jak i podstawowe wartości niektórych parametrów ruchu planet. Już w „Commentariolus” Kopernik wysuwał Słońce na pierwszy plan we wszechświecie. Najważniejsze w życiu Kopernika dzieło, złożone z sześciu ksiąg „De revolutionibus orbium coelestium” („O obrotach sfer niebieskich”), ukazało się pod koniec jego życia, 21 marca 1543 r. Zmarł niedługo potem, 24 maja tego samego roku. Polski astronom jako pierwszy ułożył planety we właściwej kolejności. Ogłosił również, że Słońce

znajduje się w centrum Wszechświata, planety obiegają je po okrągłych orbitach, a środek Ziemi nie jest środkiem Wszechświata, lecz jedynie środkiem ciężkości i środkiem sfery Księżyca.

Tezy jednego z największych geniuszy w historii nie zostały jednak – ogólnie pisząc – przyjęte z aprobatą. Wstrzymując Słońce i ruszając Ziemię, Mikołaj Kopernik dokonał bowiem nie tylko przełomowego odkrycia w astronomii. Jego teoria zapoczątkowała rewolucję kopernikańską w wielu dziedzinach nauki i zburzyła dotychczasowe postrzeganie miejsca człowieka we Wszechświecie. Kopernik kompletnie zmienił filozoficzno-religijny porządek, na którym oparte były średniowieczne życie polityczne i władza duchownych. Teoria Kopernika była więc stanowczo krytykowana jako sprzeczna z tekstem Biblii, a Kościół katolicki z indeksu ksiąg zakazanych usunął ją dopiero w roku 1758. Dużo wcześniej teoria polskiego astronoma zyskała



Projekt „Gwiazdolotu”
Franciszka Abdona Ulińskiego
z 1920 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

jednak potężnych zwolenników, takich jak niemiecki astronom Johann Kepler czy włoski astronom i astrolog Galileusz. Nic więc dziwnego, że na cześć słynnego Polaka nazwano program obserwacji Ziemi „Copernicus”, realizowany przez Komisję Europejską we współpracy m.in. z Europejską Agencją Kosmiczną.

KSIĄŻE ASTRONOMII

W XVII w. swoją cegiełkę do podboju Kosmosu dołożył astronom i twórca nowożytnej selenografii – Jan Heweliusz. W 1636 r. słynny gdański astronom wynalazł peryskop (który nazwał polemiskopem), a cztery lata później założył w Gdańsku obserwatorium astronomiczne. Wykorzystywał w nim własnoręcznie robione teleskopy, lunety i sekstanty.

Dzięki nim 300 lat przed tym, gdy pierwszy człowiek postawił stopę na Księżycu, gdański książę astronomii dokonywał już niezwykle dokładnych pomiarów powierzchni jedyne naturalnego satelity Ziemi i opracowywał pełne detale mapy Księżyca. Trzy trójkolorowe mapy tarczy, a także kilkadziesiąt szczegółowych rysunków Księżyca w różnych fazach opublikował w wydanym w roku 1647 dziele „Selenografia”, pracy poświęconej głównie satelicie Ziemi, choć zawierającej również informacje dotyczące plam na Słońcu, księżyców Jowisza oraz planet. Dzieło to zyskało międzynarodową popularność nie tylko w gronie współczesnych naukowców.

Wraz z Elżbietą Heweliuszową regularnie obserwował niebo. Światową sławę przyniosły mu monografie dotyczące zarówno Księżyca, jak i komet. Heweliusz nie tylko odkrywał kolejne komety, lecz także pierwszy postawił hipotezę, że niektóre z nich nie poruszają się po torze prostym – jak wówczas powszechnie uważano – lecz zakrzywionym.

Gdański książę astronomii badał także zjawisko libracji Księżyca, które polega na oscylacyjnym, wahadłowym, nieregularnym ruchu Księżyca i pozwala na obserwację nie tylko połowy, lecz także 59 proc. powierzchni Księżyca. Z modelu opracowanego przez Heweliusza korzystał później angielski astronom Isaac Newton, dokładnie wyjaśniając kwestię libracji ziemskiego satelity. W 1668 r. Jan Heweliusz wydał drugie znaczące dzieło pt. „Cometographia” („Kometografia”), zawierające ponad 400 rysunków oraz opisy wielu zaobserwowanych komet.

W latach 1673–1679 ukazała się w dwóch częściach praca „Machina coelestis”, w której Jan Heweliusz poza historią astronomii zawarł opis swego gdańskiego obserwatorium, a także zbudowanego pod Gdańskiem olbrzymiego teleskopu o ogniskowej długości prawie 50 m (uważa się, że był on wówczas największym teleskopem na świecie). Książę astronomii dwa lata przed Christiaanem Huygensem zastosował również wahadło do odmierzenia czasu (wykorzystał je do obserwacji zaćmienia Słońca), a także opracował śrubę mikrometryczną, która umożliwia przeprowadzenie pomiaru z bardzo dużą dokładnością, i zamontował ją w mikroskopie pomiarowym. Heweliusz był również jednym z pionierów obserwacji gwiazd podwójnych.

Trzecie światowej sławy dzieło gdańskiego astronoma ukazało się w 1690 r. – trzy lata po jego śmierci. Katalog „Prodromus astronomiae” wraz z atlasem nieba („Firmamentum Sobiescianum”) zawierał pozycje 1564 gwiazd, z czego położenie ok. 600 Jan Heweliusz wyznaczył po raz pierwszy. Opracowując atlas, wprowadził kilka nowych gwiazdozbiorów, wśród nich Tarczę Sobieskiego na cześć króla, który wspierał astronoma.

OD RAKIETY SIEMIENOWICZA DO „GWIAZDOLOTU” ULIŃSKIEGO

Polacy przyczynili się nie tylko do pogłębiania wiedzy o Wszechświecie, lecz także położyli podwaliny pod kosmiczne podróże. Żyjącemu w czasach Heweliusza generałowi, inżynierowi wojskowemu i teoretykowi artylerii Kazimierzowi Siemienowiczowi światową sławę przyniosło opublikowane w roku 1650 w Amsterdamie dzieło „Artis Magnae Artilleriae pars prima” („Wielkiej sztuki artylerii część pierwsza”). Był to podręcznik artylerii, w którym Siemienowicz omówił m.in. technologię wytwarzania rakiet,

w tym rakiet wielostopniowych, baterii rakiet oraz rakiet ze statecznikami typu delta. Jego dzieło zostało przetłumaczone na liczne języki obce i przez dwa stulecia było lekturą obowiązkową dla inżynierów oraz oficerów wielu armii świata. Po jego pomysły sięgnęli także konstruktorzy pierwszych wystrzelonych w Kosmos rakiet: rosyjskiego „Sputnika 1” oraz amerykańskiego „Explorera 1”.

Twórcy nowoczesnych napędów kosmicznych korzystają również z koncepcji innego Polaka – Abdona Ulińskiego, który w roku 1920 na łamach austriackiego czasopisma lotniczego „Der Flug” przedstawił koncepcję „Gwiazdolotu”, a więc rakiet międzyplanetarnej ze strumieniowym silnikiem gwiazdowym. „Gwiazdolot” miał być napędzany przez energię pochodzącą z promieniowania Słońca, wychwytywaną przez lustro w formie wachlarza, złożone z baterii fotowoltaicznych, które przetwarzałyby zgromadzoną energię na energię elektryczną i w ten sposób napędzały raketę kosmiczną. Uliński przewidywał, że zespoły napędowe jego „Gwiazdolotu” będą zakończone jednostronnie otwartymi rurami katodowymi pracującymi pod napięciem 250 tys. V. Specjalna konstrukcja statku sprawia jednak, że mógłby on startować jedynie z powierzchni Księżyca lub sztucznych satelitów. Aby wykorzystać tę koncepcję, „Gwiazdolot” musiałby być w częściach dostarczony do kosmicznej bazy i dopiero tam zmontowany w celu odbycia misji podboju Kosmosu.

Oczywiście wkład w rozwój astronomii przed drugą wojną światową miało jeszcze wielu innych Polaków, w tym tak znani jak Maurycy Rudzki, Adam Prażmowski, Tadeusz Banachiewicz, Kazimierz Kordylewski czy Ary Sternfeld. To już jednak temat na nową opowieść...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Encyklopedia PWN (on-line).

<http://www.samoloty.polskie.pl/samoloty/14804/126/Ulinski-Gwiazdolot>

Jóźwiak Krzysztof, „Polska w kosmosie. Od Witelo po rodaków w NASA”, „Rzeczpospolita”, 12 stycznia 2020 r.

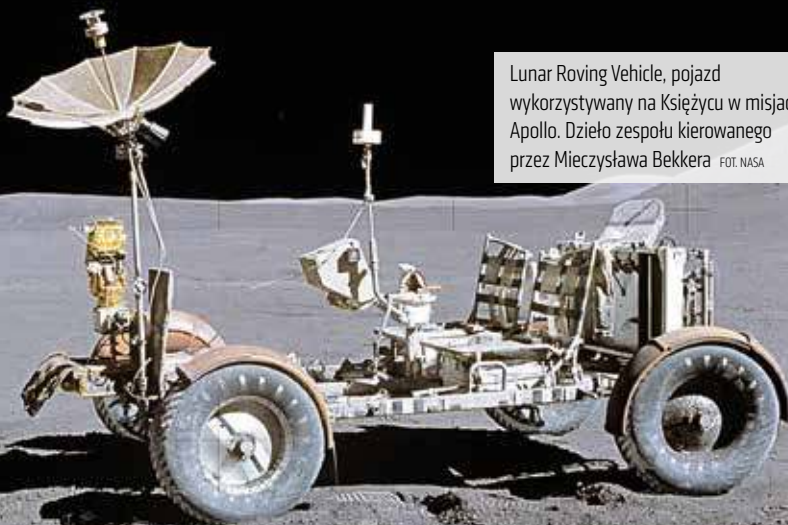
Polska Agencja Kosmiczna (POLSA).

Repcheck Jack, „Sekret Kopernika. Jak zaczęła się rewolucja naukowa”, tłum. Przemysław Bandel, Rebis, Poznań 2008.

Rybka Eugeniusz, „Wkład astronomów polskich do nauki światowej”, Państwowe Wydawnictwo Popularno-Naukowe, Warszawa 1953.

Rybka Eugeniusz, Rybka Przemysław, „Kopernik. Człowiek i myśl”, Warszawa 1972.

Wyczański Andrzej (red.), „Mikołaj Kopernik. Pisma pomniejsze”, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2007.



Lunar Roving Vehicle, pojazd wykorzystywany na Księżycu w misjach Apollo. Dzieło zespołu kierowanego przez Mieczysława Bekkera FOT. NASA

Kosmiczna liga mistrzów



Radosław Wojtas

Musi być odporny na ekstremalne warunki, przebyć setki tysięcy lub miliony kilometrów, przetrwać tę podróż, zachować kontakt z Ziemią i działać. Naukowcy i inżynierowie projektujący oraz budujący sprzęt wysyłany w Kosmos to najlepsi z najlepszych w swoich dziedzinach. Tak, w tej lidze mistrzów grają też Polacy!

Gdyby w odległości ok. 61 lat świetlnych od Ziemi istniały inteligentne, dysponujące odpowiednią technologią formy życia, to właśnie teraz mogłyby posłuchać słów Stanisława Lema komentującego lot Jurija Gagarina na orbitę okołozemską. Prawdopodobnie komentarz do tego wydarzenia był radiowym debiutem Lema. Polskie Radio nadawało wówczas w paśmie UKF. Fale dźwiękowe o tej częstotliwości przebijają się przez ziemską jonosferę i z prędkością światła wędrują w przestrzeni kosmicznej. Cała podróż Gagarina zajęła 1 godzinę i 48 minut. Podróż Lema, tak jak wszystkich innych nadanych na Ziemi w paśmie UKF

dźwięków, trwa do dziś. Gdy wystukuje na klawiaturze te słowa, głos Lema z jego radiowego debiutu podróżuje mniej więcej 5768350195011000 km* od mojego kubka z kawą.

Obecność Polaków w przestrzeni kosmicznej ma także wymiar w pełni materialny. Sprzęt budowany przez naszych rodaków dotarł na Księżyc i na Marsa. Polskiej flagi nikt jeszcze poza Ziemią nie zatknął, ale swój ślad nasz naród w Kosmosie wyraźnie zaznaczył i wciąż zaznacza.

POJAZD KSIĘŻYCOWY

Pomnik na Księżycu? Któż by o takim nie marzył? Pewien Polak ma nie jeden,

ale trzy takie pomniki. Nie w sensie ścisłym, rzecz jasna – swoistymi pomnikami są bowiem trzy egzemplarze dzieła życia Mieczysława Bekkera: pojazdy, którymi astronauta NASA jeździli po Księżycu. To Polak opracował całość rozwiązań umożliwiających poruszanie się na satelicie Ziemi.

Mieczysław Bekker urodził się 25 maja 1905 r. w Strzyżowie na Lubelszczyźnie. Jak niemal każdą biografię w naszych dodatkach z serii „Wielkie postacie polskiej nauki. Polak potrafi” tak i tę można zacząć od słów, że już od najmłodszych lat przejawiał nadzwyczajne predyspozycje intelektualne. Uzdolniony matematycznie chłopak wybrał wydział mechaniczny Politechniki Warszawskiej, by już z dyplomem specjalizującego się w samochodach inżyniera związać się z armią. Zajmował się przystosowaniem pojazdów cywilnych do potrzeb wojskowych, już wtedy w orbicie jego zainteresowań znalazły się zwłaszcza podwozia pojazdów i możliwość poruszania się nimi poza drogami. Zawirowania podczas drugiej wojny światowej sprawiły, że polski inżynier trafił za ocean, najpierw do Kanady, a po wojnie do USA, gdzie podjął pracę w Wojskowym Laboratorium Pojazdów Terenowych, by ostatecznie związać się z General Motors.

Kiedy w 1961 r., w ramach programu kosmicznego Apollo, NASA ogłosiła konkurs na pojazd zdolny do poruszania się po Księżycu, Mieczysław Bekker stanął na czele zespołu konstruktorów, mając za głównego konkurenta zespół kierowany przez innego Polaka – Stanisława Rogalskiego, który pracował w firmie Grumman. To projekt zrealizowany przez zespół Bekkera okazał się lepszy. Polak osobiście zaprojektował elastyczną ramę i ażurowe opony, dzięki czemu pojazd mógł poruszać się po pylistej powierzchni Księżyca.

„Można zbudować taki pojazd kołowy, który będzie się poruszał po każdym podłożu, no, może prócz baniek mydlanych” – powiedział Mieczysław Bekker w 1970 r. w wywiadzie dla „Space World”. Nie były to przechwałki. Pierwszy raz zaprojektowane przez Polaka koła dotknęły powierzchni Srebrnego Globu 30 lipca 1971 r., podczas misji „Apollo 15”. Lunar Roving Vehicle przejechał podczas tej misji łącznie 27,9 km ze średnią prędkością 9,2 km/h, rozpędzając się maksymalnie do 14 km/h.

Sprawdził się doskonale, dlatego następny tego typu pojazd poleciał na Księżyc podczas misji „Apollo 16” (przejechał 27,1 km) oraz „Apollo 17” (Lunar Roving Vehicle z tej wyprawy ma przebieg 36,1 km, to w nim Eugene Cernan i Harrison Schmitt, ostatni ludzie na Srebrnym Globie, pobili obowiązujący do dziś rekord prędkości na Księżycu – 17 km/h). LRV pewnie dalej byłby zabierany na Księżyc, wyprodukowano nawet egzemplarz z myślą o kolejnej misji, ale przerwano program lotów na Srebrny Glob, a ostatni LRV nigdy nie opuścił naszej planety.

Lunar Roving Vehicle miał zasięg ok. 92 km (ze względów bezpieczeństwa astronauta nie oddalał się aż tak od lądownika), mógł wspinać się na zbocza o nachyleniu do 25 stopni i zachowywał stateczność przy przechylach bocznych i pochyleniach w kierunku osi podłużnej dochodzących do 45 stopni. Astronauci podczas jazdy cały czas mieli zapewnioną łączność z Ziemią, pojazd był wyposażony w stację telewizyjną o zasięgu co najmniej 0,5 mln km i pokładowy system nawigacyjny. Jedną z kamer LRV nakręciła moment odlotu załogi misji „Apollo 17” z powierzchni Księżyca. 180-kilogramowy łazik mógł transportować setki kilogramów ładunku, służył więc do przewożenia sprzętu badawczego i próbek pobieranych z Księżyca. Według wielu osób zaangażowanych w misję Apollo łazik był prawdziwą rewolucją, dzięki której udało się zdobyć 70 proc. więcej informacji o Księżycu, niż gdyby astronauta nie dysponowali takim pojazdem.

Mieczysław Bekker jest autorem kilkunastu patentów i zdobywcą wielu nagród. Odpowiedniego uhonorowania we własnym kraju się nie doczekał. Zmarł 8 stycznia 1989 r. Jest jednym z trzech Polaków, których nazwiska umieszczono w Alei Zasłużonych w Badaniach Kosmosu – Space Walk of Fame. Dwaj pozostali to Werner Ryszard Kirchner (ur. w lipcu 1918, zm. 6 marca 2008) oraz Eugeniusz Lachocki (ur. 5 lipca 1921, zm. 27 października 2010).

Kirchner był chemikiem, specjalistą od paliwa raketowego. Na potrzeby misji „Apollo 11” zakończonej pierwszym lądowaniem człowieka na Księżycu Polak opracował paliwo do lądownika „Eagle”. Eugeniusz Lachocki to z kolei doskonały elektronik. W projekcie Apollo odpowiadał za konstruowanie

zasilaczy do urządzeń radiokomunikacyjnych i telewizyjnych. NASA tak ceniła współpracę z Polakiem, że powierzyła mu także opracowanie systemów zasilania dla promów kosmicznych.

NA MARSIE I KU SŁOŃCU

Pół wieku temu program Apollo został zamknięty. Dziś umysły entuzjastów podboju Kosmosu rozpala już nie Księżyc, ale Mars. W poznawaniu tajemnic Czerwonej Planety także mamy swój udział. 26 listopada 2018 r. na powierzchni Marsa swoją misję rozpoczął lądownik InSight. Głównym jego zadaniem było pierwsze w historii badanie warstw podpowierzchniowych Marsa w celu zabrania informacji o budowie wewnętrznej planety. Mechanizm udarowy penetratora HP3 mogącego wwiercić się w powierzchnię Czerwonej Planety na niemal 5 m opracowali Polacy. „Kret”, jak go nieoficjalnie nazwano, powstał za sprawą współpracy inżynierów z Centrum Badań Kosmicznych PAN i firmy Astronika z Polski.

19 października 2016 r. weszła na orbitę Marsa, a 21 kwietnia 2018 r. rozpoczęła fazę badawczą misji sonda planetarna Mars Trace Orbiter (TGO), która stanowi część programu ExoMars realizowanego przez Europejską Agencję Kosmiczną. Zadaniem sondy jest z jednej strony obserwowanie planety, a z drugiej – zapewnienie łączności między Ziemią i innymi robotycznymi misjami marsjańskimi. W ramach tej misji naukowcy i inżynierowie z Centrum Badań Kosmicznych PAN zaangażowani są w prace związane z kamerą CaSSIS (Colour and Stereo Surface Imaging System), będącą „oczami” sondy. Główny system obrazujący pozwala na obserwację planety w czterech zakresach widma – barwie czerwonej, zielonej i niebieskiej oraz w bliskiej podczerwieni. CaSSIS to przedsięwzięcie międzynarodowe z udziałem Szwajcarii (kierownictwo konsorcjum), Polski, Włoch i Węgier. Inżynierowie Centrum Badań Kosmicznych PAN zaprojektowali i wykonali moduł dla kamery CaSSIS i są zaangażowani także w analizę danych przesyłanych przez CaSSIS. Detektory podczerwieni wykonała polska firma VIGO System SA.

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób Słońce generuje i podtrzymuje heliosferę – pla-

zmową otoczkę, w której zanurzony jest Układ Słoneczny – wystartowała 10 lutego 2020 r. z przylądka Canaveral rakieta „Atlas 5”, wynosząc w kierunku Słońca sondę Solar Orbiter. Jest ona wyposażona w sześć instrumentów teledetekcyjnych. Jeden z nich, spektrometr rentgenowski STIX (X-ray Spectrometer/Telescope), powstał przy udziale Polaków z CBK PAN, Laboratorium Satelitarnych Aplikacji Układów FPGA z Warszawy oraz Zakładu Fizyki Słońca z Wrocławia. Sprzęt, który umożliwia obserwacje przyspieszonych elektronów, pomoże wyjaśnić mechanizm przyspieszania elektronów na Słońcu oraz to, w jaki sposób są one transportowane w przestrzeń międzyplanetarną.

THE NEXT GENERATION

Na koniec wróćmy do Lema. Tym razem nie jego głosu. „Lem” wraz z „Heweliuszem” to para dwóch pierwszych polskich satelitów. Te dwa niewielkie kosmiczne teleskopy wyniesiono na orbitę w 2013 r. Rok wcześniej na orbicie znalazł się pierwszy polski studencki satelita „PW-Sat”. Zbudowano go na Politechnice Warszawskiej przy współpracy z Centrum Badań Kosmicznych PAN, a wysłano na orbitę w celu przetestowania pasywnego systemu deorbitacji.

Studenci z Polski biorą udział w międzynarodowych projektach, wygrywają prestiżowe konkursy, konstruują roboty, łaziki, satelity. Przypomnijmy więc jeszcze słowa dr. hab. Macieja Mikołajewskiego z otwierającej ten zeszyt z cyklu „Wielkie postacie polskiej nauki” rozmowy: „Starsze pokolenie polskich astronomów może spokojnie przekazać »pałeczkę« młodszemu. Nie brakuje w nim ogromnych talentów”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Kowalik Teresa, Słowiński Przemysław, „Królewski dar. Co Polska i Polacy dali światu”, Warszawa 2020.
Kranz Gene, „Porażka nie wchodzi w grę”, tłum. Mariusz Seweryński, Urszula Seweryńska, Warszawa 2010.
Nowicki Jacek, „Roverem po Księżycu. Polak z General Motors w NASA”, Warszawa 1991.
<https://cbkpan.pl/cassis/>
<https://cbkpan.pl/solar-orbiter/>
<https://cbkpan.pl/brite/>
<https://www.youtube.com/watch?v=hEMXN1950SM>
<https://tvn24.pl/magazyn-tvn24/czlowiek-ma-znow-stanac-na-ksiezycu-nie-bylo-go-tam-45-lat,130,2313>
* <https://galaktykalema.pl/pl/lemwkosmosie>

Kopernik

naszych czasów

FOT. PRINCETON UNIVERSITY

Bohdan Paczyński był jednym z największych astronomów XX w., zainteresowanym wszystkimi dziedzinami astrofizyki – tak o urodzonym w Wilnie polskim naukowcu pisał na łamach „Pamiętników biograficznych” amerykańskiej Narodowej Akademii Nauk prof. Bruce T. Draine.

„Był niesamowicie kreatywny i oryginalny” – powiedział o nim Michael Strauss, profesor nauk astrofizycznych. „Przez całe swoje życie wnosił ciekawe podejście do interesujących problemów” – dodał Strauss, kolega prof. Paczyńskiego, który był również powszechnie szanowany za entuzjazm do nauczania

Wojciech Simon

Był uważany za najpoważniejszego z polskich kandydatów do Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki. I choć akurat Nobla nie dostał, to prof. Bohdan Paczyński miał na koncie dziesiątki prestiżowych nagród i wyróżnień. Jego prace nad soczewkowaniem grawitacyjnym, ewolucją gwiazd, błyskami gamma i poszukiwaniem ciemnej materii studiują dziś astronomowie na całym świecie

oraz za wsparcie, które okazywał innym astronomom zarówno w Princeton, jak i w Polsce oraz na całym świecie.

Autor ponad 300 prac naukowych wniósł ważny i trwały wkład do wie-

lu dziedzin współczesnej astronomii i astrofizyki. Laureat Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (zwanej „polskim Noblem”), Medalu Mariana Smoluchowskiego (najwyższego wyróżnienia przy-



znawanego przez Polskie Towarzystwo Fizyczne), Medalu Eddingtona (przyznanego przez Królewskie Towarzystwo Astronomiczne), Medalu Henry'ego Drapera (przyznanego przez amerykańską National Academy of Sciences) oraz Złotego Medalu Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego w Londynie. Otrzymał również doktoraty honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i Uniwersytetu Wrocławskiego oraz najwyższe wyróżnienie Amerykańskiego Towarzystwa Astronomicznego: Henry Norris Russell Lectureship, przyznawane za szczególnie wybitne osiągnięcia w dziedzinie astronomii. Wszystkie

wymienione wyżej wyróżnienia to zaś tylko ułamek medali, nagród i zaszczytów, którymi został uhonorowany prof. Bohdan Paczyński.

ŁOWCA CIEMNEJ MATERII

Urodził się 8 lutego 1940 r. w Wilnie. Pod koniec lat 40. jego rodzina przeniosła się do Krakowa, a potem do Warszawy. Od najmłodszych lat Bohdan Paczyński interesował się nauką i patrzył daleko w gwiazdy. Nie tylko w przenośni. Już jako 14-latek (sic!) uczestniczył w programie monitorowania zmian jasności gwiazd podwójnych, prowadząc obserwacje wizualne. Młodego naukow-

ca fascynowało „wielkie bogactwo oddziaływań między składnikami ciasnych układów podwójnych, dzięki którym gwiazdy zmieniają swoje masy, rozmiary i jasności”. Zjawiskom zachodzącym miliardy lat świetlnych od nas poświęcił całe późniejsze życie.

Jako 17-latek rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Rok później w „Acta Astronomica” opublikował pierwszą ważną pracę poświęconą wyznaczaniu minimum jasności gwiazd zaćmieniowych. Jako 19-latek zaczął zaś pracę w Obserwatorium Astronomicznym UW jako asystent techniczny. W wieku 22 lat obronił pracę magisterską poświęconą zależności polaryzacji światła gwiazd od ekstynkcji na pyłe międzygwiazdowym, napisaną pod kierunkiem słynnego prof. Stefana Piotrowskiego, współtwórcy warszawskiej szkoły astrometrycznej. Wkrótce potem przekroczył żelazną kurtynę i poleciał do Obserwatorium Licka w Kalifornii, gdzie pracował pod kierunkiem prof. George'a Prestona nad gwiazdami zmiennymi.

Po powrocie do Polski szybko przygotował rozprawę doktorską i już jako 24-latek mógł się pochwalić tytułem doktora nauk fizycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W 1965 r. poślubił Hanę Adamską, dwa lata później urodziła się ich córka Agnieszka, a w roku 1974 – syn Marcin.

GWIAZDY PODWÓJNE I POJEDYNCZE

W roku 1967 Bohdan Paczyński uzyskał stopień docenta. Już wówczas cieszył się renomą nie tylko w Polsce. W latach 60. XX w. prace poświęcone teorii ewolucji gwiazd należących do ciasnych układów podwójnych przyniosły mu międzynarodowe uznanie. Pod koniec lat 60. młody polski astrofizyk wykazał bowiem, że utrata momentu pędu wskutek emisji fal grawitacyjnych może znacząco wpływać na ewolucję znanych wówczas ciasnych układów, w tym gwiazd nowych i nowych karłowatych. Opublikowana na początku lat 70. seria jego artykułów „Evolutionary Processes in Close Binary Systems” („Ewolucja ciasnych układów podwójnych”) przeszła do kanonu światowej astronomii. W jednym z nich objaśnił on bowiem pochodzenie enigmatycznych wówczas gwiazd Wolfa-Reyeta, zauważając, że

■ są to palące hel składniki ciasnych układów podwójnych, które utraciły wodorową otoczkę wskutek przepływu masy na towarzysza. Dziś ta teoria jest już powszechnie akceptowana. Zresztą do astronomicznego kanonu przeszło bardzo wiele teorii prof. Paczyńskiego – nie tylko na temat ewolucji gwiazd podwójnych, lecz także w dziedzinie ewolucji gwiazd pojedynczych. Jak zauważył Bruce T. Draine, polski astrofizyk udoskonalił modele numeryczne. Napisał też autorski program komputerowy, za pomocą którego prowadził obliczenia. To on wyznaczył tory ewolucyjne gwiazd populacji I na diagramie HR oraz płaszczyźnie $\log pc - \log TC$. To on opracował również teorię dotyczącą ewolucji pojedynczej gwiazdy.

Studenci do dziś, ucząc się o końcu ewolucji gwiazd o pośrednich masach, dowiadują się między innymi, że w końcowych etapach ewolucji jasność gwiazdy, w której wewnątrz znajduje się wypalone, tzw. zdegenerowane jądro, czyli biały karzeł, zależy głównie od masy jądra, co zostało ujęte we wzorze Paczyńskiego z 1970 r. Jego prace objaśniające budowę i ewolucję gwiazd za pomocą praw fizyki stały się kluczowe dla rozwoju współczesnej nauki i – zdaniem prof. Draine’a – należą do największych naukowych osiągnięć XX w.

W wieku 34 lat zdolny polski astrofizyk był już profesorem, a dwa lata później został – jako najmłodszy naukowiec w historii tego gremium – członkiem Polskiej Akademii Nauk. To między innymi dzięki niemu powstało w Toruniu Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika Polskiej Akademii Nauk.

PRZEŁOM W ASTRONOMII

Na początku lat 80., po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, przebywał w Stanach Zjednoczonych. Zdecydował się nie wracać do kraju i kontynuował karierę naukową na prestiżowym Uniwersytecie w Princeton, gdzie od 1989 r. nie tylko był profesorem, lecz także stanął na czele katedry astrofizyki.

Właśnie w latach 80. polski astrofizyk opublikował artykuł naukowy, w którym – mimo sceptycyzmu niektórych innych astrofizyków – zaproponował przetestowanie jednej z hipotez pochodzenia ciemnej materii w kosmosie za pomocą zjawisk mikrosoczewkowania grawitacyjnego. Profesor Paczyński jako jeden

z pierwszych naukowców na świecie zrozumiał bowiem, że charakterystyczne gigantyczne łuki świetlne w gromadach galaktyk, przypominające połączenia między galaktykami, to soczewki grawitacyjne, a zakrzywienie promieni wynika z wpływu pól grawitacyjnych gigantycznych ciał niebieskich. To był prawdziwy przełom dla wszystkich naukowców, którzy tropią tajemnice kosmosu i rozwiązują coraz trudniejsze zagadki dotyczące wszechświata.

Metoda ta umożliwiała poszukiwania obiektów słabo świecących lub nieświecących wcale. Badania prof. Paczyńskiego dotyczące zjawiska soczewkowania grawitacyjnego pozwoliły na dokonanie przełomowych odkryć poza naszym Układem Słonecznym. Jak zauważył Bruce T. Draine, w 1991 r. polski astrofizyk oraz Shude Mao z Uniwersytetu Princeton opisali, jak zmieniłaby się krzywa blasku mikrosoczewki, gdyby soczewkujący obiekt był układem podwójnym lub gwiazdą z układem planetarnym.

MIKROSOCZEWKOWANIE I „POLSKIE PĄCZKI”

Dzięki pomysłom prof. Paczyńskiego oraz jego współpracownikom zarówno z Princeton, jak i z obserwatorium warszawskiego zbudowano specjalny teleskop w Chile i pod kierownictwem profesora uruchomiono w 1992 r. projekt badawczy OGLE (The Optical Gravitational Lensing Experiment), który miał na celu obserwację zjawisk mikrosoczewkowania grawitacyjnego. Polscy astronomowie z OGLE – działający pod kierunkiem prof. Andrzeja Udalskiego – już w 1993 r. uczestniczyli w doniosłym odkryciu małomasywnej planety, dokonany właśnie przy użyciu mikrosoczewkowania.

Profesora Paczyńskiego fascynowały również m.in. dyski akrecyjne, a więc wirujące struktury uformowane przez pył i gaz, opadające na silne źródło grawitacji. Jak zauważył prof. Draine, nakreślona przez polskiego astrofizyka linia rozumowania doprowadziła do powstania modeli grubych dysków znanych jako „Polish doughnuts” (czyli „polskie pączki”). Polski astrofizyk zajmował się również tajemniczymi błyskami promieniowania gamma (GRB). Wbrew powszechnej panującej opinii, zgodnie z którą błyski te pochodziły z naszej galaktyki, prof. Paczyński opublikował w 1986 r. kluczową dla rozwoju nauki pracę,

w której argumentował, że błyski gamma mają pochodzenie pozagalaktyczne. Spór w środowisku toczył się jeszcze wiele lat, a polski astrofizyk wziął nawet udział w głośniejszej debacie jubileuszowej w Waszyngtonie, w której bronił swego poglądu, a tymczasem Donald Lamb z Uniwersytetu w Chicago bronił teorii, że rozbłyski pochodzą z naszej Galaktyki. Paczyński, a potem Lamb przedstawili swoje argumenty w krótkich, 20-minutowych wystąpieniach, a następnie każdy przez 15 minut ustosunkowywał się do argumentów oponenta. Sesję zamknęła seria pytań od publiczności oraz królewskiego astronoma sir Martina Reesa. Ten ostatni po zarządzonym głosowaniu ogłosił... remis. Spór trwał więc nadal. Dopiero pod koniec lat 90. naukowcy zaobserwowali znaczne poczerwienienie optycznego widma poświaty jednego z błysków gamma, co – jak podkreśla prof. Draine – stanowiło „niepodważalny dowód na to, że przynajmniej niektóre błyski pochodzą spoza Galaktyki”.

Profesor Bohdan Paczyński zmarł w Princeton na raka mózgu w wieku 67 lat. Został pochowany na Cmentarzu Leśnym w Laskach pod Warszawą. W lutym 2008 r. – już po śmierci prof. Paczyńskiego – na łamach prestiżowego magazynu „Science” ukazał się artykuł „Discovery of a Jupiter/Saturn analog with gravitational microlensing”. Jego współautorem był polski astrofizyk. Tekst opisywał, jak naukowcom udało się odkryć wokół OGLE-2006-BLG-109 układ planetarny o budowie przypominającej Układ Słoneczny. Były to piąta i szósta planeta odkryte tą metodą. Imieniem słynnego polskiego astrofizyka została z kolei nazwana planetoida (11755) z pasa głównego asteroid, która okrąża Słońce w ciągu 3,68 roku w średniej odległości 2,38 au.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Boutin Chad, „Bohdan Paczynski, renowned astrophysicist, dies at age 67”, Princeton University, 2007.
Dobrzycka Danuta, „Jubileuszowa debata – skąd się biorą rozbłyski gamma?”, „Postępy Astronomii” nr 2/1995, Polskie Towarzystwo Astronomiczne.
Draine Bruce T., „Bohdan Paczynski 1940–2007”, „Biographical Memoirs”, National Academy of Science, 2017.
Draine Bruce T., „Pierwszy po Koperniku”, tłum. Hanna Paczyńska, „Urania” 6/2017: „Urania – Postępy Astronomii” 6/2017.
„PROF. BOHDAN PACZYŃSKI”, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu.
Stępień Kazimierz, „Bohdan Paczynski (1940–2007)”, „PAUza Akademicka” nr 377, 23 marca 2017 r.



Fundacja
Dorastaj z Nami

PRZEKAŻ DAROWIZNĘ DZIECIOM BOHATERÓW



Tata Julki

nie przyjdzie już do przedszkola...
Był strażakiem, zginął na służbie.



Tata Łukasza

nie przyjdzie już na mecz.
Był żołnierzem, zginął na służbie.

Fundacja Dorastaj z Nami opiekuje się obecnie 130 dziećmi strażaków, policjantów i żołnierzy, którzy zginęli na służbie. Dzięki Twojemu wsparciu dzieci dostaną opiekę, ale także poczucie, że życie ich Ojców poświęcone innym, zostało docenione.



Darowiznę możesz przekazać na dwa sposoby:

- najszybciej to zrobisz skanując (np. telefonem) **kod QR**
- możesz też wpłacić na konto: **29 1030 1508 0000 0008 1545 4006**
z dopiskiem **POL-156 Julka**

Dziękujemy!